

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



Śmierć Jewgienija Prigożyna
W środę media doniosły,
że samolot, którym leciał
dowódca wagnerowców, spadł
na ziemię niedaleko Tweru
Więcej ► 3 i Wyborcza.pl



**WYSOKIE
OBCASY**
Nie chcę
swojego
dziecka

GAZETA

wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Wielka gra o wieś

- NASZKOWSKA:
Kołodziejczak stawia na Tuska
Ranking ministrów rolnictwa
- RYCHARSKI:
Chłop czuje pogardę

FOT. TOMASZ STANCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Joan Baez
ratuje świat**
Od pół wieku stoi ciągle
na barykadzie



**Woda dla Miasta
Aniołów**
Człowiek, który napoił
Los Angeles

Dzieci „Solidarności”
Kinga Borusewicz
Jarosław Wałęsa
Antoni Frasyniuk

Dominika
Wielowieyska



Kaczyński przewiduje porażkę

Jarosław Kaczyński wszystkie głosowania w Sejmie chce odfajkować do końca sierpnia. Dlatego na koniec miesiąca zaplanowane jest ostatnie posiedzenie tej kadencji, m.in. po to, by zakończyć prace nad tzw. ustawą kompetencyjną, która da prezydentowi Andrzejowi Dudzie olbrzymi wpływ na powołanie przedstawicieli Polski w instytucjach unijnych.

PiS szykuje się na porażkę i zakłada, że dzięki temu ograniczy możliwości obecnej opozycji, jak już przejmie ona władzę. Gdyby Kaczyński wierzył w wygraną, nie dałby kosztem rządu tyle władzy Dudzie, bo go nie poważa. Robi to przeciw Donaldowi Tuskowi, widać wierzy w jego zwycięstwo. Po sierpniowym posiedzeniu harmonogram jest pusty, choć w poprzednich kadencjach sesje odbywały się niemal do końca.

Dzisiaj klub PiS spaja wciąż posłuszeństwo wobec Nowogrodzkiej, bo wszyscy liczą na niezłe miejsca na listach. Kaczyński chce je ogłosić w ostatniej chwili, zapewne około 4-6 września, gdy mija termin rejestracji. Bo gdyby

je już ogłosił, rozczarowanych byłoby tak wielu, że mógłby stracić większość w Sejmie i nie przegłosować ustaw.

Cztery lata temu PiS miał 43 proc. poparcia, dziś ma 29-34 proc., wielu posłów znajduje się więc za burtą. Gdy działacze zobaczą kształt list, mogą szukać przystani gdzie

indziej. Ale po 6 września nie będą już mieli możliwości. Listy będą zamknięte.

Kaczyński nie chce być szantażowany przez posłów i nie chce, by rozpad większości był widoczny, a boi się, że tak się stanie, gdyby Sejm zebrał się po rejestracji list. Aby uspokoić nastroje, liderzy PiS powtarzają, że w wewnętrznych badaniach partia ma 40 proc. Ale w 2019 roku twierdzili, że miała 50 proc., a uzyskała ok. 43 proc.

Nowogrodzka sonduje też, kogo w poszczególnych okręgach wystawi Konfederacja, i sprawdza, ile osób będzie można przeciągnąć na swoją stronę. Niewykluczone, że niektórzy konfederaci są już po słowie z Kaczyńskim. Liderzy tej partii – na bazie sondaży, które dają im 15 proc., być może już nieaktualnych – zapowiadają wywrócenie stolika i przyspieszone wybory na wiosnę przyszłego roku, bo nie chcą robić koalicji ani z PiS, ani z PO. Praktyka sejmowa pokazuje jednak, że szeregowi posłowie wszystkich klubów nie palą się do nowych wyborów: splukali się finansowo, najeżdżili po okręgu i teraz mają od nowa walczyć o mandat? Łatwiej będzie rozebrać Konfederację, jeśli jej władze będą grały na przyspieszone wybory. ●

Andrzej rysuje



Urodziny pandy Xing Xing nazywają go



Samiec pandy olbrzymiej Xing Xing zaraz spalażuje lodowy tort, który sprezentowali mu jego opiekunowie w Narodowym Ogrodzie Zoologicznym w Kuala Lumpur w Malezji z okazji 17. urodzin.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

WLJ2397

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 26.08.2023 r. do 27.08.2023 r.

MSZ sprawdza wrogów



Ambasador Polski w Kanadzie dostał polecenie, by przeświecić kanadyjskiego polityka polskiego pochodzenia Thomasa Łukaszyka

Czytaj ► Wyborcza.pl

Premiera „Raportu Pileckiego” Reżyser bez orderu

Osobiście nie zamierzam wypinać piersi do orderów za dokończenie tego filmu” – mówił reżyser Krzysztof Łukaszewicz Onetowi. Do kin wchodzi najdroższa produkcja filmowa ery PiS – „Raport Pileckiego”. Produkcja nieudana, a ponoć mogła być jeszcze gorsza. Łukaszewicz ratował „Raport...”, gdy niezadowoleni producenci odsunęli Leszka Wosiewicza. „Bardzo współczuję panu Wosiewiczowi. Nowa wersja scenariusza to nie jest mój autorski pomysł, tylko próba ocalenia jak najwięcej z jego pracy” – zapewniał Łukaszewicz.

Znany jest przede wszystkim z „Karbali” – o walkach toczonych przez polskich żołnierzy w Iraku. Kręcił też „Bel-fra” dla TVN i „M jak miłość” dla TVP. Przy okazji „Karbali” mówił „Wyborczej”: „Pracując przy serialach, nauczyłem się robić siedem scen jednego dnia. Zresztą tu byliśmy jak saperzy – musiało się udać za pierwszym razem”. Łukaszewicz był też scenarzystą „Generała Nila”, nakręconego przez Ryszarda Bugajskiego. Zaś jego nagradzanym pełnometrażowym debiutem był w 2010 „Lincz” – o głośnym niegdyś samosądzie we wsi Włodowo na Mazurach.



„Raport Pileckiego” to typowa czytanka w duchu prawicowej polityki historycznej, ale Łukaszewicz zrobił też niedawno dla TVP film całkiem nieoczywisty. „Orle-ta. Grodno '39”, mimo koturnowego tytułu, jest mocnym obrazem przedwojennego polskiego antysemityzmu. Głównym bohaterem jest żydowski chłopiec, który udaje harcerza i trafia między obrońców Grodna przed radziecką inwazją. ●

Witold Mrozek

W poniedziałek „Duży Format”

Jak gęś Pipa stała się hitem

– Musieliśmy założyć na drzwiczках budki szyfrowaną kłódkę, bo ludzie przyjeżdżali nawet po zmroku, wyciągali Pippena, by robić sobie z nim zdjęcia – mówi właścicielka gęsi z Tarnobrzega.



Śmierć Jewgienija Prigożyna

Można się spodziewać jeszcze więcej przemocy

Każdy, kto nadal należy do kremlowskiego wewnętrznego kręgu, zatrudnia teraz dodatkowych ochroniarzy i – jeśli może – wysyła rodzinę za granicę. Każdy jakoś związany z Prigożynem ma powody, by się bać

Applebaum



Rosja Władimira Putina od dawna jest krajem tajemniczych zgonów. Już w 1998 r., wkrótce po mianowaniu go szefem bezpieczeństwa, Galina Starowojtowa, parlamentarzystka, która wierzyła we wprowadzenie demokracji w Rosji, została zastrzelona na klatce schodowej swojego domu w Petersburgu. Osiem lat później Annę Politkowską, dziennikarkę, która dowiedziała się zbyt wiele o wojnach w Czeczenii, a mianowicie tego, że Putin wykorzystał je, aby zdobyć więcej władzy, spotkał ten sam los na klatce schodowej budynku, w którym mieszkała w Moskwie. W 2015 r. Borys Niemcow, głośny krytyk rządów Putina, został zamordowany przez zamachowca zaledwie kilka kroków od Kremla.

Inni krytycy, jeśli przeżyli, to cudem. W 2020 r. Aleksiej Nawalny, organizator jedyne prawdziwie narodowego antyputinowskiego ruchu politycznego, doznał zapaści, gdy podczas lotu z Tomśka do Moskwy próbował go otruć.

Wszyscy ci ludzie byli przeciwnikami Putina, otwarcie mówili lub pisali w kontrze do stworzonej przez niego kleptokracji. Jednak odkąd Putin rozpoczął na pełną skalę inwazję na Ukrainę, pojawiła się inna kategoria ofiar: członkowie rosyjskiej elity biznesowej, którzy być może nie byli wystarczająco lojalni lub choćby niewystarczająco podobali im się wojna. Oni również zaczęli umierać w dziwnych okolicznościach. Dwóch dyrektorów z branży gazowej zostało znalezionych z listami pożegnalnymi sugerującymi samobójstwo. Trzej inni zostali zabici wraz z żonami i dziećmi w czymś, co miało wyglądać na samobójstwo rozszerzone. Ciało właściciela kurortu w Soczi zostało odkryte na dnie pod klifem. Inny został znaleziony w basenie w Petersburgu. Kolejni wypadali z okien lub spadali ze schodów w Moskwie, Indiach, na Riwierze Francuskiej, a nawet w Waszyngtonie.

Jednak na długiej liście osób, które zostały zastrzelone, powieszone, otrute etc., ponieważ w jakiś sposób przeszły w drogę Putinowi, Jewgienij Prigożyn bardzo się wyróżnia.

Jego prywatny samolot rozbił się w środę wskutek eksplozji, być może bomby na pokładzie lub rakiety. Władze szybko poinformowały, że Prigożyn znajdował się na liście pasażerów, choć zachodnie agencje wywiadowcze nie mogły natychmiast potwierdzić, że faktycznie wszedł na pokład. Ale ktoś, kto doprowadził do katastrofy samolotu, mógł działać tylko na rozkaz Putina lub przynajmniej antycypując jego życzenie (czyż nikt nie



• **Ekipy ratunkowe wynoszą zwłoki z wraku samolotu należącego do Grupy Wagnera, który rozbił się w środę w obwodzie twerskim w Rosji. Wśród ofiar są m.in. Jewgienij Prigożyn (na zdjęciu obok z Władimirem Putinem) i jego zastępca Dmitrij Utkin.**



pozbędzie się dla mnie tego męczącego najemnika?).

Tylko że przecież Prigożyn nie był przeciwnikiem Putina; on pomógł go stworzyć. Nie był krytykiem putinowskiej kleptokracji, przeciwnie, zbudował formację najemników, która wspierała afrykańskich i bliskowschodnich dyktatorów i w imieniu Moskwy eksploatowała kopalnie diamentów. To on założył i prowadził Internet Research Agency, organizację, która wykorzystwała hakowanie, fake newsy i media społecznościowe, aby pomóc w wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA.

Prigożyn nie był nawet przeciwnikiem obecnej wojny. Jego ludzie i zwerbowani przez nich skazańcy stoczyli długą, krwawą bitwę o Bachmut, odnosząc jedyny jak dotąd rosyjski sukces w Ukrainie w tym roku. Tysiące rosyjskich żołnierzy, być może dziesiątki tysięcy, zginęło tam wskutek zastosowanej przez wagnerowców taktyki tak bardzo marnotrawiącej ludzkie życie, że sami Rosjanie określają ją „maszynką do mięsa”.

Z czasem Prigożyn zaczął mieć pewne wątpliwości co do tego, jak prowadzona jest ta wojna, a być może także co do prawdziwych motywów tych, którzy ją prowadzą. Ostatecznie zdecydował się rzucić wyzwanie dowództwu rosyjskiej armii, ale tym samym także prezydentowi Rosji, organizując dziwny, a zarazem nienapotyka-

cy oporu zbrojny marsz, od opanowanego błyskawicznie Rostowa nad Donem prawie aż do Moskwy, dokładnie 60 dni temu.

Owszem, to kolejna podejrzana śmierć, ale zarazem stanowi jej nowy rodzaj. Wraz z tą katastrofą lotniczą przemoc z peryferii rosyjskiego imperium przeniosła się do jego ściślego centrum. Rządy Putina od początku były utrzymywane dzięki kombinacji oportunistów i przekupstwa, za fasadą nacjonalizmu i zawsze ze wsparciem subtelnej groźby przemocy. Ale po buncie Prigożyna Putin potrzebuje czegoś bardziej spektakularnego: przemocy teatralnej, publicznej – właśnie takiej, która doprowadza do upadku samolotu wkrótce po starcie w środ-

Putin potrzebuje czegoś bardziej spektakularnego: przemocy teatralnej, publicznej – właśnie takiej, która doprowadza do upadku samolotu wkrótce po starcie w środku słonecznego dnia; przemocy zaprojektowanej tak, aby przerazić każdego, kto potajemnie życzył Prigożynowi powodzenia

ku słonecznego dnia; przemocy zaprojektowanej tak, aby przerazić każdego, kto potajemnie życzył Prigożynowi powodzenia.

Wkrótce jednak może potrzebować jej znacznie więcej. Nie ma wzajemnego zaufania wśród rosyjskich elit, nie ma prawdziwej spajającej ideologii poza własnym interesem. Bezpieczeństwo Prigożyna i jego najemników miało być zagwarantowane przez Aleksandra Łukaszenkę, dyktatora Białorusi. Ta obietnica, jak większość składanych przez Putina, okazała się czczą.

Każdy, kto nadal należy do kremlowskiego wewnętrznego kręgu, zatrudnia teraz dodatkowych ochroniarzy i – jeśli może – wysyła swoją rodzinę za granicę. Ci, których na to stać, już mają prywatne armie. Natomiast każdy jakoś związany dotąd z Prigożynem ma teraz nowe powody, by obawiać się o własne bezpieczeństwo. Jeden z generałów bliskich Prigożynowi, Siergiej Surowikin, został w środę zwolniony z dowodzenia siłami lotniczymi. Tak czy inaczej, nie widziano go publicznie od wielu tygodni. Zastępca Prigożyna Dmitrij Utkin miał zginąć w samolocie razem z nim.

Ale przecież wielu innych w Moskwie знаło Prigożyna, pracowało z nim i czerpało korzyści z jego przedsięwzięć, wojskowych czy kryminalnych. Czy będą biernie czekać, aż dośięgnie ich teatralna przemoc? Uciekną (na początku tego tygodnia pojawiły się doniesienia, że oddziały Wagnera już opuszczają swoje nowo wybudowane obozy na Białorusi) czy spróbują uderzyć pierwsi? Grey Zone, kanał na Telegramie powiązany z Grupą Wagnera, już otwarcie sformułował groźbę. „Zabójstwo Prigożyna będzie miało katastrofalne konsekwencje – głosi jeden z czwartkowych wpisów. – Ludzie, którzy wydali ten rozkaz, nie rozumieją nastrojów w armii. Niech więc to będzie lekcja dla wszystkich. Zawsze trzeba iść do końca”.

Przez „koniec” autor rozumie Moskwę. Prigożyn nie dotarł ze swoim marszem do Moskwy. Może teraz zrobi to ktoś inny. ●

Anne Applebaum
tłum. Łukasz Grzymisławski

SZACH KOŁODZIEJCZAKIEM

Donald Tusk, przyjmując lidera Agrounii na listy KO, ryzykuje, ale wie też, że bez tego ma małe szanse na zwycięstwo.

FOT. MACIEJ WASILEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Rolnicy to najbardziej wierny elektorat Prawa i Sprawiedliwości, potwierdzali to we wszystkich wyborach, począwszy od 2007 roku. A od 2015 roku PiS jest na wsi niekwestionowanym liderem – od tego czasu poparcie dla tej partii zawsze przekracza tu 60 proc. Politycy prawicy zdobyli serca mieszkańców wsi swoją narodowo-patriotyczno-katolicką narracją, przy silnym wsparciu lokalnych kościołów. A w 2015 roku doszła do tego obietnica 500 plus i cofnięcie wieku emerytalnego.

Te obietnice PiS zrealizował z nawiązką, czym zdobył sobie na wsi wiarygodność. Wieś pokochała ciapowatego z wyglądu prezesa Jarosława Kaczyńskiego, w paniach budzi on wręcz matczyne uczucia. Pokochała Andrzej Dudę, popierając go gremialnie w ostatnich wyborach, bo on „tak pięknie mówi i widać, że kocha Polskę”. Za to coraz mniej ludzie na wsi lubili opozycję za jej krytykę Kościoła, za „fanaberie w obronie różnych odmienneńców”, a już szczególnie nie lubili Donalda Tuska, do czego walnie, niemal dzień w dzień od miesięcy przykłada się TVP. Dla wielu mieszkańców wsi jej programy są głównym, a czasem jedynym źródłem informacji.

Ale wieś jest zróżnicowana. Mieszka tu 15 mln ludzi, a rolnicy są w mniejszości, ledwie 1,3 mln sięga po dopłaty unijne, czyli ma ziemię. Ale tylko 300-400 tys. z nich żyje z rolnictwa. To rolnicy towarowi, to oni produkują i sprzedają żywność. I to ta grupa jest wręcz wrogo nastawiona do obecnej władzy.

Ma powody, bo dla nich mniejsze znaczenie ma wsparcie socjalne, tu o nastrojach decydują ceny zbyt wy-

twarzanej przez nich żywności. A ceny są wręcz drastycznie niskie na niemal wszystkie podstawowe produkty – zboże, drób, mleko, owoce. Są poniżej kosztów wytwarzania, a do tego trudno te produkty sprzedać. Dlatego nastroje są wśród rolników towarowych złe, a wielu z nich znalazło się w tragicznej sytuacji – nie wiedzą, jak spłacać raty kredytów pozaciąganych na inwestycje. Nie wierzą rządowi i kolejnym ministrom rolnictwa w rozwiązanie swoich problemów, nie chcą obietnic kolejnych dotacji, chcą realnego, długofalowego zajęcia się ich sprawami. To ta grupa od miesięcy „jest do wzięcia” przez formację polityczną, która to w porę zrozumie.

Te 300-400 tys. to niewiele głosów w skali całego kraju. Ale to one właśnie mogą zadecydować o wyniku wyborów. Politycy dobrze zdają sobie z tego sprawę. To dlatego PiS bez opamiętania podsypuje wieś pieniędźmi – obiecał rekordową pomoc, aż 15 mld zł. Każdy coś może dostać – i koła gospodyń wiejskich, i ci, którzy zbyt tanio sprzedali zeszłoroczne zboże, i ci, którzy kupili za drogo nawozy.

To dlatego Platforma, która nie ma wiejskiego skrzydła, zaczęła zakładać na wsiach agroluby, by choć część rolników do siebie przekonać. To dlatego PSL, który systematycznie traci poparcie na wsi, tak bardzo chciał przytulić Michała Kołodziejczaka i jego Agrounię do Trzeciej Drogi – liderzy PSL świetnie zdawali sobie sprawę, że połączenie tradycyjnej chłopskiej partii z młodym, pełnym energii liderem buntowniczej organizacji może mocno podbić im głosy na wsi. Wedle Artura Balazsa, który próbował uszyć ten

sojusz, Trzecia Droga z Agrounią na pokładzie mogłaby nawet przekroczyć 15 proc. poparcia w wyborach. Nie zdawał sobie z tego sprawy Szymon Holownia i zablokował Kołodziejczaka.

Sytuację wykorzystał więc Donald Tusk. – Obaj wiemy, że w tej batalii nie można zmarnować ani jednego głosu – powiedział, przedstawiając Kołodziejczaka jako jedynkę Koalicji Obywatelskiej z Konina.

Tusk po raz kolejny pokazał, że jest politykiem otwartym, który nie boi się ryzykownych posunięć, jeśli mają go one przybliżyć do celu. Dobrze wie, że bez głosów wsi wyborów nie wygra i celu nie osiągnie. Zapraszając na listy KO Kołodziejczaka, dając mu biorące miejsce w jednym z okręgów i kilka innych miejsc dla działaczy Agrounii, Tusk nie tylko postąpił odważnie, ale i sporo zaryzykował.

Kołodziejczak jest człowiekiem, który ma za sobą wiele kontrowersyjnych wypowiedzi i z pewnością jeszcze nie jedno chlapnie. Nikt nie da dziś głowy, jak będzie się zachowywał w przyszłym parlamencie. Choć ojciec chrzestny tego porozumienia, czyli Balazs, zapewnił w TOK FM, że to człowiek odpowiedzialny, który choć młody, to szybko się uczy, a na pewno serdecznie nie lubi PiS, więc nie ma mowy o przejściu na tę stronę sceny politycznej.

Sam Kołodziejczak, choć jest politykiem młodym, to pokazał, że umie dobrze liczyć. Żaden sondaż nie dawał mu bowiem szans na samodzielne wejście do Sejmu. To dlatego szukał dla Agrounii miejsca w sojuszu z innymi – najpierw z resztkami Porozumienia Jarosława Gowina, potem z Trzecią Droga. I dlatego, połykając własny

język (jeszcze niedawno mocno Tuska krytykował), przyjął ofertę szefa Platformy. Kołodziejczak ma to, czego politykom PO brakuje – mówi językiem rolników, jest autentyczny w swoim gniewie na trudności, z jakim się stykają, w małym palcu ma ich problemy, jest po prostu wiarygodny.

W parę dni po porozumieniu Tuska z Kołodziejczakiem widać wyraźnie, jak bardzo ta sprawa zabolala partię rządzącą, jak bardzo ją przerażała. Każdy niemal polityk Zjednoczonej Prawicy ma coś złego do powiedzenia o Kołodziejczaku. Atak na niego, któremu patronuje Telewizja Polska, jest bezprecedensowy – nawet Tusk poszedł w odstawkę. Można usłyszeć, że Kołodziejczak to agent i sympatyk Putina, zdrajca polskiej wsi i rolników (tak zaczął sam premier Morawiecki). To on „podjął próbę destabilizacji państwa polskiego” (posłanka Anna Kwiecień), a nawet – że to człowiek, który „niszczy żywność, rozrzucając ją po ulicach Warszawy” (wiceminister rolnictwa Krzysztof Cieciora).

Kołodziejczak uczy się na własnych błędach, więc mniej ważne jest to, co mówił, ważne, co jeszcze powie. A na razie mówi rzeczy słuszne. Mówi, że jeśli chce się walczyć o sprawy rolników, to trzeba być w Sejmie. Mówi, że w Polsce mamy stan wyższej konieczności, a stawka tych wyborów jest bardzo wysoka. Mówi, że wybory to takie zawody, w których tylko wspólnie działania przyniesie sukces. I obiecuje, że zrobi wszystko, by cała Agrounia zaangażowała się w to wspólne zwycięstwo.

I to zdanie jest teraz kluczowe. Od tego, na ile Kołodziejczak przekona swoich działaczy, że warto z Platformą, od której się odcinali, walczyć o odsunięcie PiS od władzy, bardzo wiele zależy. Ilu z nich przekona, by ruszyli do walki o głosy wsi wspólnie z Tuskiem dla dobra tej wsi, a nie po to, by on dopchał się do koryta, co mu już niektórzy zarzucają. W internecie można zobaczyć, jak jeden z działaczy Agrounii demonstracyjnie pali kurtkę z logo organizacji. Ilu odejdzie ze struktur partii, a ilu jednak zostanie przy liderze, będzie decydujące dla powodzenia całego przedsięwzięcia.

Realnie licząc, Agrounia ma ok. 2 proc. poparcia. Teraz ta grupa może poprzeć Koalicję Obywatelską, ale może też oddać głosy na Konfederację, a część wrócić do PiS, skoro uzna, że Kołodziejczak ich zdradził. Jak mówi mi jeden z działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego, który kibicował włączeniu Kołodziejczaka na listy Trzeciej Drogi: „Te jego 2 proc. to niewiele, ale być może właśnie tyle nam zabraknie, by wejść do Sejmu”.

FOT. SHUTTERSTOCK



Wieś trzy dekady po transformacji

STODOŁY ZNIKNĘŁY

Żadna władza nie pomagała rolnikom, zajęta głównie zdobywaniem poparcia w wiejskim elektoracie, a nie rozwojem rolnictwa. Ale dopiero rządy PiS wprost obnażyły tę prawdę.

Krystyna Naszkowska

Mimo to w ciągu ostatnich 30 lat staliśmy się prawdziwą rolniczą potęgą – produkcyjną i eksportową. Postęp dokonał się wyłącznie dzięki przedsiębiorczości rolników i funduszom unijnym.

MNIEJ KRÓW, LECZ WIĘCEJ MLEKA

Kiedy latem jedzie się przez Polskę, widać pola uprawne, a na nich pszenicę, jęczmień, rzepak, kukurydzę. To inny krajobraz niż 30 lat temu – wtedy obok zbóż na polach królowały: ziemniaki, buraki, cebula, kapusta. Zniknęły pola ziemniaków. Jeszcze w 1990 r. mieliśmy nimi obsadzone 1,8 mln ha, w 2021 r. – już niecałe 200 tys. ha. Zniknęły też buraki. Jednak w tym samym czasie plony ziemniaków wzrosły o 50 proc., a buraków o 30 proc., uprawy są po prostu bardziej efektywne.

Kukurydzy 30 lat temu w ogóle nie było, bo nie było odmian, które dało się uprawiać w naszym klimacie. Rzepak siano znacznie rzadziej niż obecnie, bo dopiero w 2005 r. wprowadzono dopłaty do jego produkcji na biopaliwa i zwiększono obowiązek dodawania tego komponentu w transporcie. Tylko zboża cały czas zajmują podobny obszar – ok. 75 proc. wszystkich zasiewów.

Zniknęły małe, wąskie zagony przydomowych upraw, gdzie każdy rolnik miał trochę tego i owego, bez potrzeby robienia zakupów w sklepie. Dziś po szerokich polach jeżdżą traktory w wersji mercedesa,

czasem nawet sterowane elektronicznie, bez kierowcy.

Kiedy 30 lat temu przejeżdżało się przez byle wioskę, widać było przy każdym obejściu choć jedną krowę, kury chodzące po podwórku, świnie wyglądające z chlewika, czasem owce. Dziś w wielu wioskach nie ma ani jednego zwierzęcia hodowlanego. Są za to takie gospodarstwa, które mają po kilkaset krów lub po parę tysięcy świń czy kilkaset tysięcy kur. Krów mieliśmy 5 mln, teraz mamy 2,5 mln. Ale dają dziś więcej mleka, niż kiedy było ich dwa razy więcej, i to mleka wysokiej jakości, dobrze potem przetwarzanego. Polska stała się wielkim producentem masła, mleka w proszku, serów, twarogów, śmietany.

We wsiach, w których 30 lat temu mieszkało np. 50 rolników, dziś jest ich pięciu-siedmiu. Łatwo ich poznać, przed ich domami stoją maszyny rolnicze. Reszta domów należy do osób, które tylko biorą dopłaty, a niczego nie uprawiają. Na wsi pojawili się też nowi sąsiedzi, którzy przenieśli się tu z miasta – lekarze, przedsiębiorcy, artyści. Ci nowi są zwykle największymi przeciwnikami rolników, którzy chcą rozwijać swoje gospodarstwa – przeszkadzają im wiejskie zapachy: z obory, chlewni, kurnika czy pola, na które ktoś wywiózł obornik. Założenie nowej chlewni jest często skrajnie trudne, bo sąsiedzi skutecznie protestują.

SILOS Y W KRAJOBRAZIE

To, co uderza w wyglądzie typowego rolniczego obejścia, to brak stodoły. Kiedyś była niezbędna, bo służyła do przechowywania zboża. Przechowalnictwo zmieniło się jednak całkowicie, dziś rolnicy przechowują ziarno w silosach. Najczęściej tych z napisem BIN. Ich twórcą był nieżyjący już Zygmunt Krzemiński, inżynier, który na Kujawach koło Aleksandrowa razem z dwoma braćmi zaczął produkować silosy do zboża. Pokazywali je na wystawach, targach, rolnikom się spodobały.

– Ta firma spowodowała zmianę myślenia rolników o przechowalnictwie, sta-

li się graczami na rynku zbóż – wcześniej sprzedali pośrednikom swoje ziarno, by się w stodołę nie zepsuło, a teraz mogli czekać, aż ceny będą im odpowiadały. To zrobiło na wsi furorę. To nasz pierwszy laureat. Został agrobiznesmenem roku w 1991 r. – mówi Leon Wawreniuk, dziennikarz, który na początku transformacji postanowił promować przedsiębiorczych rolników, nadając im tytuł Agrobiznesmena Roku. Napisał do wszystkich gmin w kraju z prośbą o przesyłanie adresów rolników, którzy inwestują w rozwój swoich gospodarstw, czy firm z branży rolnej. Za pieniądze uzyskane z polsko-amerykańskiej fundacji zaczął wydawać fachowe pismo, w którym opisywał przykłady „dobrej roboty”, i za darmo rozsyłał je rolnikom.

KIEDYŚ LUDZIE TRZYMALI SZTAMĘ!

Zmienił się nie tylko krajobraz wiejski, ale też obyczaje, styl życia, stosunki sąsiedzkie we wsiach. Wawreniuk, który pochodzi ze wsi na Podlasiu, dobrze pamięta, jak było kiedyś.

– Mój ojciec był sołtysiem, u mnie w domu odbywały się różne spotkania, zwłaszcza jesienią i zimą, kiedy nie było pracy w polu, ludzie schodzili się wieczorami, by porozmawiać. Przed każdym obejściem stały ławeczki. I pod wieczór latem ludzie siadali na tych ławeczkach, śpiewali – opowiada. – Jedna osoba we wsi miała telewizor, to do niej przychodzili mieszkańcy, a przy okazji budowali swoje relacje sąsiedzkie. Kiedy wybuchł pożar, cała wieś rzuciła się gasić i ugasila, zanim straż przyjechała. W czynie społecznym obsadzało się drzewkami drogi, a kiedy przyszedł czas omłotów, to nikt nikogo do pracy nie wynajmował, tylko się odrabiało – ja u ciebie popracuję, a potem ty u mnie. Ludzie trzymali na co dzień sztamę. Dziś każdy się izoluje – wspomina.

Na wsiach mieszka ok. 15 mln ludzi, lecz rolnicy są w mniejszości, ledwie 1,3 mln sięga po dopłaty unijne, czyli ma ziemię.

Tylko 300-400 tys. z nich żyje z rolnictwa. To rolnicy towarowi – to oni produkują i sprzedają żywność. Reszta żyje z dopłat, emerytur, dzierżawy swojej ziemi tym, którzy ją wykorzystują produkcyjnie (często „na gębę”, czyli fikcyjnie), no i dorabia poza rolnictwem.

PODLASIE MLEKIEM PŁYNĄCE

Przez ostatnich 30 lat polskie rolnictwo przeszło głęboką przemianę, zwłaszcza po wstąpieniu do Unii Europejskiej, kiedy staliśmy się częścią zjednoczonego rynku, bez barier celnych, które ograniczały zarówno import, jak i eksport. Mamy naprawdę nowoczesne rolnictwo, a w niektórych branżach staliśmy się potęgami, nie tylko unijnymi, ale też światowymi, np. w produkcji drobiu, owoców miękkich, koncentratu jabłkowego, wyrobów mleczarskich, wołowiny czy uprawie pieczarek.

Największy postęp dokonał się na Podlasiu, lecz ono było najbardziej zacofane. Teraz w hodowli bydła jest na pierwszym miejscu w kraju – stało się krainą mlekiem płynącą. Tu są największe obszary pastwiskowe, łąkowe, tu powstały najnowocześniejsze mleczarnie, takie jak w Grajewie czy Radzynie Podlaskim. I pod zamówienie tych mleczarni zmieniło się podlaskie rolnictwo. Bydło potrzebuje kukurydzy, więc na Podlasiu przeważają gospodarstwa, które w tym się specjalizują, bo na to mają zbyt. Takie mleczne gospodarstwo ma roboty udojowe, nikt sam nie doi kilkuset krów (robot kosztuje nawet 0,5 mln zł). Jest specjalistyczny sprzęt do usuwania obornika, do podawania paszy, są chłodziarki do mleka itd.

Z kolei w Zachodniopomorskiem przeważają wielkoobszarowe gospodarstwa specjalizujące się w produkcji roślinnej – rzepaku i zbóż. Tu było dużo PGR-ów i na ich bazie powstały duże prywatne gospodarstwa.

Od wejścia do Unii zrobiliśmy miły krok z wielkim przeskokiem. Nasze wysokotowarowe gospodarstwa są czę-

sto znacznie lepiej wyposażone niż na zachodzie Europy. Mechanizacja, a nawet robotyzacja, jest na wyższym poziomie niż przeciętnie w Niemczech, Francji czy Belgii. Unia, rozdając hojną ręką dotacje do kupna nowoczesnych maszyn, rozpuściła rolników, którzy tak się zachłysłeni możliwością nabycia nowego ciągnika, że kupowali nawet wtedy, gdy nie był im niezbędny. Mamy gospodarstwa, w których jest 10 ciągników, co ma się nijak do rachunku ekonomicznego.

POCHOPNY WYROK NA PGR-Y

Przez 30 lat nasza struktura agrarna zmieniała się jednak niewiele, właściwie przypomina tę z okresu międzywojennego, kiedy główną cechą rolnictwa było rozwarstwienie. Wówczas gospodarstw, które miały więcej niż 50 ha, było ledwie 0,2 proc., a dwie trzecie stanowiły gospodarstwa karłowate, poniżej 5 ha. Po wojnie i reformie rolnej niewiele się zmieniło – w miejsce prywatnych dużych gospodarstw powstały PGR-y, czyli duże gospodarstwa państwowe, a te małe nieco się powiększyły.

Na przemianach lat 90. najbardziej straciли pracownicy PGR-ów. Zwłaszcza starsi, mało przedsiębiorczy, przyzwyczajeni do pracy na odcinku wyznaczonym przez szefa. Nie byli przygotowani do brania losu we własne ręce, ale też nikt im tego nie ułatwiał, np. banki nie były chętne do udzielania im kredytów na rozkręcenie własnej działalności.

Wszystkie PGR-y potraktowano tak samo, nie zagłębiano się w ich ekonomię, doświadczenie. A niektóre były bardzo dobrze prowadzone, efektywne, a produkcja zorganizowana była na wysokim poziomie. Nie trzeba było wszystkich rozwalać tylko dlatego, że były symbolem rolnictwa PRL-u.

Na wsi mieszka
ok. 15 mln ludzi,
ale rolnicy są
w mniejszości, ledwie
3 mln sięga po dopłaty
unijne, czyli ma ziemię.
Ale tylko
300-400 tys. z nich
żyje z rolnictwa

Pracownicy tych gospodarstw zostali zostawieni samym sobie, a nie byli na to przygotowani. Zostali w blokach wybudowanych przez PGR-y, ale już bez zakładu pracy. Nie potrafili się dostosować do nowych okoliczności. I pewnie dlatego tak pokochali PiS, który dał im do ręki 500 plus oraz 13. i 14. emeryturę. Dziś mówią, że tak dobrze jak za rządów prawy nie było im w czasie ostatnich 30 lat.

W 1991 r. powstała Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, która przejęła ziemię należącą do państwa oraz PGR-y i zaczęła je wyprzedawać i wydzierżawiać chętnym do prowadzenia działalności rolniczej. Na bazie PGR-ów znowu powstały duże gospodarstwa, tym razem prywatne i podobnie jak przed wojną stanowią one niewielki procent wszystkich istniejących – ponad 100-hektarowych mamy ledwie 0,8 proc. Zdecydowaną większość nadal stanowią gospodarstwa, które niczego na rynek nie wytwarzają, a służą jedy-

Fachowcy i partacze – najlepsi i najgorsi ministrowie rolnictwa

Robert Telus nawet nie udaje, że dba o rolnictwo. To aparatczyk partyjny, a każde jego wystąpienie to akt propagandowy, który ma służyć utrzymaniu poparcia wsi dla PiS.

Krystyna Naszkowska

Od momentu, kiedy powstał pierwszy rząd III RP, do dziś ministrowie rolnictwa zmieniali się aż 28 razy, choć było ich tylko 24 – czterej powoływani byli bowiem na to stanowisko dwukrotnie: Adam Tański, Jarosław Kalinowski, Krzysztof Jurgiel i Marek Sawicki. Najkrócej swoją funkcję pełnił Janusz Byliński w rządzie premiera Tadeusza Mazowieckiego, bo tylko 120 dni, najdłuższym ministrem był Marek Sawicki, najpierw w rządzie Donalda Tuska, a potem Ewy Kopacz. Większość ministrów była rolnikami. Różnie sobie radzili, znaczną większość kierowała się przede wszystkim interesem partii, z której się wywodzili, wielu nie miało żadnych kwalifikacji do kierowania tak trudnym resortem. Kilku było niezłych, kilku fatalnych, większość niewarta zapamiętania.

NAJLEPSI

Najlepszym był **Adam Tański**. Należy mu się ta ocena za pierwszą kadencję w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego (styczeń-grudzień 1991). Ekonomista rolny, rzeczowy, rozwiązywał problemy, nie ulegając emocjom, właściwie apolityczny. Był szefem resortu w bardzo trudnym czasie, kiedy budżetu nie stać już było na finansowanie państwowych gospodarstw rolnych i coś trzeba było z nimi zrobić. Tański przeprowadził ich prywatyzację w niezwykle trudnych warunkach, nieustająco atakowany przez rolniczą „Solidarność”. Za odwagę i konsekwencję w działaniu należą mu się gratulacje. Nie wszystko się udało, ówczesny rząd nie zadbał o miękkie lądowanie dla byłych pracowników PGR-ów, co do dziś się odbija czkawką. Oczywiście zawsze można było coś zrobić lepiej, niemniej wówczas trzeba było działać szybko i radykalnie. Tański to zrobił, jego dwaj poprzednicy na tym stanowisku po 1989 roku bali się PGR-ów dotykać.

Drugie i trzecie miejsce ex aequo należy się **Jarosławowi Kalinowskiemu** (PSL, minister w 1997 r. oraz w latach 2001-03) i **Arturowi Balazsowi** (szef nieistniejącego już Stronnictwa Konserwatywno-

-Ludowego, kierował resortem w latach 1999-2001). Pierwszemu za bardzo skuteczną i konsekwentną walkę o jak najlepsze warunki dla naszej akcesji do Unii. Kalinowski w rządzie Leszka Millera działał pod ogromną presją ze strony nie tylko Komisji Europejskiej, ale i własnego premiera, by zgodzić się na warunki proponowane przez Brukselę. Ale się nie godził, aż wywalczył takie, które uważał za najlepsze dla rozwoju naszego rolnictwa. Jego bitwa o kwoty mleczne przeszła do historii, a dzięki niej nasze mleczarstwo jest dziś unijną potęgą. Zastugą Balazsa było doprowadzenie do bardzo dobrych relacji z Brukselą, co przekładało się na wymierne dla nas korzyści. Żaden inny minister nie miał tak bezpośrednich kontaktów z urzędnikami brukselskimi. Balazs miał superrelacje nie tylko z komisarzem ds. rolnictwa, ale też z wieloma innymi, np. ds. handlu. Patrzył szeroko i rozwiązywał problemy, bez zbędnych napięć, z Brukselą i w kraju z rolnikami. Nikt inny takich umiejętności negocjacyjnych nie posiadał.

Na czwartym miejscu jest **Marek Sawicki** (PSL, na czele resortu w latach 2007-12 oraz 2014-15), który na rolnictwie się zna i swoją pierwszą kadencję za Donalda Tuska miał udaną, zrobił kilka rzeczy dobrych, unikał głupstw. Niestety w rządzie Ewy Kopacz był już bardziej politykiem niż ministrem rolnictwa, jak nikt przed nim obsadzał ludowcami wszelkie możliwe stanowiska w agencjach rolnych. To jemu zawdzięczamy pierwszą wersję ustawy, która biła w dzierżawców, w najlepsze nasze gospodarstwa rolne, ale miała pozyskać głosy drobnych rolników. Potem jego wersję twórczo i z większą jeszcze szkodą dla rolnictwa rozwinęli ministrowie w rządach PiS.

Na piątym miejscu jest **Jan Krzysztof Ardanowski**. Był ministrem (lata 2018-20) w rządzie PiS, ale potrafił się sprzeciwić Jarosławowi Kaczyńskiemu, kiedy ten forsował niekorzystną dla rolników ustawę, tzw. piątkę dla zwierząt. Zapłacił za to stanowiskiem. Ardanowski sprzeciwiał się też Brukseli, kiedy uważał, że jej decyzje szkodzą albo są po prostu niemądre. Za to rolnicy go pokochali. Do dziś jest przez większość z nich uznawany za najlepszego ministra rolnictwa ostatnich 33 lat. Zostanie zapamiętany jako ten, który ujawnił, co Kaczyński myśli

o rolniczym elektoracie („chłop pazerny jest, da mu się przed wyborami parę złotych, to na nas zagłusuje”).

NAJGORSI

Ranking najgorszych szefów resortu otwiera obecny, **Robert Telus** (PiS, minister od kwietnia 2023), który nawet nie udaje, że dba o rolnictwo. To aparatczyk partyjny, każde jego wystąpienie to akt propagandowy, który ma służyć utrzymaniu poparcia wsi dla PiS. Dla swoich krytyków ma tylko jedną odpowiedź i zawsze taką samą: działacie w imieniu Kremla! Na jednym z wieców w ferworze krzyknął szczerze: „My inwestujemy w świnie!”. I tylko z tego może być zapamiętany.

Fatalnym ministrem był **Krzysztof Jurgiel** (lata 2005-06 oraz 2015-18). Został zapamiętany jako ten, który dał się nabrać dziennikarzom i kazał podstawić swoją limuzynę służbową do dyspozycji Tadeusza Rydyka. Poza tym nie miał pojęcia, po co jest w resorcie. Był, bo jako wierny żołnierz Jarosława Kaczyńskiego spełnił jego prośbę.

Bardzo słabym ministrem okazał się ambitny, wykształcony działacz „Solidarności” rolniczej **Gabriel Janowski** (na czele resortu w latach 1991-93). Fatalny organizator, niczego nie potrafił skończyć, co zaczął, dziecinny w swoich reakcjach, obraźliwy, mało zrównoważony. Mimo to kierował resortem zarówno w rządzie Jana Olszewskiego, jak i Hanny Suchockiej. Kolejny stricte polityczny wybór.

Słabym ministrem był też **Andrzej Lepper** (2006-07), twórca Samoobrony. Miał szansę dobrze zapisać się w historii naszego rolnictwa, posiadał konieczną do tego wiedzę, cieszył się też na wsi autorytetem. Przedstawił nawet sensowny program, kiedy obejmował fotel ministra, m.in. zapowiedział na szeroką skalę budowę małych zbiorników wodnych w całym kraju, co miało niwelować skutki coraz częściej nawiedzających Polskę susz. Nic z tego nie zrealizował, bo zajęty był budowaniem własnej formacji politycznej i rozgrywkami wewnątrz rządu. ●



Adam Tański



Jarosław Kalinowski



Artur Balazs



Marek Sawicki



Jan Krzysztof Ardanowski



Robert Telus



Krzysztof Jurgiel



Gabriel Janowski



Andrzej Lepper

nie jako dodatkowe źródło dochodów, np. z dopłat albo dzierżawy.

JAK ZAŁATWIĆ PRZEDSIĘBIORCĘ?

W krajach zachodnich podstawę funkcjonowania dużego gospodarstwa stanowi dzierżawa ziemi, a nie jej własność. Chodzi o to, by rolnik inwestował w nowoczesne urządzenia i maszyny, dobrej rasy zwierzęta hodowlane, a nie w drogą ziemię, która oznacza na lata zamrożenie kapitału. Dlatego w tych krajach umowa dzierżawna to świętość – zawierana jest na długo, np. na 30 lat, i ma ściśle określone ramy, których nikt nie podważa. Niedopuszczalne jest, by w trakcie dzierżawy nagle zmieniać warunki. W Polsce dzierżawa okazała się ryzykiem.

Spółkę Goodvalley założyła przed 28 laty grupa 50 duńskich farmerów. Przez te lata zainwestowali w Polsce ponad 1 mld zł w różnego rodzaju nieruchomości na gruntach dzierżawionych od skarbu państwa, w fermy tuczu, biogazownie, przetwórnictwo pasz itd. Stworzyli superprzedsiębiorstwo, które zatrudnia 1500 osób. Ale ponieważ nie oddali na niespodziewane żądanie państwa 30 proc. ziemi, stracili prawo do przedłużenia umowy dzierżawnej.

Albo taki przykład: Agromax Racibórz to obecnie największy na Śląsku producent mleka. Spółka (tym razem założona przez Polaków) powstała na bazie dawnego PGR-u, zatrudniła jego byłych pracowników, wykupiła budynki i sprzęt, a grunty wydzierżawiła. I również nie oddała 30 proc. tej ziemi na żądanie Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa (następca AWRSP). W czerwcu tego roku skończyła jej się dzierżawa i nie dostała zgody na jej przedłużenie ani na wykup ziemi. Pracownicy (ok. 90 osób) rozpoczęli protesty w obronie miejsc pracy, bo brak ziemi oznacza likwidację przedsiębiorstwa – nie da się trzymać krów bez łąk i pastwisk.

ROLNIK LICZY SIĘ TYLKO PRZY URNIE

Te przykłady pokazują największy problem naszego rolnictwa – rządzący (nie tylko aktualnie, ale także poprzednio) traktują rolników jako głosy wyborcze, a nie producentów żywności. I o te głosy walczą, a rozwój rolnictwa dokonuje się mimochodem, bez pomocy władzy, a czasem wręcz jej intencjom.

Z tego powodu mamy dopłaty do hektara, a nie do produkcji, bo tak rządzący w 2003 i 2004 r. politycy SLD i PSL chcieli przekonać wieś do poparcia w referendum wejścia Polski do Unii. Owszem, wieś poparła naszą akcesję, lecz dzięki takim dopłatom praktycznie zahamowano przepływ ziemi od małych do większych gospodarstw, które chciały się rozwijać.

Po latach tym razem rząd PO-PSL zrobił jeszcze coś gorszego: by jednak zmieniać strukturę własności ziemi, a jednocześnie przypodobać się większości rolników, wymyślił, że zabierze grunty dużym, by sprzedawać mniejszym, i tak powiększy przeciętne gospodarstwo. W 2011 r. znowelizowano ustawę o ustroju rolnym w taki sposób, by zmusić dzierżawców do oddania 30 proc. uprawianej państwową ziemi, choć mieli zawarte obo-

wiązujące umowy. Kto się temu nie podporządkował, miał stracić prawo do przedłużenia dzierżawy na następne lata po jej wygaśnięciu. Te regulacje dotknęły właśnie firmy Goodvalley i Agromax Racibórz.

Rozpoczął się proces odwrotny do tendencji światowych, a do tego przeprowadzono go, łamiąc wszelkie standardy. Pomysł rządzących był taki: ta ziemia wróci do skarbu państwa i zostanie rozdysponowana między okolicznych rolników na powiększenie ich gospodarstw albo założenie nowych. W efekcie takiego dzielenia zamiast np. jednego 1000-hektarowego gospodarstwa będziemy mieli 100 10-hektarowych. Ekonomicznie to był fatalny pomysł, bo te 10-hektarowe nadal nie są zdolne do konkutowania z zachodnimi dostawcami żywności, a za to ukatrupiliśmy duże, doinwestowane i taniej produkujące nowoczesne gospodarstwo.

Chodziło bowiem wcale nie o ekonomię, tylko o głosy elektoratu wiejskiego – towarowych gospodarstw mamy mało, nie jest ważne, że dają nam aż 40-50 proc. produkcji rolnej, można je poświęcić,

cych grunty skarbu państwa zagraża ich funkcjonowaniu. Ograniczenie możliwości rozwoju tej grupy przedsiębiorstw nie sprzyja poprawie struktury gospodarstw, a ponadto grozi ograniczeniem produkcji, a także może być przyczyną niepokojów społecznych z uwagi na to, że te przedsiębiorstwa są znaczącym pracodawcą na terenach wiejskich” – pisze prof. Wojciech Ziętara w „Przekształceniach”.

UKRAIŃSKA KLĘSKA PIS-U

Osobna sprawa to rolnictwo w czasach rządów PiS-u. Są rzeczy, które zrobiono sensownie, choć też oczywiście kierując się wyłącznie chęcią zdobywania głosów elektoratu wiejskiego. PiS podniósł emerytury KRUS do minimum ZUS-owskiego, wprowadził podobne zasady waloryzacji co w ZUS-ie, a przede wszystkim zniósł obowiązek przekazywania lub sprzedaży gospodarstwa przez rolnika, kiedy osiąga wiek emerytalny. To było na wsi odbierane jako wielka niesprawiedli-

We wsiach, w których
30 lat temu mieszkało
50 rolników, dziś jest ich
5-7. Łatwo ich poznać,
przed ich domami stoją
maszyny rolnicze.

Reszta bierze dopłaty,
a niczego nie uprawia

by przypodobać się milionowi małych. Wielu dużych się nie podporządkowało, gdyż oddanie z dnia na dzień jednej trzeciej ziemi mogło zniszczyć cały biznesplan, rozwalało produkcję. Jeśli ktoś np. miał krowy mleczne, które wymagały określonej wielkości pastwisk i upraw paszowych, oddanie ziemi oznaczało automatycznie redukcję stada. Ale tym ruchem PO, a właściwie PSL, zapewniło sobie kolejne cztery lata rządów.

Kiedy PiS doszedł do władzy, ustawę o ustroju rolnym jeszcze „ulepszył”, odbierając prawo dzierżawcom do nabywania na własność ziemi, co mieli wcześniej obiecane.

„Koncentracja produkcji powinna odbywać się poprzez zmniejszanie liczby gospodarstw i przepływ ziemi z małych do rozwijających się. (...) Dotacje unijne w małych idą na ich bieżące utrzymanie, w dużych na rozwój i inwestycje” – czytamy opinię ekspertów w opublikowanym w tym roku opracowaniu „Przekształcenia własnościowe w rolnictwie, 30 lat doświadczeń i perspektywy” (wyd. CeDeWu) pod redakcją prof. dr. hab. Henryka Rynowskiego.

„Aktualnie prowadzona polityka w stosunku do przedsiębiorstw wielkotowarowych dzierżawia-

wość, gdyż żadna inna grupa zawodowa nie musiała się pozbywać majątku czy warsztatu pracy, by pobierać emeryturę. PiS tak zdobywał poparcie.

Ale to, co się stało po wybuchu wojny w Ukrainie, to całkowita kompromitacja ministrów rolnictwa i całego rządu. Sprawa była prosta jak drut, łatwo było przewidzieć, co spowoduje otwarcie granicy dla ukraińskich produktów rolnych. Rząd nie zrobił niczego, by się do tego napływu przygotować, by przygotować rolników, a ostrzeżenia ekspertów lekceważył i wyśmiewał.

Zapewniał, że panuje nad sytuacją, choć wyraźnie nie miał pojęcia, jak ona wygląda. I po ponad roku nie wyciągnął żadnych wniosków – nadal nie ma pojęcia, jak się przygotować do kolejnego napływu ukraińskich produktów. Rząd Mateusza Morawieckiego ma tylko jedną receptę na problemy w rolnictwie i niezadowolenie rolników: dotacje! Nawozy są drogie? Dotujemy. Rolnicy stracili na zbożu? Damy rekompensaty. Maliny są za tanie? Skupimy z dopłatami. Susza zmniejszyła plony? Damy dotacje suszowe.

Jak słusznie mówi Michał Kołodziejczak, szef Agrounii: „Tak właśnie niszczy się rolnictwo!”. ●

PO PRAWDZIE

Bezpieczna przyszłość Polaków? Bez PiS-u

Boimy się u lekarza (bo doniesie), boimy się w szkole (bo indoktrynuje), boimy się w sklepie (że nas nie stać).

Agnieszka Kublik



Dziwi, naprawdę dziwi, że PiS na hasło swojej kampanii wyborczej, najważniejszej po 1989 r., jak słusznie przyznają wszyscy, wybrało hasło tak nudne, słabe, niewpadające w ucho, a więc trudne do zapamiętania – „Bezpieczna przyszłość Polaków”.

Od razu zresztą nasuwa się wątpliwość: a dlaczego nie „Polek i Polaków”?

Co gorsza, samo hasło w ogóle nie kojarzy się z PiS-em. Ba, równie dobrze to Koalicja Obywatelska mogłaby iść do wyborów z tym zawołaniem. Wszak Polska bez PiS-u będzie bezpieczniejsza. Pod każdym względem.

Bo dziś u lekarza nie czujemy się bezpiecznie. Przede wszystkim kobiety w ciąży (nie wiadomo, kiedy lekarz swoją wiedzę zechce się podzielić z prokuratorem, bo ma „sumienie”), a wraz z nimi ich rodziny, partnerzy, rodzice, dzieci. W ogóle wizyta u lekarza wiąże się teraz z ogromnym ryzykiem, bo władza może w każdej chwili (co udowodnił b. minister zdrowia) zajrzeć do danych medycznych każdego z nas.

Boimy się szkoły, bo minister edukacji wcale nie chce uczyć młodego pokolenia, jak żyć mądrze i godnie, tylko jak żyć, by wychwalać PiS. Podręczniki do historii, napisane na zamówienie tej władzy, a które powinny być opisem faktów, stały się zapisem strumienia świadomości jednego z wyznawców PiS-u.

Nawet podczas robienia zakupów nie czujemy się dziś bezpiecznie, bo nigdy nie wiadomo, na co nie starczy. Lista przyjemności, z których trzeba rezygnować, puchnie.

Kolejność tych niebezpieczeństw nie jest przypadkowa. Właśnie stan naszej służby zdrowia, szkolnictwo oraz drożyzna i inflacja to dla ponad 90 proc. najważniejsze kwestie polityczne (badanie Kantara dla Gazeta.pl). Dla najmłodszych – przede wszystkim szkoła i inflacja.

Właśnie w tych dziedzinach PiS zapewnia nam silne poczucie zagrożenia.

Dalej ważne dla Polek i Polaków jest zdrowie psychiczne – tu widać zapaść, zwłaszcza młodzi nie mogą liczyć na pomoc.

Oczywiście i bezpieczeństwo się liczy dla większości, ale PiS i na tym polu nie wzbudza zaufania. Przeciwnie. Po wybuchu wojny w Ukrainie państwo nie było w stanie zorganizować pomocy uchodźcom wojennym, ludzie organizowali się sami.

Mur na granicy z Białorusią „cieknie jak dziurawe sito, a państwo i jego służby utraciły kontrolę nad tym, co się tu dzieje”, napisał Adam Wajrak, który mieszka blisko tego muru.

Rząd kluczy w sprawie wybuchu granatnika w gabinecie komendanta głównego policji, kłamie w sprawie ruskich rakiet, które przeleciały nad Polską, i zwodzi w sprawie białoruskich helikopterów, które pojawiły się nad Białowieżą.

Jak się czuć bezpiecznie z taką zakłamaną władzą? A w sądach? Jeśli się trafi na neosędziego? Czy widok policjanta sprawia, że czujesz się bezpiecznie, czy zastanawiasz, za co cię mogą zgarnąć?

Gdzie w ogóle ktokolwiek może się czuć bezpiecznie, skoro ta władza tak silnie ingeruje w naszą prywatność?

Hasło wyborcze PiS-u z 2015 r.: „Polska w ruinie”, było lepsze – zwięzłe, krótkie, sugestywne, wpadało w ucho, trudne do przerwania, dało się skandować na wyborczych wiecach.

A „Bezpieczna przyszłość Polaków”? O tak, tegoroczne hasło wyborcze PiS-u zostało w PiS-ie najwyraźniej wymyślone dla opozycji. I to jest kolejny znak, że Kaczyńskiemu w tej kampanii nie idzie.

To oznacza zmianę. Na lepsze. ●

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



NIE MA JEDNEJ WSI

Gdy zobaczyłem hejt, jaki się wylał na ludzi, którzy uwierzyli w objawienie Matki Boskiej w Parczewie, dotarło do mnie, że wciąż żyjemy podziałem na panów i chłopów.

Z **DANIELEM RYCHARSKIM***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Kim jest dziś polski chłop?

– Strachem polnym przebranym w strój ludowy, zaglądającym przez okno do domów. Postawiłem takiego w polu w moim rodzinnym Kurówku na mazowieckiej wsi.

Polski chłop przynależy już tylko do folkloru?

– Do folkloru i do stereotypu. Podobnie jak polska wieś, która dla jednych jest krainą mlekiem, a dla drugih gnojem płynącą.

Porozmawiajmy o stanie faktycznym.

–Wieś ulega folkloryzacji. Folkloryzacją jest ludowa historia Polski, o której się teraz tak dużo pisze, wykorzystywana przez elity lewicowe jako narzędzie do uzyskiwania celów politycznych.

Jakich?

– LHP jest pisana z perspektywy elit i zwykle dotyczy wsi nie mniej niż sprzed 150 lat, czyli do czasu zniesienia pańszczyzny. Pańszczyzna jest kostiumem, strojem ludowym, w który ubiera się współczesna wieś. Na poziomie zainteresowania tożsamością chłopską czy chłopskimi korzeniami polskiego społeczeństwa te publikacje są istotne, ale nic nie mówią o tu i teraz, co moim zdaniem wynika z klasizmu. Dalej śnimy sen feudalnej Polski z podziałem na panów i chłopów, z tą różnicą, że panów zastąpiły elity.

Mam wrażenie, że autorzy książek poświęconych ludowej historii Polski próbują pokazać, jakie skutki społeczne ma pańszczyzniany przyrodoziewek. Dość wspomnieć reprodukcję relacji folwarcznych i przemoc.

– Niekoniecznie chodzi o to. Bardzo często środowiska lewicowe porównują ustrój feudalny i pańszczyznę do systemu kapitalistycznego, a mówiąc konkretnie – do zaciągania kredytu hipotecznego i pracy w korporacji, co jest gigantycznym nieporozumieniem.

Dlaczego? Czy nie idzie o bezwzględność losu?

– Porównywanie ludzi, którzy tracili życie w czasach pańszczyźnianych, do zaciągania kredytu w 2023 roku jest dla mnie nie do obrony i nie do przeskoczenia. To nadużycie i uproszczenie przetwarzane na filmografię, sztuki wizualne i teatr. Mnie również fascynowało to, co piszą Adam Leszczyński czy Kacper Pobłocki, i nawet „Pomnik chłop” miał dotyczyć pańszczyzny. Ale po konsultacjach z rolnikami aktywistami skierowałem się w stronę współczesności, bo słyszałem: „skończmy już z tą pańszczyzną, są ważniejsze problemy, o których nikt nie chce z nami rozmawiać”. To rolnicy odpowiedzieli mi, jak powinien wyglądać ten pomnik. Z ich inspiracji chłop stylizowany w pozie Chrystusa Frasobliwego, został posadowiony na przyczepce z gnojem, strojonej w łańcuchy i widły. No ale pomnika chwilowo nie ma. Został zniszczony przez turystów hiszpańskich, kiedy stał przed Państwową Galerią Sztuki w Sopocie w pobliżu wejścia na molo. Będę go rekonstruował.

Pytał pan rolników, czym jest krzywdą chłopą?

– Wtedy, w 2014 roku, była czymś innym niż dziś. Opowiadali o wykluczeniu komunikacyjnym, wymieraniu małych gospodarstw rodzinnych, samotności, ograniczonym dostępie do edukacji i opieki zdrowotnej. Nikt ich przez lata nie słuchał. Kiedy w 2015 roku rolnicy protestowali przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, którym była wówczas Ewa Kopacz, nie przyszedł do nich żaden aktywista lewicowy, co mnie dziwiło, bo problemy, o których mówili, związane również z klimatem i rolnictwem ekologicznym, były tematami, którymi aktywiści miejscy powinni się zainteresować. Tak mi się zdawało.

Rozumiem, że pan tam bywał?

– Tak i widziałem, kto ich wtedy zawłaszczył. Tam zobaczyłem Andrzeja Dudę, który jeszcze nie był prezydentem, Jarosława Kaczyńskiego. Tam poznałem prof. Jana Szyszkę, o którym wtedy nikt nie słyszał. Oni zauważyli, że mogą przejąć środowisko aktywistów wiejskich, i tak się stało. Kiedy do protestujących pod KPRM zaczęli przyjeżdżać politycy z ugrupowań skrajnie prawicowych, by nie powiedzieć: faszystowskich, zacząłem się obawiać o swoje bezpieczeństwo i woląłem się tam nie pokazywać. Ale rolnicy mi ufali.

Skąd pan wie?

– Zamówili u mnie sztandar dla „Solidarności” rolniczej w Busku-Zdroju z wizerunkiem ich patrona, Świętego Ekspedyta. Chcieli nim upamiętnić Andrzeja Filipiaka, który podpalił się pod kancelarią premiera w 2013 roku i zmarł w wyniku poparzeń. Rolnicy z Buska wzięli go sobie na drugiego patrona, ale wydaje mi się, że zrobiłem tę flagę nie po ich myśli.

Dlaczego?

– Bo dałem Ekspedytowi swoją twarz. Zabrali go ze sobą, ale jedna z żon rolników zadzwoniła do mnie i zapytała, dlaczego użyczyłem świętemu swojego wizerunku. Wyjaśniłem jej, że pojawiła się w mojej głowie idea, by siebie – osoby LGBT – użyć jako mostu między światem konserwatywnym a lewicowo-wolnościowym. Przyjęła moje wytłumaczenie, ale jak się publicznie wyoutowałem, to stracili ze mną kontakt. Nie wiem, czy byli do mnie uprzedzeni, czy tak po prostu wyszło.

Nie miał pan odwagi zapytać ich o to wprost?

– Może nie miałem. Ale wszystko, co wydarzyło się w moim życiu od tamtego czasu, pokazuje, że udaje mi się być pomostem łączącym różne światy społeczne.

Wież jest homofobiczna?

– Nie bardziej niż miasto. Czuję się bezpieczniejsz w wsi niż w jakimkolwiek mieście. Nawet jeśli wiem, że w pobliskim

Sierpcu można spotkać osoby homofobiczne, które nie widzą tam dla mnie miejsca, to jednak w małej miejscowości jest mniej-sza szansa, że zostaną zaatakowani werbalnie czy fizycznie, niż w dużym mieście. Tutaj jesteśmy trochę skazani na siebie, nie ma wyjścia, musimy siebie akceptować. W mieście możemy być bardziej anonimowi i nie ponosić odpowiedzialności za to, co zrobimy i powiemy. Oczywiście, że zrobiłem pracę „Strachy”, by zwrócić uwagę na samobójstwa dzieciaków na polskich wsiach, których przyczyną jest homofobia, ale obecnie sytuacja osób LGBT się poprawiła. Możliwe, że również za sprawą filmu „Wszystkie nasze strachy”. Wciąż są jednak miejsca na Podkarpaciu i w Małopolsce, gdzie osoby LGBT nie mogą się czuć bezpiecznie. Z badań wynika, że tam dochodzi do większości ataków na te społeczności. Ale już wieś zachodniopomorska, warmińska czy północno-mazowiecka są bardzo otwarte. Nie ma tam przemocy i ataków.

Klasowo to kim pan jest?

– Metachłopem.

Co to znaczy?

– Jednym z najważniejszych doświadczeń, jakie mnie ukształtowały, jest chłopska bieda i wynikające z niej klasowe poczucie gor-szości. Ale nie tylko z niej. W szkole wstydziłem się, że jestem ze wsi, z tego opisywanego w szkolnych podręcznikach zaco-fania, brudu i innych stereotypów obowiązujących do dziś. Nawet zrobiłem na ten temat pracę. Z podręczników szkolnych do podstawówek i gimnazjum wyrzeźbiłem penis, co jest opowieścią o moim podwójnym wstydzie, tym dotyczącym bycia chrześcijaninem LGBT i wizerunku, w jaki się mnie wpisuje.

Ze szkoły to pamiętam „Satyrę na leniwych chłopów” i epopcję Reymonta, ale to było dawno.

– Dzieci w szkołach wiejskich wciąż są uczone na potrzeby Kościoła, narodu i państwa, a nie z myślą o afirmowaniu ich lokalności. Wszystkie lektury do podstawówek i dawniej gimnazjum pisane są z perspektywy miejskiej i uczymy się systemowo, że chłopskość jest gorsza od miejskości i trzeba się jej wstydzić. Ja to wiem, bo chodziłem do wiejskiej podstawówki, i mój ojciec również to zawstydzanie pamięta.

Mama pracowała w szkole w Sierpcu i kiedy przyjeżdżały do niej jej koleżanki z dziećmi, wstydziłem się tego, jak wygląda nasze podwórko, jak jestem ubrany, jakie mam zainteresowania.

W liceum plastycznym, prywatnym dodajmy, mój wstyd był już totalny. Ja pośród dzieci lekarzy i kierowników z płockiej Petrochemii, które jeździły za granicę na wakacje. My to mogliśmy o wakacjach co najwyżej pomarzyć. Nawet nad morze nie jeździliśmy. Moja rodzina nie była tak biedna, że nie mieliśmy co jeść, ale to jest doświadczenie dzieci moich sąsiadów czy kuzynów.

Czy udało się panu ten wstyd klasowy przepracować?

– Studia w Krakowie na uczelni artystycznej dały mi iluzję, że nasze warunki i możliwości są wyrównane, ale jak mówię, była to iluzja. Klasyzm wrócił do mnie po studiach.

Pamięta pani, jak na początku lat 90., kiedy Waldemar Pawlak z PSL-u był premierem, studenci warszawscy skandowali pod Grobem Nieznanego Żołnierza: „Chłopi do gnoju”, co znaczyło, by odebrać władzę PSL-owi.

To było 30 lat temu.

– Tak strasznie dużo w tej relacji miejsko-wiejskiej się nie zmieniło, niestety.

Wydaje mi się, że to pamięcią biedy można tłumaczyć pogardę części elit dla mieszkańców wsi. Te elity w większości mają chłopskie korzenie, co jest powodem do wstydu, jaki i ja przerabiałem. I do odrzucenia. W mojej rodzinie najczęściej odwiedzanym miejscem jest cmentarz. Grób to jest dom na przeszłe życie, jak pisał w powieści

„Kamień na kamieniu” Wiesław Myśliwski, bo wieczność nie wieczność, a człowiek powinien mieć swój kąt. I widzę, że moi znajomi, którzy wyjechali z Kurówka, nie odwiedzają cmentarzy. Stawka jest ustalona – jeśli chcesz awansować w nowym świecie, to musisz się pozbyć starego. Ceną za awans społeczny jest odcięcie się od swoich więzów rodzinnych i od cmentarzy.

Czyli pana zdaniem pogarda dla wsi może być mechanizmem zaprzeczania?

– Tak uważam. Choć powodów tej pogardy jest więcej, nie jest nią tylko bieda.

Wież nie jest już tak biedna jak przed wejściem do Unii Europejskiej.

– Dlatego rok 2004 można uznać za rok przyłączenia wsi do Polski. To jest pierwszy moment po transformacji, kiedy polska wieś została dowartościowana i nadano jej sprawczość i decyzyjność.

Ale bieda nie zniknęła. Ubiegłoroczny „Raport o stanie wsi” potwierdza, że wskaźniki biedy i ubóstwa na wsi są wciąż wyższe niż w mieście, chociaż z kimkolwiek by pani na wsi nie porównywała, a ja rozmawiam ciągle ze wszystkimi, to każdy powie, że jest lepiej. Nawet jak jest bieda, to dzięki Bankom Żywności rodziny, które nie mają żadnych dochodów, dostają reklamówki serów żółtych, ryżów, mąk, olejów i mogą jakoś funkcjonować. 25 lat temu tego nie było. Oglądała pani „Bukolikę”?

Jakżeby nie. Zmieniający się pejzaż czterech pór roku i bardzo proste i surowe, by nie powiedzieć: biedne, życie matki i jej córki.

– To życie toczy się kilometr od Kurówka, w Smorzewie. Starsza bohaterka tego dokumentu jest siostrą mojej babci. Ciocia Dan-ka z córką Basią są wykluczone ekonomicznie. Nie mają żadnych dochodów, trochę wspiera je gmina, ale wszyscy są tu zgodni, że nie robi tego wystarczająco. Film miał im pomóc finansowo, ale przez trzy lata nie chciały podpisać umowy ze Szkołą Wajdy, bo czuły, że ten film je poniża. One wstydzą się swojej biedy i nie chcą jej pokazywać. Przekonałem je z Karolem Palką, reżyserem, że dzięki „Bukolice” mogą tej biedzie przeciwdziałać i że nie są pokazane w negatywnym sensie. Ale wciąż żyją bardzo skromnie. Nie mają wody ani studni.

W filmie przyniosły ją od sąsiadów. Nie możecie dociągnąć im wody albo wykopać im studni?

– Nie chcą. Trudno je przekonać do zmian. Prywatna osoba oferowała im lepszy dom, ale wolały zostać w starym, dlatego wymyśliły historię o duchach, które mieszkają w tym nowym. Mówiły, że się ich boją.

W zasadzie rolników żyjących z produkcji rolnej jest w Polsce niewiele ponad 400 tysięcy. Pan zatem mówi o tym milionie trzysta, który ma kawalek ziemi i żyje z dopłat?

– Tak. To są gospodarstwa socjalne, które utrzymują się z dopłat unijnych i nielegalnych dzierżaw.

Biorą unijną dopłatę za to, że ich ziemia stoi odłogiem, a potem ją dzierżawią?

– Na wsi jest głód ziemi. Przedsiębiorcy rolniczy muszą zwiększać produkcję, więc muszą zwiększać areal. Potrzebują ziemi, a mniejsi rolnicy nie chcą tej ziemi sprzedawać, bo jak tu wyzbywać się ojcowizny? Poza tym wiedzą, że jak ją wydzierżawią czy wypożyczą, to więcej zarobią, niż jakby ją sprzedali. Na tym tle dochodzi do konfliktów między nowymi a starymi rolnikami i na przykład u nas, w Kurówku, to nawet się z siekierami ganiają po polach.

Gdyby państwo dopłacało do produkcji, a nie do ziemi, to siekiery nie szłyby w ruch.

– Państwo wciąż nie ma pomysłu, co zrobić z małymi gospodarstwami, więc nie ma się co dziwić, że ich właściciele to państwo kiwają. Od lat „Satyra na leniwych chłopów” zaczyna się przecież zdaniem: „chytrze bydlą z pany kmiecie”.

Wolałabym, by nie kiwali.

– Zaraz pani powtórzy za miejskimi elitami, że wieś jest roszczeniowa i leniwa, a przecież to, że rolnicy żyją z nielegalnych dzierżaw, pobierają świadczenia socjalne i nie pracują, wynika z ich sprytu i mądrości. One pomagają im radzić sobie w trudnej sytuacji. Nie z lenistwa tak się dzieje, tylko z braku innych możliwości. Jeśli spojrzeć nawet na historie pańszczyźniane, to chłopci sabotowali gospodarstwa folwarczne, czego odbiciem dziś są nielegalne dzierżawy. Tak naprawdę to oni kiwają agresywny kapitalizm, który degraduje środowisko naturalne, zabija zwierzęta i źle wpływa na wielką społeczność.

Czyli dostają KRUS, dopłaty, I3. i I4. emeryture? I nie pracują?

– Emeryci nie pracują, a młodszy albo pracują w usługach, albo wyjeżdżają do pracy za granicę. U nas najczęściej wyjeżdżają kobiety. Mężowie zostają.

I co robią na miejscu?

– Radzą sobie. Nie żyją na wysokim poziomie, po prostu sobie radzą. Tomasz Rakowski napisał przed laty książkę „Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy” o sposobach radzenia sobie na wsi. Zauważył, że kultura wsi jest kulturą samoróbki. Zamiast popadać

To, że rolnicy żyją z nielegalnych dzierżaw, pobierają świadczenia socjalne i nie pracują, wynika z ich sprytu i mądrości. One pomagają im radzić sobie w trudnej sytuacji

Ostatecznie zgodziły się na przeprowadzkę do innego domu. Nie powiem, że mają teraz wspaniałe warunki, ale na pewno mają lepsze niż miały. Nie są pozostawione same sobie, dbamy o nie rodzinnie i po sąsiedzku.

Opowiadał o nich, by pokazać, że bieda na wsi jest bardzo zróżnicowana. Są bogaci rolnicy, ale oni nie są elektoratem PiS-u.

w beznadzieję, niektórzy mieszkańcy budują sobie traktory ze zdobycznych części...

...albo zdobią ogrody, wycinając z opon łabędzie?

– Na przykład. Nawiasem mówiąc, chciałbym zbudować skansen polskiej wsi po 1945 roku. Bo jeśli przyjąć zasadę etnogra-

ficzną budowania kolekcji, to mi-
nęło prawie 100 lat potrzebnych,
by opisać tę „umarłą klasę”, jak
nazwałem jedną ze swoich wy-
staw, czyli rolników urodzonych
do 1945 roku. Na wsi z trudem już
można znaleźć narzędzia, jakich
używali, tamta materialność zani-
ka. Mamy gigalukę do zasypania
i opowiedzenia.

**Po mojej stronie mapy zamiast
łabędzi są krasnale, chociaż
łabądky też się zdarzają.**

– Oczywiście sytuacja życiowa
mieszkańców wsi wygląda inaczej
na zachodzie Polski. Współpracu-
ję ze świetlicą wiejską w Stobnie
w Zachodniopomorskiem. Przygo-
towywaliśmy wspólnie scenogra-
fię do sztuki Jakuba Skrzywanka
oraz sztandar dla Akademii Sztuki
i tam kontekstu rolniczego nie ma
w ogóle. Dziesięć, piętnaście lat te-
mu mali rolnicy wyprzedali go-
spodarstwa i nie mają już z rolnic-
twem nic wspólnego. Wieś zmieni-
ła strukturę ludnościową, bo prze-
prowadzili się do niej mieszkańcy
Szczecina. I ci przybyli z miast ani-
mują pozostałych mieszkańców.
Wieś w Polsce zachodniej jest bar-
dziej umiastowiona niż na wscho-
dzie i tematy jak transplciowość
nikogo albo przynajmniej niewie-
lu szokują. Jeżdżę tam z osobami
transplciowymi z fundacji Lamb-
da, które urządzają w wiejskiej
świetlicy warsztaty modowe.

**Gadamy i gadamy po to, by
sobie powiedzieć, że nie ma
jednej wsi.**

– Nie ma. Tak jak nie ma wsi,
w której spoiwem społecznym by-
ła kultura chłopska. Trudno się
nie zgodzić z Wiesławem Myśliw-
skim, który niespełna 20 lat temu
w eseju o kresie kultury chłopskiej
napisał, że zmiana na wsi dokona-
ła się za sprawą telewizora...

**...który zniszczył chłopską izbę
jako najważniejszą instytucję
chłopskiej kultury. A to w niej
zacieśniały się więzi.**

– I tego procesu się nie odwróci.
Ale w zamian kultury chłopskiej
dostaliśmy indywidualizm. I je-
śli ceną za ten indywidualizm jest
samotność na wsi, to uważam, że
warto ją zapłacić. Nie ma powrotu
do spotykania się i wspólnego wy-
twarzania, do wiejskiego gremial-
nego osądu. Dzięki indywiduali-
zmowi mogła pojawić się na wsi
taka postać jak ja, która ma prawo
żyć na swoich zasadach, tworzyć
i opowiadać o innych.

**To proszę mi jeszcze dopowie-
dzieć o bohaterkach „Bukoliki”.
Męcą mnie duchy mieszkają-
ce w rzekomo nawiedzonym
domu. Jak można dać wiarę
takim opowieściom?**

– A co można było zrobić? Na siłę
je przeprowadzić?

**Przecież to nie jest racjonal-
ny argument.**

– Ale bliski duchowości ludowej.
Ona jest na wsi bardzo ważna, bo
jak człowiek traci z nią kontakt, to
traci równowagę. Katolicyzm lu-
dowy to katolicyzm magiczny, któ-
ry ja nazywam udomowionym.
We wspomnianym eseju Myśliw-
ski pisał, że wyobraźnia była pana-
ceum na chłopskie niedostatki. By-
ła integralna z chłopskim bytem.

**I „zaprzęgnięta w codzienność,
była sposobem na bezrad-
ność, czyniła zadość ludzkim**

**marzeniom i tęsknotom, nie
pozostawiała nikogo samotnym
w opuszczeniu. Obecnych z nie-
obecnymi, żywych ze zmarłymi
łączył cały system komunikacji:
przeczuć, przestroć, zwidzeń
i snów. Wolność i sprawiedli-
wość zapewniały przypowieści
i baśnie. Przed nieszczęściami
chroniły zaklęcia i zamawiania”.
I to się nie zmieniło?**

– Nie, o czym przypominałem
w Kurówku swoją lipcową wysta-
wą „W środku jesteśmy baśnią”.
Ale wielkomiejskie elity tego ka-
tolicyzmu nie rozumieją. Odwołu-
jąc się do mojego podwórka kultu-
ry i sztuki wizualnej, mam wraże-
nie, że instytucje sztuki nie życzą
sobie, bym zajmował się religijno-
ścią i duchowością wsi, co wynika
z braku wiedzy elit na temat ludo-
wej wiary.

**A może idzie o to, że Kościół
katolicki jest nadobecny w prze-
strzeni społecznej, czego ludzie
mają po prostu dość?**

– Ale religia katolicka i katolicyzm
ludowy nie mają ze sobą wiele
wspólnego, ani też nie mają nic
wspólnego z przemocową instytu-
cją, jaką jest Kościół katolicki.

Ludowy katolicyzm jest wręcz
odrębną religią, która jest bar-
dziej powiązana z gestem i z ru-
chem, a mniej z tekstem pisanym.
Na wsi nie zna się Pisma Święte-
go i mało tego: wierni mylą pod-
stawowe dogmaty i bohaterów re-
ligijnych, ale to nie ma znaczenia.
Duża część ludowej kultury i wia-
ry bierze się z apokryfów.

Ksiądz nie jest we wsi żadnym
autorytetem duchowym i mo-
że sobie z ambony gadać, co chce,
a w kwestiach religijnych, poli-
tycznych czy społecznych wier-
ni i tak robią swoje. Bo ksiądz
jest urzędnikiem od załatwiania
spraw związanych z sakramenta-
mi czy pogrzebami, a wiara jest
skierowana w stronę przedmio-
tów i magicznych miejsc. Ksiądz
był na wsi zawsze podejrzany, bo
współpracował z panem i nigdy
nie był po stronie wsi. Moi dziad-
kowie od strony ojca byli PSL-
-owcami i opowiadali, że kiedy
w 1930 roku rolnicy z okolic Sierp-
ca szli piechotą na protest chłop-
ski do Płocka, ksiądz doniósł na
nich na policję, która udaremni-
ła im dojście na miejsce. Ludzie
pamiętają również, jak ksiądz nie
zgodził się na pochowanie PSL-
-owca na cmentarzu.

Ale to było prawie 100 lat temu.

– Pamięć na wsi jest żywa. Kato-
licyzm przymyka na wiarę ludo-
wą oko, ale od zawsze jest krytycz-
ny wobec objawień, które uzna-
je za antyklerykalne. Objawiają-
ca się ludziom Matka Boska nawo-
ływała przecież do reformowania
Kościoła. Swoją drogą ileż ja prze-
czytałem hejtu pod adresem ludzi,
którzy uwierzyli w ostatnie obja-
wienie w Parczewie? I dotarło do
mnie, że wciąż żyjemy podziałem
na panów i chłopów, a jedni są
w opozycji do drugih.

**Nie hejtowałam nikogo, ale mój
racjonalny umysł nie przyjmuje
do wiadomości, że na drzewie
w Parczewie objawia się Matka
Boska czy Jezus.**

– A dlaczego nie? A dlaczego mia-
łyby się tam Matka Boska nie ob-
jawić?

Pan poważnie pyta?

– Poważnie.

**Religia katolicka
i katolicyzm ludowy
nie mają ze sobą wiele
wspólnego, ani też nie
mają nic wspólnego
z przemocową
instytucją, jaką jest
Kościół katolicki.
Ludowy katolicyzm
jest wręcz odrębną
religią**

**Wszystkie lektury
szkolne pisane
są z perspektywy
miejskiej i uczymy się
systemowo,
że chłopskość jest
gorsza od miejskości
i trzeba się jej wstydzić**

Bo jej nie ma?

– A może jest? Dlaczego kwestio-
nować czyjeś doświadczenia du-
chowe? Dlaczego nie można ich
szanować, tylko od razu nimi po-
gardzać? Zastanawiam się, dlacze-
go elity są w stanie wspierać i po-
dziwiać twórczość Małgorzaty
Mirgi-Tas, która zajmuje się kultu-
rą religijną Romów, a kiedy mowa
o kulturze religijnej wsi, to już jest
pogarda albo w najlepszym razie
brak zainteresowania. Z teorii an-
tropologii wiemy, że ten mieszka-
niec wsi to jest ten Inny, więc dla-
czego nie można uszanować je-
go kultury duchowej? A ta kultu-
ra bardzo się zmienia. Dziś jest
powiązana z New Age, z teoria-
mi spiskowymi czy z ufo. Na wsi,
w każdym razie w mojej okolicy
prawie wszyscy oglądają w tele-
wizji serial pod tytułem „Starożyt-
ni kosmici”.

**I wierzą, że ziemską cywilizację
zbudowali kosmici?**

– Pewnie tak. Ludowa duchowość
idzie swoimi torami, w innym kie-
runku, niż nakazuje Kościół. Pró-
buję swoją sztuką łączyć świat elit
i wsi i mam nadzieję, że mój naj-
nowszy projekt, zatytułowany
„Pielgrzymka”, dotyczący ducho-
wości przyczyni się do zrozumie-
nia jednych przez drugih. Przy-
gotowuję go dla Galerii Sztuki
Współczesnej w Opolu.

**Może pan coś więcej powie-
dzieć?**

– Film opiera się na pomyśle reak-
tywacji nieistniejącego już zawodu
pielgrzyma, który idzie za kogoś
w religijną wędrówkę. W nawia-
zaniu do dawnego zwyczaju jest
to osoba wynajmowana, której po-
wierzane są jakieś intencje. Współ-
czesna reinterpretacja tej trady-
cji polega na skłonieniu grupy rolni-
ków do wynajęcia bezrobotnych
lewicowych artystów i artystek ja-
ko zawodowych performerów,
którzy wykonują zadanie udania
się na pielgrzymkę. I idą w okoli-
cach Sierpca do miejscowości Skę-
pe, gdzie tradycyjnie po przebytej
drodże spędzą noc w kościele.

**To opowieść o rytuale, o wierze,
o tradycji czy o czym?**

– To próba zbliżenia na gruncie
performowania rytuałów odle-
głych od siebie środowisk.

I rolnicy płacą performerom?

– Nie. Płaci im instytucja sztuki.

**Na ile to jest projekt artystyczny,
a na ile społeczny?**

– Nie ma różnicy. Sztuka jest prze-
strzenią do prototypowania rze-
czywistości. To, co można dzia-
łać przez instytucję rządową czy
samorządową, można próbować
działać przez sztukę. Nie zajmuję
się nią po to, by tworzyć estetycz-
ne obiekty, bo najważniejsza jest
dla mnie zmiana społeczna. Mam
nadzieję, że zbliżam rolników do
artystów, bo gdyby nie pielgrzym-
ka, nigdy by się nie spotkali i pod-
trzymywaliby negatywne stereoty-
py na swój temat.

**Trochę nie ogarniam, przepra-
szam. Takie zbliżenie nie jest
iluzją? Jaki jest w nim udział
rolnika? Przecież jemu może
być wszystko jedno, czy artysta
performuje, czy nie, bo nic go to
nie kosztuje, ani w sensie do-
słownym, ani przenośnym.**

– Nie jest iluzją, bo oni się napraw-
dę spotkali.

Za kasę.

– To ogromne uproszczenie.
I krzywdzące. Chodzi przecież
o wspólnotę. Parafrazując powie-
dzenie: nie to jest najważniejsze,
która religia jest prawdziwa, ale
to, jak można razem coś przeży-
wać. Nie chodzi mi o przekonywa-
nie do swojego światopoglądu, ale
o to, jak się ze sobą komunikować.

**Pan sądzi, że jedni drugih są
naprawdę ciekawi?**

– Od roku jestem artystą reprezen-
towanym przez galerię prywatną
i mam kontakt z publicznością.
I widzę, że widz miejski jest bar-
dzo spragniony wyjazdów, chce,
by mu robić wystawy na wsi.

A odwrotnie?

– Szczerze mówiąc, nie jestem już
pewny, jak to jest w moim Kurów-
ku. Przygotowując ostatnią wysta-
wę, zrozumiałem, jak bardzo od-
dałają się od siebie światy społecz-
ne – miejski i wiejski. Owszem,
wieś się umiastowiła, wszyscy ma-
ją internet i satelity, poprawiła
się infrastruktura, ale wciąż dzie-
lą nas ogromne różnice w dostę-
pie do kultury, medycyny, eduka-
cji i transportu. I one są podłożem
konfliktów. Niektórzy mieszkańcy
Kurówka nie chcieli, by im znów
„warszawka” przyjechała oglądać
szopy i stodoły, a może i nabijać
się z nich. Mam wrażenie, że świat
kultury nie dba o to, by łagodzić te
napięcia, na które nakłada się poli-
tyka, i wykorzystuje je na maksa.

**Jednym słowem, mieszkańcy
wsi wciąż obawiają się pogar-
dy miastowych.**

– Przecież nic się nie zmieniło
w tej kwestii. Wciąż jak chcesz ko-
goś obrazić, to nazywasz go peda-
łem i wieśniakiem. Telewizja też
nie pomaga, bo i publiczna, i ko-
mercyjna pielęgnują stereotypy.
Wieś jest brudna, niewykształco-
na i głupia. Albo idylliczna. Prof.
Ludwik Stomma, który zajmował
się antropologią kulturową, pod-
sumował, że gdyby przyjąć, że ry-
tuały magiczne, wesela, gry i za-
bawy opisywane w kilkudziesię-

ciu tomach Oskara Kolberga wy-
pełniały chłopskie życie, to by się
okazało, że czas, jaki by mogli po-
święcić na pracę i codzienność, za-
jąłby im dwa procent tego życia.
A tymczasem na podstawie dzieł
Kolberga wykształciła się wiedza
na temat kultury wsi, która przez
100 lat nigdy nie została zrewido-
wana. Mleko i gnój – taką wieś wi-
dzi się w serialach i filmach.

**Są programy o rolnikach, którzy
ulepszają swoje gospodarstwa,
i o rolnikach szukających żony
czy męża. To są pracowici i wy-
kształceni ludzie.**

– Tak, wiem, ale to niewielki pro-
cent produkcji. To, co leci na głów-
nej antenie, podtrzymuje stereo-
typ.

**Czy panu się nie wydaje, że ta
pogarda elit miejskich, o której
pan mówi, jest niezgodą na an-
tysemityzm, homofobię, prze-
moc? Jakie są inne narzędzia
sprzeciwu niż pogarda?**

– Ja stoję na pozycji obrońcy wsi.
Zdaję sobie sprawę z tych nie-
fajnych rzeczy i dlatego próbuję
je przepracowywać z ludźmi tu-
taj i ze sobą. To kolejny stereotyp,
który prawdopodobnie odwołu-
je się do historii, bo współczesna
wieś nie jest bardziej czy mniej
antysemicka niż miasto. Ale wi-
dzę ogromną przestrzeń dla kul-
tury do przepracowania tego i in-
nych tematów. Kulturę wsi trze-
ba tworzyć na współczesnych fun-
damentach, czyli współczesnych
tematach i problemach, a nie na
tych sprzed 150 lat, jak to się ro-
bi w skansenach, czyli na wykop-
kach i śpiewaniu przy kaplicz-
kach.

Pracuję nad nowym projek-
tem wiejskim z Jakubem Skrzy-
wankiem oraz Szymonem Ma-
liborskim i jedną z naszych my-
śli wyjściowych była ta, że wieś
już nie musi być wsią, a chłop nie
musi być chłopem. Na wsi jest gi-
gantyczna przestrzeń do zagospo-
darowania i można ją wypełnić
wszystkim. Nie wiąże już rąk za-
dna kultura ludowa, żadne rolnic-
two, możemy zbudować na niej
skansen PRL-u i centrum ufo.

**I wtedy znikną różnice klasowe
i pogarda?**

– Dla wyrównania różnic klaso-
wych konieczna jest emancypacja
wsi, poprawa stanu edukacji, wal-
ka z biedą i – upieram się – akcep-
tacja jej duchowości. A co z pogar-
dą, to nie wiem. Wolalbym, byśmy
zamienili ją na szacunek do od-
mienności, kulturowej, społecznej
i każdej innej. ●

***Daniel Rycharski**

• ur. w 1986 r., artysta i grafik, doktor
nauk o sztukach pięknych. Wykłada
w Akademii Sztuki w Szczecinie.
Zajmuje się tematyką współczesnej
polskiej wsi i jej tożsamości. Działa
ze społecznością rodzinnej miej-
scowości Kurówko. Jego biografia
posłużyła za kanwę nagrodzonego
Złotymi Lwami filmu „Wszystkie
nasze strachy” w reżyserii Łukasza
Rodundy i Łukasza Gutta.

Bronię symetrysty i płaczę

Śmiesz przez łzy ta historia ze Sroczyńskim. Dopadło go jego własne myślenie – prawa nieważne, agenda lewicy ważna.

Marcin Matczak



Denerwuje mnie symetrysta. Nie jako człowiek, ale jako pojęcie. Bo jeśli można nim objąć ludzi tak różnych, jak państwo Wielowieyska, Piasecki, Kolanko i Sroczyński, to coś jest nie tak. Może klarowność myśli się zaciera, gdy społeczeństwo wchodzi w tryb wojny? Na wojnie trzeba szybko identyfikować, kto przyjaciel, kto wróg: najlepiej przez hasło albo barwy flagi. Nie ma czasu na cackanie się – „walczymy z okupantem”, jak napisał komentator pod jednym z moich postów. Kto stoi pośrodku, ten zdrajca.

A jak jest wojna, są i ofiary. Ostatnio padł nią Grzegorz Sroczyński, lewicowy dziennikarz wyproszony z Campusu Przyszłości. Miałem sporo śmiechu (przez łzy) z całej tej afery. W 2020 roku Sroczyński przeprowadzał ze mną wywiad i wtedy nie pierwszy raz się okazało, że facet myśli młotem (a często i sierpem). Usztyniona głowa z kilkoma prostymi, lewicowymi schematami w środku. Człowiek z cechą wstydliwą dla intelektualisty: wiadomo, co powie, niczym nie zaskoczy.

Sroczyńskiego przyszło mi bronić, bo miał prawo mówić, a go wyprosilili. Niby za te „kundelki” (innych za gorsze dehumanizacje nie wyprasają), ale naprawdę za całokształt, bo w czasie mobilizacji nie ma miejsca dla kogoś, kto demobilizuje. To, co mój śmiech przez łzy wywołało, to – po pierwsze – że opozycja chce budować przyszłość na tym samym piasku co PiS (rozmawiamy tylko z tymi, którzy myślą tak jak my). Po drugie – że lewicowy Sroczyński stał się ofiarą kultury cancelowania, którą lewica propaguje.

W oświadczeniu organizatorów Campusu stoi przecież jak byk, że powodem wyproszenia było „zapewnienie wszystkim gościom, gościom, uczestniczkom i uczestnikom poczucia bezpieczeństwa” oraz wyrażane „niezadowolnienie oraz poczucie dyskomfortu”. Toż to wypisz wymaluj język lewicowej cancel culture! To ona żąda, by zapewniać strefy komfortu tym, którzy nie chcą się konfrontować z odmiennymi poglądami. To o niej pisze Haidt i Lukianoff w „Rozpieszczonym umyśle”: idea przewodnią cancel culture jest zapewnienie „bezpieczeństwa psychicznego” młodym ludziom.

No to Campus zapewnił. Zastosował wziętą od ideologów Nowej Lewicy koncepcję „tolerancji wyzwalającej”, która jest asymetryczna, bo jak pisał jej propagator Marcuse, oznacza „nietolerancję dla ruchów prawicowych i tolerancję dla ruchów lewicowych”, dotyczy „działań, jak i dyskusji i propagandy, czynów i słów”, usprawiedliwia cenzurę, represje i, gdy trzeba, przemoc. Tylko Campus symetrię odwrócił i znietlowował lewicowego Sroczyńskiego. I tak rewolucja zeżarła swoje własne dziecko.

W obronie Sroczyńskiego chcą sparafrazować pisarkę Evelyn B. Hall, której patriarchalna kultura odebrała najlepsze zdanie w historii tolerancji i przypisała je

białemu mężczyźnie Wolterowi: „nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddam nawet dwa felietony i post na Facebooku, abyś mógł to robić”.

Oddałem więc i spadł na mnie gniew walczących z okupantem. Że nie czas na spory, gdy walczymy o wszystko. Ale co to ma być to „wszystko”? Polska przyszłości, w której spełni się marzenie Marcuse’a o jednostronnej tolerancji? W której uwierzmy i PiS, i lewicy, że wolność słowa jest przereklamowana, że można ją ludziom odebrać, gdy robi się to w słusznej sprawie? Przy czym o tym, co słuszne, decyduje ten, kto odbiera.

Pojęcie symetrysty będzie jaśniejsze, gdy wprowadzimy prosty test. Najpierw zapytaj, czy dany człowiek ma korzyść finansową z tego, że nie krytykuje PiS tak, jak tego wymaga przyzwoitość. Wielu takich jest w redakcjach hojnie karmonionych pieniędzmi spółek skarbu państwa za reklamy. Ani redaktor Wielowieyska, ani redaktor Piasecki nie należą do tej grupy. Ponadto zapytaj, czy dany osobnik ma korzyść ideologiczną z tego, co robi PiS. Ta korzyść występuje w dwóch wersjach: konserwatywnej i lewicowej. Komentatorzy z obu tych obozów od ośmiu lat liczą, że PiS wdroży w życie ich wartości, i dlatego są gotowi przymykać oczy na wióry, które przy tym lecą.

Niektórzy dziennikarze konserwatywni, na przykład ci z „Rzeczpospolitej”, ufają, że PiS zrealizuje agendę konserwatywną. Sroczyński czy Woś z kolei w rządach PiS widzą szansę na realizację programu lewicy, która jest zbyt słaba, by sama zmniejszała nierówności społeczne. Dlatego „pozwala” robić to PiS, przymykając oko na szkody dla praworządności.

Napisał to już w 2016 roku Aleksander Smolar w odpowiedzi na tekst Sroczyńskiego: „pewnej lewicy (...) bliższy jest, ze względu na elementy programu socjalnego, nacjonalistyczny, klerykalny, autorytarny PiS od ludzi, którzy bronią wartości demokratycznych i szacunku dla państwa prawa”.

Symetryzm lewicowy się rozwija, bo lewica nienawidzi liberalizmu, który niszczy PiS, i nie rozumie, jak ważne są praworządność i wolność słowa, które tak- że niszczy PiS. Wie, że PiS narusza prawa podstawowe, ale liczy, że nie przegnie- jakoś strasznie. Są różne za tym argumen- ty: z czołgów – że przecież nie ma ich na ulicach, lub z Bidena – bo przecież amerykański brat zza oceanu nie pozwoli. A jak jednak wyjadą albo znów wygra Trump?

Symetrysta interpretuje działania PiS jak bohater „Rzeźni numer pięć”, który jechał wagonem bydlęcym i ciągle powtarzał: „Nie jest tak źle!”, aż umarł. Tak mniej więcej skończyli symetryści lewicowi, którzy niszczenie TK traktowali jako abstrakcję aż do czasu, gdy tenże TK bardzo konkretnie zaostrzył prawo aborcyjne. Wtedy skończyło się symetrystyczne rumakowanie.

I lewicowcy, i konserwatywni symetryści igrają z ogniem. Stosują najbardziej niebezpieczną zasadę świata: cel uświęca środki. A te środki łatwo wymykają się spod kontroli, stają się coraz bardziej brutalne i potem nie ma już nikogo, kto by się przyznał, że je usprawiedliwiał.

I dlatego śmiesz przez łzy ta historia ze Sroczyńskim. Dopadło go jego własne myślenie – prawa nieważne, agenda lewicy ważna. Campus mu zaserwował tolerancję asymetryczną i wolność słowa zlekceważył. I zrobiła to demokratyczna opozycja. Ciekawe, co będzie, jak PiS mu coś gorszego zaserwuje. Czy na to też lewicowi symetryści odpowiedzą: „Nie jest tak źle!”, jak bohater „Rzeźni numer pięć”? ●

Jaki powinien być ksiądz

Wielu kandydatów do seminariów chce zostać księżmi, aby uciec od świata, którego się boją, ukryć pod sutanną homoseksualizm. Liczą na awans społeczny, który w inny sposób jest dla nich nieosiągalny.

Magdalena Czyż

Do tej pory nie zdarzyło się, by papież publicznie zwrócił się do rzymskich duchownych, śląc im specjalny list – pisze Artur Sporniak w ostatnim „Tygodniku Powszechnym”. A jednak, gdy był w Portugalii, uczestniczył w Światowych Dniach Młodzieży i przewodził im, znalazł czas, aby napisać do księży ze swojej diecezji.

Dlaczego to tak ważny list? Dlatego że Franciszek wskazuje w nim główny jego zdaniem problem związany z posługą kapłańską, czyli – w tłumaczeniu z języka kościelnego na zwykły – jaki powinien być ksiądz.

Jak donosi Sporniak: „Papież zwierza się, że podczas modlitwy zastanawiał się, czego dziś żąda od duchownych Bóg, i odpowiada, że niezmiennie wydaje mu się, iż jest to potrzeba nieustannej walki z »duchem światowości«, który odpowiedzialny jest także za chorobę klerykalizmu trwającą duchowienstwo. Myślenie i działanie »na sposób świata«, czyli uleganie aktualnym modom, »sprowadza duchowość do pozorów«, a z księży robi »handlarzy ducha« schowanych za »święte formy«”. Sporniak kontynuuje: „Papież wskazuje kilka źródeł takiej postawy: zgoda na przeciętność, popadanie w rutynę, uleganie pokusie władzy i społecznego znaczenia. A także narcyzm, doktrynalną zatwardziałość oraz estetyzm liturgiczny, »które ukrywają się za pozorami religijności, a nawet miłości do Kościoła«. Franciszek dodaje, że światowość jest »łagodną pokusą« i łatwo ją przegapić. Z kolei klerykalizm jest dla papieża specyficzną odmianą światowości, która pojawia się, gdy kapłan traci pamięć o swoim chrzcie”. I jak zauważa Sporniak, Franciszek przypomina w ten sposób księżom, że to chrzest stanowi fundament ich wiary i życia chrześcijańskiego, a nie sakrament święceń. Gdy ta hierarchia zostanie odwrócona, pojawia się właśnie klerykalizm, czyli odruchowe poczucie bycia lepszym, uprzywilejowanym, oddzielonym od „reszty świętego ludu Bożego”.

Tyle Franciszek. Sporniak odpowiada papieżowi, że „samo wzywanie do wyzbicia się postawy klerykalnej jest nieskuteczne. Potrzebna jest reforma struktur i nowa teologia kapłaństwa”.

A mnie, gdy czytam o problemie klerykalizmu, przypomina się wizyta po kołędzie młodego księdza z parafii u moich rodziców, którego musiałam kilkanaście lat temu przyjąć sama, bo rodzice się wtedy przezornie zmyli, zostawiając mnie na posterunku. Skoro młoda przyjechała, to można ją wykorzystać na ten sposób. Niech się do czegoś przyda i odbębni upierdliwy obowiązek.

No więc chcąc, aby było niestandardowo, zaczęłam młodemu księdzu wykladać, że interesuję się dialogiem katolicko-żydowskim, że chcę się z tego doktoryzować. Zaczęłam mu mówić o Soborze Watykańskim II i deklaracji „Nostra aetate” i o ile gdy mówiłam jeszcze o Soborze, to widziałam po jego oczach, że kojarzy, o czym mówię, o tyle gdy zeszłam na deklarację Kościoła katolickiego o zmianie stosunku do Żydów, to zaczęłam mieć wrażenie, że równie dobrze mogą gadać do niego po chińsku. On nie miał pojęcia, o czym ja mówię. Gdy młody ksiądz zorientował się, że ja się zorientowałam co do jego ignorancji, szybko się pożegnał i wyszedł, zapewniając, że na pewno się odezwie, aby – jak zaproponowałam – wspólnie zrobić jakieś spotkanie czy debatę na ten temat w kościele. Oczywiście do dziś się nie odezwał.

Dlatego nadal będę się upierać, że w kontekście klerykalizmu problemem jest nie postawa otwarta czy zamknięta na świat danego księdza, tylko brak jego elementarnej edukacji. Większym problemem jest nie brak reformy struktur czy nowej teologii kapłaństwa, chociaż to zapewne też, ale selekcja negatywna, której wynikiem jest taka a nie inna późniejsza kadra. Problemem jest to, że znacząca liczba kandydatów do seminariów chce zostać księżmi, żeby uciec w ten sposób od świata, którego się ze swoich powodów boją, albo ukryć pod sutanną homoseksualizm lub jakąś de- wiację, albo liczy w ten sposób na awans społeczny, w żaden inny sposób nieosiągalny.

Gdy uda się te dwa czynniki wyeliminować, przyjdzie czas na leczenie postaw księży za pomocą zaproponowanej przez Franciszka synodalności. Wierzę, że to dobre lekarstwo, tylko na nieco inną chorobę. ●

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00;

E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:

Adam Michnik;

PIERWSZY ZASTĘPCA,

REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski

WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński

GRAFIKY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski

FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 526-030-56-44

Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Wojciech Bartkowiak

DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

WYDAWCA

WOLNA SOBOTA

WOLNA SOBOTA

1 RP

eprasa.pl 010b809ce7

Dzieci „Solidarności”

I SŁYSZĘ W RADIO,
ŻE ARESZTOWALI TATĘ

FOT. BARTOSZ BANKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Te miesiące, kiedy ojca zamknęli, były wspaniałym czasem – mówi Jarosław Wałęsa.

Z KINGĄ BORUSEWICZ, JAROSŁAWEM WAŁĘSĄ I ANTONIM FRASYNIUKIEM
ROZMAWIA PIOTR GŁUCHOWSKI

KINGA BORUSEWICZ:
W papierach miałam ojca bez nazwiska

Kinga Borusewicz, rocznik 1984, córka Aliny Pienkowskiej i Bogdana Borusewicza, pracuje w dziale promocji Urzędu Miasta w Gdyni, jest też radną woj. pomorskiego z listy Koalicji Obywatelskiej. Aktualnie na urlopie wychowawczym – zajmuje się swoim pierwszym dzieckiem, dwuletnią córką Leną.

Partner Kingi i ojciec Leny jest Belgiem, kapitanem statku typu offshore.

– Poznaliśmy się w Gdańsku, kiedy jego okręt był tu remontowany. Żyjemy głównie w Polsce. Jesteśmy rodziną wielojęzyczną: Ben z małą rozmawiają po flamandzku, ja z nią po polsku, z nim – po angielsku, dodatkowo część rodziny Bena jest francuskojęzyczna. Totalny miszmasz, ale o dziwo nie przysparza nam to żadnych problemów, choć baliśmy się na początku, czy Lena się w tym odnajdzie.

Jakie jest pani najwcześniejsze wspomnienie?

– Mam dwa lata, bawię się puzzlami na dywanie w naszej trzydziestometrowej kawalerce i słyszę w radio, że aresztowali tatę.

Mając dwa lata, wiedziała pani, czym jest aresztowanie?

– Dzieci rozumieją więcej, niż się rodzicom wydaje. Zrozumiałam tyle, że Borusewicz to tata i że został zamknięty do jakiegoś więzienia.

Wystraszyła się pani?

– Chyba tak, bo pamiętam, że się rozplakałam. Mama przyszła z kuchni, zaczęłyśmy się przytulać.

Data schwytania i aresztowania pani ojca jest w podręcznikach do historii: styczeń 1986. Następne wspomnienie?

– Tata wychodzi z aresztu dzięki amnestii. U dziadków, rodziców mamy, zebrała się grupa mężczyzn i wiedziałam, że będzie wśród nich ojciec. Wchodzimy i mama mówi: „biegnij do tatusia”. Zaczęłam biec do Bogdana Lisa, bo miał brodę tak samo jak tata przed aresztowaniem. Na szczęście dziadek szybko wyciągnął z szafy lalkę i wręczył ją tacie. Wtedy dopiero rozpoznałam prawdziwego Bogdana.

Czyli do tego czasu ojca znała pani słabo.

– On się przecież ukrywał i wtedy, kiedy przyszedł na świat, i potem – gdy byłam malutką. Widywaliśmy się rzadko – o czym wiem z opowieści rodziców – i to nigdy w domu, ale w różnych miejscach, gdzie ojciec akurat się



chowal. Musiałam to jakoś rozumieć, mając rok, półtora, stąd potem taka reakcja na wiadomość w radio. Bywało, że rodzice uciekali ze mną po nocach przed ubecją, bo – o czym również dowiedziałam się po latach – ksiądz Jankowski doniósł do SB.

Bogdan Borusewicz tak to wspomina w książce o palacie Henryku („Uzurpator”, wyd. Agora 2019):

„W listopadzie 1984 roku podziemie solidarnościowe siadało, bezpieka rozbijała nasze struktury. Ja się ciągle ukrywałem i miałem problemy z mieszkaniami. Pomogła mi wtedy pewna młoda, sympatyczna pracownica księgarni we Wrzeszczu. Zalaćwiła mi pokój w Sopocie. Jakiś czas potem ściągnąłem tam żonę Alinę z dwumiesięczną Kingą. Któregoś dnia wróciłem do mieszkania, a Alina spanikowana mówi, że natychmiast musimy uciekać, bo adres spalony. Uciekliśmy z dzieckiem w wózku nocą przez tamtejszy las. Dzięki temu SB złapała mnie dopiero 14 miesięcy później. Kiedy w 1986 wyszedłem z więzienia, postanowiłem sprawdzić, o co chodziło z tym mieszkaniem. Poszedłem do dziewczyny z księgarni i zacząłem ją wypytywać

– z kim się kontaktowała, u kogo była. Okazało się, że u księdza Jankowskiego. Prosiła go o jedzenie i leki dla mnie. Zaraz po tej wizycie SB zaczęła ją śledzić. Dostała olbrzymią obserwację. Od tej pory miałem osiemdziesięcioprocentową pewność, że pralut jest agentem”.

Kinga: – Żeby uniknąć nieprzyjemności w szkole i w urzędach, po urodzeniu została Kinga Pienkowska, a w papierach oj-

ciec bez nazwiska – tylko „Bogdan”. „Borusewicz” przyjąłem dopiero po ’89 r., gdy miałam sześć lat. Dziś jestem zapisana w bazie PESEL jako Kinga Borusewicz primo voto Pienkowska. Tak, jakbym była rozwódka.

Swoją drogą nazwisko Pienkowski z polską literą w środku nie jest nazwiskiem panieńskim pani mamy, ale jej pierwszego męża – Piotra Pienkowskiego.

– Można się pogubić, prawda? Kiedy chodziłam do podstawówki, rodzice odbierali wezwania, by się stawić, bo córka, Kinga Pienkowska, nie chodzi na lekcje. Tymczasem Kinga, już Borusewicz, chodziła...

Miała pani świadomość, że ojciec i mama są ludźmi wyjątkowymi?

– Innych rodziców nie miałam, a polityka była w naszym życiu, od kiedy pamiętam. Rodzice byli dla mnie wyjątkowi jak dla każdego dziecka. W domu byli mamą i tatą, nie postaciami z Historii. Tata pięć dni w tygodniu był w Warszawie, a ja z mamą w Gdańsku. Gdy miałam siedem lat i mama została senatorką, zamieszkałam z dziadkami we Wrzeszczu. Po dwóch latach mama zrezygnowała z kariery, żeby być więcej ze mną.

Jak pani wspomina jej chorobę?

– Jako bolesną i długą. Nowotwór się rozwijał co najmniej cztery lata, a mama bagatelizowała symptomy – głównie kaszel. Przez cztery lata kaszlała, ktoś jej mówił, że to może być alergia, tylko nie było wiadomo na co. Po Senacie wróciła do pracy w stoczniowej przychodni, podjęła studia, została gdańską radną, nie miała czasu dla siebie, zaniedbała zdrowie... A to był nowotwór żołądka, potem doszły przerzuty... Zdecydowała się na operację, choć szanse były nikłe. Operacja rozległa, po niej agresywna chemia i kolejne cierpienia...

Po śmierci mamy w 2002 r. relacje z ojcem się jakoś zmieniły?

– Zmieniło się wszystko. Musieliśmy się z tatą dotrzeć, bo wcześniej mama była ogniwem tonującym, a ja i tato mamy bardzo podobne charaktery. Dogadujemy się bez problemu oprócz tych sytuacji, gdy oboje jesteśmy przekonani, że „tylko ja mam rację”. Wtedy bywa ciężko.

Wyprowadziła się pani na swoje...

– Skończyłam pedagogikę ze specjalnością resocjalizacja i – wcześniej – szkołę baletową. Po magisterce znalazłam zatrudnienie w promocji miasta Gdyni.

Kinga Borusewicz:

Moja droga polityczna nie jest drogą ojca. W niektórych kwestiach różnimy się fundamentalnie

Należy pani do Platformy?

– Nie. Moja droga polityczna nie jest drogą ojca. W niektórych kwestiach różnimy się fundamentalnie.

Na przykład?

– Ja jestem za eutanazją, tata – przeciw. On jest wierzący, a ja – nie.

Ochrzcila panie córkę?

– Nie, chociaż sama byłam ochrzczona, potem komunizm, bierzmowanie... i na tym się skończyło. Nikt mnie dalej nie zmuszał do związków z Kościołem i teraz jestem wobec tej instytucji, delikatnie mówiąc, sceptyczna. Nie dlatego, że jako ateistkę interesuje mnie, co się dzieje na czyimś podwórku. Nie jestem nadmiernie ciekawska. Chodzi o to, że Kościół jest utrzymywany również z moich pieniędzy. To niezdrowy układ.

Czym jest dla pani „Solidarność”? Nie mówię o obecnym związku zawodowym

– Wielka „Solidarność” walcząca przez dekadę z komuną to mit. W rzeczywistości istniała garstka ludzi poświęcających się przez lata w konspiracji. Dzisiaj słyszymy, że prawie każdy był w „Solidarności” i każdy pomagał. No właśnie: nie każdy. Ludzie tacy jak tata byli osamotnieni. Mogli liczyć na pomoc bardzo wąskiego grona. Ojciec mówił, że nie wierzył w upadek komuny za swojego życia, że może ja doczekam.

Po '89 r. trójmiejskie środowisko ostro się podzieliło. Z jednej strony tzw. gwiazdozbiór: Gwiazdowie, Anna Walentynowicz, dopóki żyła, Krzysztof Wyszkowski. Z drugiej: pani tata, Bogdan Lis, Jerzy Borowczak, Lech Wałęsa. Nawet obchody Sierpnia organizują osobno.

– W „Solidarności” podziały były od początku. Różne grupy miały inne poglądy na środki wiodące do celu. Już wtedy byli trudni, kłótniwi, bo przecież w odróżnieniu od partii komunistycznej w związku panowała demokracja. Dopóki mieli ważny, wspólny cel – obalić czerwonego – chowali swoje ambicje. Potem one wzięły górę. A tata – znam go przecież – nigdy nie miał potrzeby, by promować siebie. Bieżąca polityka dzieli środowisko i to jest zrozumiałe. Slabo natomiast, że jego część próbuje przeinaczyć przeszłość.

Polityka historyczna obecnego rządu jest taka, że „Solidarność” to przede wszystkim Lech i Jarosław Kaczyńscy.

– Dla mnie wszyscy, którzy walczyli w latach przedwojennych, są tak samo ważni bez względu na ich obecne poglądy. Natomiast jest pytanie: czy 13 grudnia Jarosław spał do południa? Jego brat był na strajku, o zasługach prezesa nic mi nie wiadomo. I mam nadzieję, że jesienią PiS przegra. Zrobili już zbyt wiele złego – zdeptali prawa kobiet, remontowali sądownictwo, nie wiadomo po co.

Żeby mieć pełnię władzy.

– To jest środek do celu. A ja się zastanawiam, jaki jest cel ostateczny. Bo to, co teraz widzimy, to chyba nie koniec planu. Jeśli się buduje rusztowanie państwa totalitarnego, to buduje się je po coś. Może przegrają wybory i się nie dowiemy, a może dowiemy... Przez osiem lat nastąpiły rzeczy, w które wcześniej bym nie uwierzyła. Ben się obawia o szkolnictwo w Polsce. Mówi, że tego, co jest u nas, w Belgii nie proponują nawet najwięksi radykałowie z ich skrajnej prawicy. PiS-owcy bardzo dobrze rozegrali ludzi. Dotarli do tych, których poprzednie władze zaniedbały, do tych, co się nie odnaleźli na wolnym rynku; do tych, którym brakuje. 500 plus, czyli gotówka do ręki, to była dla nich naprawdę dobra zmiana. Mówię bez ironii. Więc rząd zaczął rozdawać kolejne benefity. W Belgii również istnieje program podobny do 500 plus, z tą różnicą, że jest sprzęgnięty z zatrudnieniem, co ma inny wydźwięk. Nie zasiłek, ale promocja rodzicielstwa. A u nas? Czy się stoi, czy się leży, pięćset, a zaraz osiemset, się należy. Przecież nie Kaczyński za to wszystko płaci. Ludzie są przekupywani pieniędzmi własnych dzieci.

FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



Może powinna pani wystartować w wyborach? Z nazwiskiem Borusewicz...

– Wiem, do czego pan zmierza, lecz nie wiem, czy tego chcę.

A dostała pani propozycję?

– Tak.

Od kogo?

– Pomidor.

Już po rozmowie z Kingą dowiedziałem się, że zajęła 22 miejsce na sejmowej liście gdańskiej Platformy.

JAROSŁAW WAŁĘSA: Ojciec to ciężki zawodnik

Jarosław Wałęsa urodził się w 1976 r. jako czwarte z ośmiorga dzieci Danuty i Lecha. Od 2005 r. jest na zmianę posłem i europosem Platformy.

Jakie jest pańskie najwcześniejsze wspomnienie?

– Nie wiem, czy się nadaje do druku. Gdy byłem bardzo mały, chciałem się samodzielnie załatwić na sedesie i wpadłem pupą do środka. Tata mnie wyciągnął. Byłem najmłodszym z chłopaków, bo gdy się urodziłem, Bogdan miał sześć lat, Sławek cztery, Przemek dwa. A gdy dorastałem, mama była zajęta młodszymi siostrami, więc szybko stałem się samodzielny. Całe moje pokolenie wychowało się w większej samodzielności niż współczesne dzieci. Pod koniec trzeciej klasy szkoły podstawowej zgłosiłem się jako chętny, by trenować gimnastykę, co się wiązało ze zmianą szkoły na dalszą – trzy przystanki kolejką SKM. Jeździłem tą kolejką jako dziesięciolatek. Czy dzisiaj ktoś by puścił dziecko w tym wieku samo do pociągu? A ja miałem własny budzik, wstawałem wcześniej, jechałem na lekcje i treningi z Zaspy na Żabiankę, wracałem późnym popołudniem, zimą było już ciemno.

Miał pan jakieś sukcesy w tej gimnastyce?

– Ósme miejsce w Polsce na koniu z lękami...

Koniu, czyli przyrządzie.

– ...i ósme miejsce na macie. Do tego jeszcze trzecie w zawodach grupowych wspólnie z piątką kolegów.

Kiedy do pana dotarło, że pański ojciec jest inny niż ich ojcowie?

– Dla mnie był zwyczajny, nie miałem przeciw innemu taty, ale wiem, o co chodzi. We wrześniu roku 1980, gdy miałem cztery lata, przerwucili nas do większego mieszkania, bo przecież nie wypadało, żeby przewodniczący związku gniótł się z rodziną w klitce gdzieś na Stogach. I to nie była przeprowadzka, ale wła-

Jarosław Wałęsa:

Ten podział na radykalnych i kompromisowych właściwie był od początku

śnie przerzut. Mama jechała do nowego lokum z garnkiem zupy na kolanach. Wydzielono dla nas trzy mieszkania w bloku połączone w jedno. W środkowym było biuro „Solidarności”. My z mamą i rodzeństwem mieszkaliśmy w skrajnych. Przez całe lata 80. ludzie wchodzili i wychodzili, była tam Joan Baez i inne sławne osoby, a jednocześnie docierało do mnie, że coś tu się dzieje dziwnego. W drugiej klasie napisałem na okładce zeszytu hasło „Solidarność”. Bo wszyscy w domu o tej „Solidarności” mówili jako o czymś dobrym. No i wychowawczyni kazala mi to wytrzeć czy też zamalować, zapamiętałem słowa: „więcej tego nie rób”. Ja byłem dobrym uczniem, ona nie była jakąś narwaną komunistką, więc żadne konsekwencje z tego nie wynikły, lecz powstał dysonans. Jak w końcu jest z tym słowem na literę „S”? To coś fajnego czy nie?

Pod koniec ogólniaka wyjechał pan do USA.

– Jak zwykle w owych czasach było to „załatwione”. Bogaty Amerykanin, który pomagał „Solidarności”, a właściwie dwaj jego współpracownicy, zaprosili do siebie, z początku na wakacje, dwóch braci Wałęsów – Sławka i mnie. On pojechał do jednej rodziny, ja do drugiej – w Connecticut. Moi gospodarze nie rozumieli po polsku, więc szybko musiałem opanować angielski. Do dziś umiem mówić w wersji amerykańskiej, ulicznej. Po skończeniu amerykańskiego odpowiednika liceum poszedłem na prowadzony przez jezuitów uniwersytet w Massachusetts i to była naprawdę decyzja radykalna. Zostawiłem w Polsce rodzinę, zostawiłem kolegów i koleżanki, które dla nastolatka są czasem ważniejsze od rodziny, pożegnałem się z Polską we wszystkich wymiarach. Wyrwałem sam siebie z korzeniami.

Warto było?

– Warto. Ameryka mnie ukształtowała, tam się stałem dorosły. Skończyłem politologię, później pracowałem. Między innymi jako researcher w firmie budującej bazę danych o mediach w USA. Dzwoniłem na przykład do jakiejś malarzkiej redakcji radiowej na Ala-

sce, by zapytać, ilu mają pracowników, potem to wpisywałem w stosowną tabelę i tak dalej. Mieszkalem wówczas w południowym Bostonie z dwoma kolegami, Amerykanami. Z Polonią kontaktów nie miałem.

Teraz jest pan żonaty i podwójnie dzieciaty.

– Żonę poznałem w windzie. Byłem już europosem w Brukseli. Wsiadła piękna brunetka, najśliczniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. I zaraz wysiadła. Ale się dowiedziałem, kto zacz. Była stażystką-asystentką polskiej europosłanki. Chciałem do niej od razu wystartować, ale pozostawała kłopotliwa kwestia podległości. Ja – deputowany, a ona – na stażu.

Od czasu afery Clinton – Lewinsky romantyczne kontakty ze stażystkami kojarzą się z niebezpieczeństwem.

– Na szczęście staż Eweliny dosyć szybko się skończył i wróciła do Polski. Zaczęliśmy korespondować na Facebooku.

Ile mieliście wówczas lat?

– Ja 35, ona – 26. Zamieszkaliśmy w Gdańsku, na Jasieniu. Urodzili się Wiktor i Lea.

Czym jest dzisiaj dla pana wielka „Solidarność”?

– Najlepszą stroną człowieka. W ogóle mi się nie kojarzy ze związkiem zawodowym, ale z solidarnością ludzką, z pomocą i życzliwością. Gdy ojca internowali, nas już było siedmioro i mama. Paradoksalnie te dziesięć miesięcy, kiedy ojciec siedział, to był wspólny czas. Ludzie pomagali bezinteresownie, chyba już nigdy potem Polacy nie byli w ten sposób wielcy. W sposób niesamowity. Miałem sześć lat i nie pamiętam konkretnych wydarzeń, za to pamiętam emocje. Coś porywającego!

Dzisiaj trójmiejscy działacze są totalnie skłóceni.

– Ten podział na radykalnych i kompromisowych właściwie był od początku. Ojciec miał rację, gdy w latach 90. mówił: „zwinimy sztan-

dary”. Żeby tamto, co wspólne i wielkie, takim pozostało, żeby już tego nie szargać bieżącymi sporami. Tylko tata nie umiał sprzedać tego mediom. Gdybym był wtedy starszy, może bym mu pomógł.

W latach 2003-05 Jarosław pracował w biurze ojca jako archiwista – faktycznie był najbliższym doradcą politycznym Lecha.

– Żarliśmy się nieustannie. Ojciec to ciężki zawodnik. Zarazem jako doradca jakoś go odzyskałem. W dzieciństwie nie mógł poświęcać mi czasu, potem Ameryka, drogi nam się rozeszły. A jako doradca zacząłem z nim spędzać kilkanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Miałem dość czasu, aby mu tłumaczyć, że nie wystarczy mieć rację, trzeba ją jeszcze umieć ładnie sprzedać mediom. Raz mi się udawało, raz nie. Ostatnio znowu, po śmierci Kornela Morawieckiego, ojciec wyskoczył z tekstem, że on był „siłą niszczącą”. Pewnie miał rację, ale człowiek zmarł... Z drugiej strony tata ma to coś w sobie, tę wielką, męską siłę, że stanie przed tłumem ludzi i powie im wszystkim: „nie!”. Nikogo się nie boi i już się to nie zmieni. Można go takim kochać albo nienawidzić.

W tym roku kandyduje pan ponownie z listy Platformy, tradycyjnie z ostatniego miejsca na liście w Gdańsku.

– I będzie to ciężka orka, bo czeka nas półtora miesiąca najbrutalniejszej kampanii w historii wolnej Polski. PiS się boi rozliczeń i chwyci się wszystkiego, aby nie oddać władzy. A naszym głównym postulatem powinno być właśnie rozliczenie PiS-u. Ich najazdu na Polskę, tego drenowania ostatniego grosza z kieszeni podatnika, z państwowej szkatuły. Jeżdżę w ostatnich miesiącach po kraju z Donaldem Tuskiem i widzimy wyraźnie, że ludzie się już obudzili. Już dostrzegają złodziejstwo, cwaniactwo i zwykłą niemoralność ekipy rządzącej. Wierzę, że wygramy, ale trzeba pilnować. Być z telefonami w komisjach – to może się okazać kluczowe. Tak samo jak mobilizacja niezdecydowanych. Bo ktoś narzeka, że PiS taki, owaki. Trzeba wtedy złapać osobę za rękę, prowadzić do urny. Samo się nie robi. Zwycięstwo nie przyjdzie łatwo – to nie będą zwyczajne wybory.

ANTONI FRASYNIUK: Odziedziczyłem chyba jego zadziorność

Antek Frasyniuk, rocznik 2008, uczy się w drugiej klasie wrocławskiego LO z wykładowym angielskim – w tym roku miał świadectwo z paskiem.

– Mieszkamy w domu jednorodzinnym na obrzeżach Wrocławia. Mama, tata i ja. Mam też przyrodnie rodzeństwo, dzieci ojca z pierwszego małżeństwa: to pełnoletni brat i trzy siostry. Relacje między nami są świetne. Chodzimy z bratem na ćwiczenia – obaj trenujemy boks, prócz tego gram rekreacyjnie w tenisa. No i siłownia.

Jak się żyje w cieniu sławnego taty?

– To ciekawe odczucie, w sumie przyjemne. Wielu ludzi tatę szanuje, mają go wręcz za bohatera, za wzór do naśladowania. Zaczepiają na ulicy: „czy mogę sobie zrobić z panem zdjęcie, panie Władku?”. A potem wracamy do domu, siadamy na kanapie i oglądam film w towarzystwie sławnego człowieka. Oczywiście często, gdy się przedstawię – choćby przy rejestracji na biegu terenowym – zaraz pytają, czy jestem synem „tego Frasyniuka”. Lecz mnie to nie przeszkadza – przeciwnie. Czuję się dumny.

Minusy są na przykład takie, że gdy tata powie coś przeciw władzy, startują do niego hejterzy. Ale my się z tego potrafimy śmiać. Dzięki tacie nie jestem miękki. Odziedziczyłem chyba jego zadziorność, a boks również rozwija charakter.

10 czerwca 2017 r. Władysław Frasyniuk usiadł wraz z Obywatelami RP na drodze marszu miesięcznicy smoleńskiej w War-



• Antoni Frasyniuk z Karoliną Kuźnicką
koleżanką z klasy, rok 2008

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

szawie. Po przepychankach z mundurowymi prokuratura zarzuciła byłemu i obecnemu opozycjoniście „wykroczenie polegające na przeszkadzaniu w przebiegu legalnego zgromadzenia” oraz „naruszenie nietykalności cielesnej dwóch funkcjonariuszy”. Frasyniuk nie stawiał się na przesłuchaniu, więc 14 lutego 2018 został zatrzymany „celem doprowadzenia”.

– To były walentynki, już wcześniej prawnik taty ostrzegał nas, że coś może się zdarzyć. Jest rano, ja myję zęby w łazience, mam wtedy dziewięć lat, a tutaj wchodzi policjanci z kamerzystą. Patrzyłem ze schodów, jak tatę zakuwają w kajdanki i wyprowadzają.

Co wówczas czuleś?

– Byłem i wystraszony i zestresowany. Trochę też zadziwiony. Bohatera narodowego biorą do aresztu... No ale mama zrobiła mi dzień wolny od szkoły, a tata po południu wrócił i wieczorem już z tego żartowaliśmy. Cały czas się jednak dziwię temu, jak bardzo PiS i ten rząd muszą kontrolować ludzi. Jak strasznie im przeszkadza, że ktoś się odważy sprzeciwić.

Sierpień '80, rok 1989 i upadek komuny. Co to dla ciebie znaczy?

– Na pewno solidarnościowcy zrobili coś wielkiego, coś na całą Europę, historyczny przełom. Żle natomiast, że po odzyskaniu Polski z rąk komuny wygrani się podzieliли. Nie potrafili być solidarni we własnym obozie, nie współpracowali, zaczęły się jakieś kłótnie, których nie rozumiem. To znaczy: wiem, o co chodzi, ale nie pojmuję: jak można było do tego doprowadzić? W efekcie mamy dwa obozy i teraz, kiedy komuniści odeszli, dawna „Solidarność” bije się między sobą tak samo zacięcie jak kiedyś z komunistami. Weźmy Lecha Wałęsę. To jest światowy symbol, znak firmowy Polski – a my go nie promujemy, jeszcze się go wyśmiewa. Co jest oczywiście na rękę panu Kaczyńskiemu. Jego rola w historycznej „Solidarności” nie była specjalnie wielka, tata mi opowiadał, a teraz PiS chce pokazać, że prezes obalił komunizm. Nie Wałęsę, Frasyniuku...

Jak widzisz swoją przyszłość? I Polski.

– Myślę o studiach biznesowych, chciałbym założyć własny interes, choć jeszcze nie wiem jaki. Drugim planem jest prawo. Żeby mieć wyuczony zawód. Poza tym znajomość przepisów przyda się w każdym biznesie. A w Polsce najbliższe kilka miesięcy będzie straszne. Po pierwsze: strach przed jakimś stanem wojennym albo katastrofą, która może dać pretekst do odwołania wyborów. Po drugie: już teraz dobrze widać, że pieniądze nas wszystkich pójdą na kampanię PiS-u. Do tego ta Konfederacja. Ich poglądy... Gdyby doszli do władzy, mielibyśmy powrót do komunizmu, tylko w wersji 2.0 z inną ideologią. Niestety kampanię mają bardzo dobrą. Widzę wśród znajomych, że się na to łapią. Mentzen na TikToku jest świetny, ale w wywiadach widać, że nie wie, co mówi. Jest zupełnie inną osobą, gdy sobie przygotowuje filmik, robi dziesięć prób, wybierze najlepsze nagranie. Ale gdy się go spyta o szczegóły programu i musi się zmierzyć z kimś, kto naprawdę rozumie ekonomię, widać, że jest kompletnie nieprzygotowany. Tym niemniej poparcie mu rośnie, bo jest taki przekaz: „my też jesteśmy młodzi, więc was rozumiemy”. Faktycznie: Mentzen, Bosak i wielu ich kandydatów to ludzie o pokolenie młodszy od Tuska i Kaczyńskiego, mówią młodzieżowym językiem, piją z ludźmi piwo, rozumieją internet, dobrze wyglądają, puszczają oko do elektoratu: „pogonimy tych starych, wpuszcimy świeżą krew”. I to się podoba.

Gdybyś mógł głosować...

– Najbliżej mi do Platformy, chociaż oni też mnie w pełni nie zadowalają. Ładnie krytykują PiS, punktują Kaczyńskiego, ale nie mają programu. Tylko ta ciągła sprzeczka, nawalanka. Pan Tusk powinien nareszcie przedstawić jakiś porywający ludzi plan dla Polski, bo dwa miesiące zostały. ●

ROSJA SIĘ NIE ROZPADNIE

Aż 80 proc. mieszkańców kraju uważa się za Rosjan i nigdzie nie zamierza odchodzić



• Mieszkańcy wsi Okuniewo na Syberii podczas święta przesilenia letniego. Syberyjczycy kultywują stare tradycje, ale czują się Rosjanami FOT. EVGENIY SOFICHUK/AP

Władysław Inoziemcew

Niedawno w Rosji opublikowano dwa godne uwagi teksty. Jednym z nich był list słynnego rosyjskiego więźnia politycznego Aleksieja Nawalnego, skazanego niedawno na 19 lat więzienia. Drugi to podręcznik historii dla rosyjskich szkół, napisany przez byłego ministra „kultury” Władimira Medinskiego i rektora Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (a niegdyś współprzewodniczącego zajmującej się historią Polsko-Rosyjskiej Komisji do spraw Trudnych) Anatolija Torkunowa. Pierwszy autor, ofiara reżimu Putina, krytykuje rosyjskich polityków lat 90., którzy pozwolili na wprowadzenie putinizmu. Autorzy podręcznika to lokaje i beneficjenci reżimu, którzy konsekwentnie usprawiedliwiają jego agresywny kurs.

Dlaczego przywołałem te dwa teksty? Ponieważ są bardzo różne, ale w jednym punkcie bardzo podobne. Nawalny przypomniał wszystko „demokratom” pierwszej fali: niedemokratyczną konstytucję, skradzione wybory, aktywa rozdane oligarchom, nieudaną reformę sądownictwa, łapówkarstwo i chęć zapewnienia sobie bezkarności. Nie wspomniał tylko o dwóch kwestiach: że konstytucja z 1993 r. usunęła traktat federacyjny z 1992 r. z przestrzeni prawnej oraz że Borys Jelcyn i jego towarzysze rozpoczęli wojnę w Czeczenii w 1994 r., z której ostatecznie wyrósł putinizm.

Medinski i inni współcześni rosyjscy historycy twierdzą, że sama koncepcja „imperium”, oczerniana przez reformatorów ostatnich dziesięcioleci, jest całkowicie pozytywna i wymaga rehabilitacji. Innymi słowy, ofiara reżimu i jego ideolodzy zgodzili się co do jednego: porażka federalizmu w Rosji nie jest wielką stratą, a przywrócenie imperialnego charakteru władzy nie powinno być potępiane.

To wiele mówi o Rosji, która była i pozostaje imperium zarówno dla zwolenników, jak i przeciwników systemu Putina. Chciałbym wyjaśnić, co stało się z rosyjskim federalizmem i dlaczego Rosja nigdy nie będzie bezpieczna dla siebie i dla świata bez jego odtworzenia.

NAJDIWNIJSZE PAŃSTWO ŚWIATA

Federacja Rosyjska została utworzona przez Włodzimierza Lenina w 1918 r. i obejmowała prawie całe terytorium byłego Imperium Rosyjskiego, z wyjątkiem Białorusi, Ukrainy i Zakaukazia. Później pięć republik radzieckich Azji Środkowej zostało od niej oddzielonych, co dało im szansę na uzyskanie niepodległości w 1991 r. Niektóre republiki autonomiczne (takie jak Karelia) stały się republikami związkowymi, ale następnie powróciły do Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i straciły prawo do opuszczenia ZSRR. W latach 1990–91 wiele republik w Rosji zadeklarowało zmianę nazwy na republiki radzieckie, ale żaden taki akt nie został zatwierdzony przez Radę Najwyższą Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i ZSRR, chociaż Jelcyn, ówczesny przewodniczący rosyjskiego parlamentu, wezwał republiki do „wzięcia tyle suwerenności, ile mogą przełknąć”. W rezultacie, na przełomie 1991 i 1992 r., ZSRR się rozpadł, a Rosja stała się niepodległa.

Niepodległość ta została uzyskana przez prawdopodobnie najdziwniejsze państwo na świecie. Federacja Rosyjska składała się z 55 przeważnie rosyjskich regionów – obwodów i krajów, 21 „narodowych” regionów-republik, 2 miast federalnych i 11 autonomicznych obwodów i republik, które były częścią innych obwodów lub republik, ale uważały się za pełnoprawnych uczestników federacji. Tak więc, o ile w ZSRR istniało 15 „narodowych” republik, które tworzyły państwo, w nazwie którego nie wymieniono żadnej narodowości, to Rosja stała się krajem, który pozycjonował się jako narodowy, ale składał się z republik nazwa-

nych na cześć innych narodów, a podmiotów, w których nazwie występowałoby słowo „rosyjski”, nie było.

RZEKOMA FEDERACJA

Na początku 1992 r. w Moskwie zastanawiano się nad koniecznością przyjęcia dokumentu regulującego wzajemne stosunki centrum i regionów. Nazwano go traktatem federalnym, choć w ścisłym sensie nim nie był: podmioty federacji, w przeciwieństwie na przykład do Stanów Zjednoczonych, nie utworzyły państwa – zgodziły się z Moskwą na podział władzy. Traktat został podpisany przez Borysa Jelcyna najpierw z szefami republik narodowych (Tatarstan i Czeczenia odmówiły), a później tego samego dnia, 31 marca 1992 r., z szefami rosyjskich regionów, a także merami Moskwy i Petersburga. Jednak Kreml, dając regionom duże uprawnienia, nie zamierzał moim zdaniem przestrzegać podpisanego porozumienia – półtora roku później prezydent Jelcyn rozpuścił Radę Najwyższą i poddał pod referendum konstytucję, w której główne postanowienia traktatu federalnego znalazły się w trzecim rozdziale, traktującym o podziale władzy między centrum a regionami. W tym momencie się okazało, że żaden z podmiotów tej rzekomej federacji nie ma żadnych gwarancji swoich praw, ponieważ konstytucja mogła zostać zmieniona w drodze nowego referendum bez zgody poszczególnych terytoriów.

Rok później Moskwa rozpoczęła wojnę w Czeczenii, która formalnie nie była częścią Rosji. W 1995 r. Kreml zreformował Radę Federacji, której członkowie nie byli już wybierani bezpośrednio w regionach, a na początku XXI wieku uchwalono ustawę, która wymagała pełnej unifikacji regionalnych statutów i konstytucji z rosyjską konstytucją – w szczególności szefowie republik nie mogli już być nazywani prezydentami. Wreszcie, w 2004 r., pod pretekstem potrzeby uzyskania dodatkowych uprawnień do walki z separatyzmem Władimir Putin anulował bezpośrednie wybory szefów pod-

miotów Federacji, cofając tym samym Rosję do czasów państwa unitarnego.

KRAJE BOGATE I BEZUŻYTECZNE

Dlaczego rosyjski federalizm zawiodł? Twierdzenie, że stało się tak wyłącznie z powodu głodu władzy Jelcyna lub Putina, byłoby uproszczeniem. Trzeba wziąć pod uwagę dwie inne rzeczy.

Z jednej strony Rosja w 1992 r. była bardzo złożonym tworem obejmującym imperialną metropolię z centrum w Moskwie, terytoria skolonizowane przez rosyjskich pionierów na Syberii, gdzie ludność rosyjska stanowiła większość, oraz terytoria na obrzeżach (Tuwa, Kałmucja, Dagestan, Czeczenia i Inguszetia), które zostały zaanektowane w wyniku podbojów wojskowych i gdzie ludność rosyjska praktycznie była nieobecna (w Czeczenii i Inguszetii ludność słowiańska nie przekracza 1 proc.).

Z drugiej strony Rosja pozostawała krajem surowcowym, gdzie ponad połowa budżetu federalnego i ponad dwie trzecie eksportu pochodziły z kolonii za Uralem, a biedne nierosyjskie regiony pozostawały odbiorcami dotacji budżetowych. W takiej sytuacji nie było łatwo doprowadzić do tego, by bogate i „niezbędne” krajowi regiony dobrowolnie pomagały biednym (i, niestety, gospodarczo zupełnie bezużytecznym). Zjednoczona Rosja, o której marzyli Jelcyn i Putin, nie mogła być federacją typu europejskiego, ale utrata terytorium zawsze była dla Rosjan bardzo bolesna, więc postanowili nie zwracać sobie głowy federacją, zwłaszcza gdy Czeczenia została pokonana, a sytuacja gospodarcza kraju zaczęła się poprawiać.

CZEGO NIE CHCE WIDZIEĆ OPOZYCJA?

Dziś Rosja nie jest federacją. Konstytucja (art. 68) deklaruje naród rosyjski jako „państwowotwórczy”, a język rosyjski jako państwowy. Od 2018 r. władze regionalne nie

mogą wprowadzać nauki języków lokalnych narodów – rzekomo narusza to prawa Rosjan. Tylko cztery podmioty federacji mają strony internetowe władz lokalnych w swoich językach narodowych. Zakończenie edukacji w językach ojczystych spowodowało wiele demonstracyjnych samobójstw (a nawet aktów publicznych samospaleń) przedstawicieli lokalnej inteligencji, ale tego nie zauważyła nawet rosyjska opozycja. Dla niej rosyjska niezależna dziennikarka Irina Sławina, która dokonała samospalenia w Niżnym Nowogrodzie z powodu represji władz wobec mediów, jest bohaterką, a filolog Albert Razin, który zabił się w taki sam sposób w Iżewsku z powodu prześladowań języka udmurckiego, jest szaleńcem.

Opozycja widzi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego w finansowaniu przez Moskwę Ramzana Kadyrowa, który nienawidzi wolności prasy i homoseksualistów, ale nie dba o to, że pieniądze dla Czeczenii są pobierane od narodów Północy, gdzie ekologia i siedliska rdzennej ludności są niszczone. Taka jest dzisiejsza Rosja.

PREZYDENT JAK SAMODZIERŻCA

Rosja jest zarządzana jak imperium. Znany liberal Aleksiej Kudrin, gdy był ministrem finansów, zmienił kierunek przepływów budżetowych i teraz

szaru obiektów olimpijskich w Soczi (terytorium federalne Syriusz), ale to dopiero początek.

NIEREALNE MARZENIA RADYKAŁÓW

Głównym problemem Rosji jest to, że stale rozszerzając się jako imperium, straciła poczucie rozróżnienia między metropolią a koloniami. Co więcej: ponieważ większość nabytków terytorialnych została dokonana przez Moskwę – jeden z elementów dawnej Rusi – to Rosjanie mieli imperium przed państwem narodowym (w przeciwieństwie do Hiszpanii, Wielkiej Brytanii czy Francji); dlatego dla nich utrata jakiegokolwiek terytorium nie jest pozbyciem się obcych zdobyczy, ale utratą państwowości. Dlatego wszystkie warstwy rosyjskiego społeczeństwa były obojętne na demontaż rosyjskiego federalizmu i z tego samego powodu nie mają nic przeciwko próbie podboju Ukrainy – w końcu „Związek Radziecki był tą samą Rosją, tylko pod inną nazwą”: nawet Nawalny nie sprzeciwi się tej tezie Putina.

Jaka przyszłość czeka Rosję? To trudne pytanie. Obecnie wielu radykałów – zarówno w Rosji, jak i, w jeszcze większym stopniu, w Ukrainie – marzy o tym, że kraj upadnie: to jedyny sposób na zmiążdżenie Putina (ta logika, zauważam, całkowicie kopiuje kretyńską taktykę „demokra-

ne z polityki centrum, nawet teraz ze szczególną przyjemnością wyładowują na nich swoje kompleksy.

WSZYSCY CHCĄ BYĆ CARAMI

Nie sędzę, aby Rosja rozpadła się na kilka państw rosyjskich – wszystkie secesje w ostatnim stuleciu miały miejsce na tle narodowościowym, podczas gdy państwa monoetniczne, takie jak Niemcy czy Korea, zostały podzielone na części tylko w wyniku wojen i okupacji. Jeśli jednak Moskwa osłabi lub zmniejszy swoją zdolność do finansowania biednych regionów, mogą się pojawić tendencje odśrodkowe. Można im zapobiec jedynie przez świadome – i wyprzedzające – rozszerzenie pełnych uprawnień regionów, decentralizację. Program ten, przetestowany np. przez Tony’ego Blaira w Wielkiej Brytanii pod koniec lat 90. XX wieku, kiedy Szkocja i Walia otrzymały parlamenty, wiele praw samorządowych, rozszerzyły zakres lokalnych języków, a Edynburg otrzymał nawet prawo do drukowania szkockich funtów, przyniósł doskonałe rezultaty – w wolnym referendum w 2015 roku. Szkocja odmówiła głosowania za niezależnością od Londynu.

Federalizm powinien być zasadzony w Rosji w ten sam sposób: w przeciwieństwie do Związku Radzieckiego nawet ambitni przywódcy regionów – Pskowa, Tuły czy Omska – nie

Nie sędzę, by Rosjanie byli gotowi na podział ziem przodków na części: Syberyjczycy czują się Rosjanami, a nie uciskanymi mieszkańcami metropolii brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej, którzy zorganizowali herbatkę bostońską

wszystkie dochody z wydobycia surowców trafiają do Moskwy – w regionach pozostaje głównie podatek dochodowy, co tylko zwiększa nierówności ekonomiczne (ponad 40 proc. tego podatku jest pobierane w Moskwie, Petersburgu i regionie moskiewskim, gdzie mieszkają ludzie, którzy posiadają przedsiębiorstwa przemysłowe w innych regionach).

Podmioty federacji nie mają (w przeciwieństwie do USA czy innych federacji) własnej policji i służb porządkowych i nie mogą wprowadzać podatków regionalnych, które przyciągnęłyby inwestorów, a także ustanawiać specjalnych norm użytkowania gruntów lub budownictwa, co jest niezbędne na przykład na Syberii i Dalekim Wschodzie. Rosja jest jedyną federacją, w której prezydent może nie tylko odwołać szefa regionu jedynie dlatego, że „stracił do niego zaufanie”, ale także mianować dowolną osobę, która mu się spodoba – nawet kogoś, kto nigdy nie mieszkał w regionie – pełniącym obowiązki gubernatora na okres do jednego roku.

Rząd federalny ma prawo zezwolić na dowolne wykorzystanie zasobów naturalnych dowolnego podmiotu federacji bez koordynacji z władzami lokalnymi, a od 2020 r. – nawet odebrać część ziem należących do podmiotu i utworzyć na nich „terytorium federalne” z bezpośrednią władzą prezydencką. Jak dotąd zostało to wdrożone tylko w odniesieniu do ob-

tów” z lat 90., którzy byli gotowi rozwiązać Związek Radziecki, tylko po to, by pozabawić władzy Michaiła Gorbaczowa). Jednak takie marzenie raczej się nie spełni. W 1991 r. udział ludności rosyjskiej w ZSRR wynosił 50,8 proc., a Rosjanie nie stanowili większości narodowej w żadnej z republik. Obecnie ich udział przekracza 80 proc., a stanowią mniej niż połowę populacji tylko w sześciu podmiotach federacji. Jeśli one opuszczą Federację Rosyjską, głównym beneficjentem będzie naród rosyjski, ponieważ terytoria te są najbardziej dotowane, skorumpowane i panuje tam bezprawie.

Nie sędzę, by sami Rosjanie byli gotowi na podział ziem swoich przodków na części: Syberyjczycy czują się Rosjanami, a nie uciskanymi mieszkańcami metropolii brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej, którzy 250 lat temu zorganizowali herbatkę bostońską. Znam dziesiątki antyputinowskich aktywistów w regionach, ale żaden z nich nawet nie słyszał nazwisk tych, którzy przemawiają w imieniu Ingrii lub Ideli na Forach Narodów Postrosyjskich odbywających się w Brukseli lub Tokio. Co więcej, przedstawiciele małych rdzennych ludów Północy i Dalekiego Wschodu są przerażeni perspektywą rozpadu zjednoczonego kraju, ponieważ rozumieją, że przetrwanie w oddzielnych małych państwach stanie się dla nich znacznie trudniejsze, gdyż władze regionalne, niezadowolone

będą w stanie przekonać swoich rodaków, że są tak wyjątkowi, że lepiej będzie im się żyło osobno od innych Rosjan. Tylko przez rozwój regionalnej kontroli nad rządem centralnym, w tym rotacyjną prezydenturą na wzór Szwajcarii, oficjalną wielojęzycznością na wzór Belgii i rozwojem praw samorządowych na wzór Stanów Zjednoczonych, można zbudować cywilizowaną i nadającą się do życia Rosję; rozbięcie jej spowoduje jedynie powstanie jeszcze bardziej rozgorączkonych grup orków, wciśniętych w wąskie granice i dążących do wyrwania się z nich z bronią w rękę.

Federalizm dla Rosji jest ważniejszy niż reforma sądownictwa, demokratyczne wybory i system parlamentarny razem wzięte. Ponieważ historycznie zarówno sąd, jak i parlament oraz demokracja pojawiały się tam, gdzie istniały silne podmioty regionalne, które pociągały monarchę do odpowiedzialności. Ale w Rosji nigdy tak się nie stało – nawet zwracanie się do bojarów niczym do chłopów ze strony suwerena wyszło z użycia dopiero za Piotra Wielkiego. I dlatego nikt w rosyjskiej polityce nie chce być równy wśród wielu. Wszyscy chcą być tylko carami – a to oznacza, że czeka nas burzliwa przyszłość. ●

Tłum. mm, tk

Tytuł i śródtytuły redakcji, oryginalny tytuł „Przekłeta federacja”

gubernatorze Tuły, 51-letnim generale pułkowniku Aleksieju Diuminie, od lat mówi się jako o następcy pana Kremla. I, w rzeczy samej, jest dobrym kandydatem i na delfina, i na Brutusa.

Spory wokół jego perspektyw bardzo się w niezależnych (co oczywiste – internetowych) mediach rosyjskich ożywiły po buncie Prigożyna. Według popularnej wersji wydarzeń to właśnie on, a nie Aleksander Łukaszenka miał przemówić do rozumu szefowi wagnerowców i zawrócić jego ludzi z marszu na Moskwę. Oficjalnego potwierdzenia nie ma, ale faktem jest, że wagnerowcy zatrzymali się na granicy obwodu lipieckiego z tuskim i na włości Diumina już nie wkroczyli.

Prigożyn, idąc na Moskwę, buntował się przeciw szefom ministerstwa obrony. Twierdził, że resortem powinien kierować bardzo przez niego ceniony gubernator Tuły. A kto lepiej niż jego własny kandydat na ministra mógł wytłumaczyć mu, że bunt nie ma sensu? Bardzo możliwe więc, że to rzeczywiście Diumin i tym razem ochronił Moskwę i Putina przed nieszczęściem. To zresztą jego specjalność.

Sceptycy tacy jak politolog Nikołaj Pietrow nie dają Diuminowi szans na karierę polityczną, bo to jedynie wieloletni, prosty ochroniarz pana Kremla. Ale w kraju, gdzie drżący przed truciicielami i spiskowcami car daje się karmić, a potem dowodzić potężną armią zawodowemu bandycie, to nie argument.

Potencjalny następca faktycznie wszedł w kręgi bliskie władzy jako czujny gość w eleganckim garniturze i ciemnych okularach. I w tej roli, o czym świadczy imponująca kolekcja orderów oraz medali, nieźle się zasłużył.

Bo momenty były. „Podszedłem do drzwi. Całe były szklane. A z drugiej strony stoi miś, szczególnie duży. Ja, co oczywiste, jestem uzbrojony. Za mną w domu śpi prezydent. My z miśm popatrzyliśmy sobie w oczy. On nieco się cofnął. Otworzyłem drzwi i wystrzelałem cały magazynek jemu pod łapy. On po takim sygnale odwrócił się i odszedł. Potem prezydent dziękował za oszczędzenie życia niedźwiedziowi” – tak Diumin wspomina epizod, kiedy chroniąc przywódcę państwa, towarzyszył mu na wyprawie w tajgę syberyjską.

Człowiekowi o tak mocnych nerwach można się powierzyć. Choćby wtedy, kiedy Putin wychyłony z pędzącego pontonu strzelał z kuszy do wieloryba. Asekurował go dosłownie, „tuląc w silnych męskich objęciach”, właśnie Diumin.

Jeszcze bardziej popisał się w lutym 2014 roku, gdy Wiktor Janukowycz po zmasakrowaniu obrońców kijowskiego Majdanu w panice uciekał ze stolicy ku Rosji przed żądnymi jego krwi rodakami.

Nikt, ani ścigający, ani próbujący go ocalić Rosjanie, nie wiedział, którędy się prze-myka.

I wtedy Diumin, już dowódca elitarnych Sił Operacji Specjalnych, dostał rozkaz „odszukać i ocalić”. Zorganizował i sam dowodził akcją. Wytropił zbiega w stepach Ukrainy, zanim zrobił to pościg.

Po nocy w ciemności rosyjskie helikoptery wleciały do obcego kraju i zabrały tchórzliwego Putinowskiego faworyta, który zdaniem Kremla mógł się jeszcze przydać do siania zamętu w Ukrainie.

Za tę koronkową, śmiałą operację Putin (tajnym ukazem) nagroził Diumina Złotą Gwiazdą Bohatera Federacji Rosyjskiej.

Zadziwiające, że młody oficer został funkcjonariuszem służby ochrony prezydenta, czyli gorylem lekkiego przywódcy państwa, chociaż nie miał po temu żadnych kwalifikacji.

Absolwent uczelni wojskowej jest inżynierem, fachowcem od jawnej i tajnej łączności. Putin wypatrzył go, kiedy Diumin, towarzysząc mu w wyprawach zagranic-

Czy Aleksiej Diumin może kiedyś rządzić Rosją?

CESARZEWICZ

Jest zdolny, zasłużony, wciąż młody i – to ważne – akceptowany przez Putina.
Ale czy to wystarczy, by zostać jego następcą?

Wacław Radziwinowicz



nych, taskał skrzynki ze sprzętem do nadawania, szyfrowania i zagłuszania przekazów.

Dopiero jako żywa tarcza pierwszej osoby w państwie nowy ochroniarz uczył się sztuczek ochroniarskich, takich jak strzelanie w biegu z dwóch pistoletów jednocześnie, wyskakiwanie z pędzącego auta, pilotowanie śmigłowca, i innej bondiany.

Ważną rolę w tym szkoleniu przy warsztacie i nie tylko odegrała sztuka uników. Diumin przydał się bowiem Putinowi także jako były – niemal profesjonalny – hokeista.

Pan Kremla lubi się zabawiać, grając w „NHL”, czyli założonej dla carskiej rozrywki Nocnej Hokejowej Lidze, jako kapitan i pierwszy strzelec drużyny złożonej z bliskich mu osobistości z kręgu władzy. Czasami ta wyborna „sborna” wychodzi na lod przeciw prawdziwym gwiazdom hokeja, a jej bramkę muruje właśnie Diumin. Czasami na sparringach osobisty bramkarz gra przeciw szefowi. A wtedy, jak sam mówi, „najważniejsze jest sprytnie uchylić się przed nadlatującym krążkiem”.

Dziewięć lat temu Putin, próbując przewietrzyć swą nomenklaturę, wykonywał kadrowe ruchy, które zadziwiły świat. Na stanowiska gubernatorów stawiał swoich pretorian. Zaczęto mówić, że testuje tych, którym w pełnym zaufaniu powierzał swe bezpieczeństwo, szukając wśród nich takiego, któremu w przyszłości mógłby powierzyć tron i który dałby mu gwarancję bezpiecznej, dostatniej emerytury.

Eksperyment z gorylami-gubernatorami nie wyszedł. Taki Jewgienij Ziniczew, ulokowany w Królewcu, jak ognia unikał wszelkiej aktywności publicznej. Zasłynął dzięki jedynej, rekordowo krótkiej konferencji prasowej, która trwała 49 sekund. Wycedził tylko z trudem, że jego priorytetem jest przyciągnięcie do regionu inwestycji.

Po 40 dniach „gubernatorowania” zwał do Moskwy najpierw na fotel zastępcy dyrektora FSB, potem szefa ministerstwa spraw nadzwyczajnych. A zginął w czasie wycieczki za koło podbiegunowe. Według oficjalnej heroicznej wersji spadł ze ska-

ły, ratując człowieka ze świąty. Nieoficjalnie – zleciał z niej po pijanemu.

A Diumin, kiedy zaczął się putinowski casting na cesarzewicza, był już wyso-ko i ojczyźnie bardzo się przysłużył.

To on w 2014 roku dowodził liczącymi 14 tysięcy „zielonych ludzików” Siłami Operacji Specjalnych, które bez wystrzału oparowały ukraiński Krym. Z punktu widzenia militarnego zbrodniczy krymski Anschluss udało się mu przeprowadzić idealnie.

Po tym sukcesie Putin zamyślał zainstalować swego byłego ochroniarza w ministerstwie obrony. Uczynił go zastępcą Siergieja Szojgu, odpowiedzialnym za zaopatrzenie sił zbrojnych.

To był błąd, bo w tej intendenturze, o czym nie wie pewnie tylko Putin, jest przytulnie jak w basenie z rekinami. Prawa dyktują tam nomenklaturowe skorumpowane drapieżniki. Łatwo wśród nich stracić dobre imię, zaprzepaścić bojową sławę.

Diumin był na wiceministerskim stażu niecałe sześć tygodni. Odszedł z resortu trzy dni po tym, jak z pompą wręczono mu osobisty sztandar.

Bezpieczniejszym miejscem, gdzie można cierpliwie czekać na swoją kolej, okazała się Tuła. Były ochroniarz dostał od Kremla „tulski piernik”, jak nazywa się pochodzący z tej guberni, ulubiony tradycyjny rosyjski przysmak. Region bliski stolicy, ciepły, urodzajny, niezłe urządzone.

To przede wszystkim wielki ośrodek przemysłu zbrojeniowego, rosyjska „kuźnia oręża”. W czasie, kiedy Moskwa toczy wojny, płyną tam wielkie pieniądze. Jest dużo miejsc coraz lepiej opłacanej pracy. Tu gubernator może się wykazać i pokazać, że ma talent gospodarza.

Diumin się wykazuje. We wszystkich tabelach notowań wynikających z oceny sytuacji ekonomicznej czy społecznej regionów Federacji Tuła niezmiennie od 2016 roku lokuje się na jednym z pierwszych miejsc.

Gubernator – nie bez pomocy technologów politycznych z Kremla – został dwa lata temu wybrany na drugą kadencję, biorąc

przy wysokiej frekwencji 83,6 proc. głosów. Przy tym nie było u niego żadnych skandali związanych z głosowaniem.

Nie idzie w ślady swych kolegów z innych regionów i nie robi wokół siebie hałasu jak chociażby gubernator Uljanowska Siergiej Morozow. Ten wslawił się, bo kazał swym poddanym co roku 12 września intensywnie zajmować się seksem tak, by równo dziewięć miesięcy później w Dzień Rosji urodził im się „patriota”. A kto wceluje, dostaje od regionalnej władzy auto.

W Tule takich idiotycznych fajerwerków nie ma. Diumin nie wyrывa się nawet z głośnymi patriotycznymi deklaracjami na temat wojny z Ukrainą.

Od lat przyglądam się miejscu Diumina na publikowanej co miesiąc w „Niezawisimej Gazecie”, „liście stu wiodących polityków Rosji”. Stopniowo pnie się ku górze (gwałtownie można skoczyć w tej rywalizacji tylko w wyniku awantury, i to na krótko). Dziś jest na 64. – wysokim – miejscu. Z gospodarzy regionów wyżej są tylko, co naturalne, merowie: Moskwy – Siergiej Sobanian i Petersburga – Aleksander Biegłow (o jedno oczko). Wyprowadza Ramzana Kadyrowa czy przywódcę komunistów Giennadija Ziu-ganowa.

Jak na „prowincjusza” rewelacyjnie.

Zgodnie z powszechną wśród publicystów opinią Putin nie odda władzy, jak to określa Aleksiej Wieniediktow, były redaktor zlikwidowanego radia Echo Moskwy, „póki temperatura jego ciała nie obniży się do pokojowej”.

W marcu, niemal w ćwierćwiecze jego rządów, jak projektują na Kremlu, ma wygrać kolejne wybory, biorąc tym razem 90 proc. głosów.

Ale i o Borysie Jelcynie mówiło się, że władzy nie odda. A on starannie szukał sobie następcy, potem go w cieniu coraz bardziej znaczących gabinetów pielęgnował, by postawić w pełnym świetle jupiterów 9 sierpnia 1999 roku, w momencie, kiedy de facto przekazał mu rządy.

Nawet ci, którzy twierdzą, że Putin póki żywy władzy nie odda, zastanawiają się jed-

nak, na kogo mógłby postawić jako na swego następcę.

Na giełdzie nazwisk poza Diuminem są wciąż pełen podsycanych przez żonę ambicji 58-letni Dmitrij Miedwiediew i minister rolnictwa 46-letni Dmitrij Patruszew.

Były prezydent swymi szaleńczymi wyskokami w mediach internetowych dowodzi, że ma coraz większe problemy z samym sobą i alkoholem, który zresztą z upodobaniem produkuje. Więc raczej się już nie nadaje.

Mowa jest czasem także o członkach putinowskiego „biura politycznego”, czyli bliskim kręgu rówieśników i współpracowników Putina. Tu prasa zachodnia lubi wskazywać na Nikołaja Patruszewa, 72-letniego sekretarza Rady Bezpieczeństwa. On jednak po tym, jak najpierw przegapił, a potem nie umiał zareagować na bunt wagnerowców, mocno stracił na znaczeniu, co redukuje także szanse jego syna Dmitrija.

Wśród dzisiejszych kremlowskich starsów są i inni uważani za ewentualnych „papabili”. Ich wyniesienie groziłoby Rosji powtórzeniem „wyścigów na katafalkach”, jak określano następujące szybko po sobie zgony kolejnych następców Leonida Breżniewa – Jurija Andropowa i Konstantina Czer-nienki.

Stopniowo w prowincjonalnym cieniu obrastający autorytetem dobrego, gwarantującego stabilizację gospodarza, dzielnego generała Diumin coraz bardziej wygląda na asa utrzymanego na wszelki wypadek w Putinowskim rękawie, tym bardziej w sytuacji, kiedy paniczny lęk przywódcy przed chorobami zdradza, że coś ze stanem najwyższego organizmu nie gra.

Kreml stopniowo podnosi polityczną wagę Diumina. I dba o to, by zbytnią aktywnością publiczną, kontrowersyjnymi wypowiedziami przedwcześnie się nie spalił.

Ktoś z biografią taką jak gubernator Tuły jest atrakcyjny także dla tych, co szykowałiby przewrót w Rosji. Nie tylko Prigożyn, choć tego z Diuminem najwyraźniej nie ustalał, zaliczkowo dawał mu stanowisko ministra obrony.

Na tym fotelu widział go też Igor Girkin-Strielkow, dziś aresztowany za krytykę Putina, nieformalny przywódca rosyjskich „turbopatriotów”.

Temu, kto by przeciągnął gubernatora Tuły na swoją stronę, łatwo byłoby sprzedać go jako nowego przywódcę ludowi, czynownikom, armii, ludziom służb.

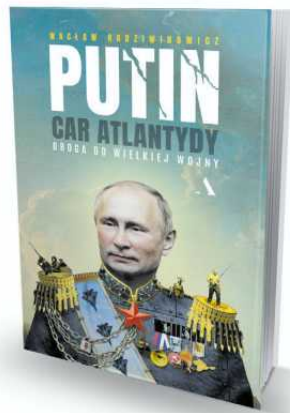
Młody, krzepki, sprawny. Syn generała, sam prawdziwy bojowy generał. Bohater Rosji nie po znajomości, a za akcję w stylu operacji „Eiche” Ottona Skorzenego. Faktyczny zdobywca Krymu.

A jeszcze doświadczony i całkiem sprytny, skoro nie wdepnął przez siedem lat gubernatorowania w żadną aferę.

Przy tym nie jest wcale ignorantem w polityce zagranicznej. Ma doktorat z nauk politycznych, a dysertację napisał (ponoć samodzielnie) na temat współpracy w „grupie ośmiu” (G-7 plus Rosja).

Na politycznym bezrybziu, w które zazdrosny o swą władzę i popularność Putin zmienił Rosję, jego były ochroniarz jest mocną figurą. ●

„Putin, car Atlantyd. Droga do wielkiej wojny”, Wacław Radziwinowicz, Wyd. Agora



NADCHODZI CZAS ZABIJANIA



Jak Trump przegra wybory, można sobie wyobrazić uzbrojone tłumy pod więzieniem w Georgii, domagające się wolności dla prawowitego prezydenta.

Maciej Jarkowicz

Donald Trump, najpoważniejszy kandydat na kandydata Republikanów w wyborach prezydenckich, jakie w przyszłym roku odbędą się w Stanach Zjednoczonych, jest oskarżonym w czterech procesach karnych. Łącznie postawiono mu 91 zarzutów. Najpoważniejsze z nich dotyczą kierowania spiskiem, jaki miał na celu unieważnienie wyniku wyborów w 2020 roku. Pierwszy z procesów zaplanowano na marzec 2024 roku, drugi na maj – w szczycie głosowań prawyborczych. W pozostałych dwóch nie wyznaczono jeszcze dat, ale najprawdopodobniej odbędą się jesienią bądź zimą przyszłego roku – w ostatnich tygodniach kampanii wyborczej albo tuż po wyborach.

Wszystko wskazuje na to, że ściganie przez wymiar sprawiedliwości nie odwiedzie Trumpa od ubiegania się o najwyższy urząd w najpotężniejszym państwie świata. Wiele wskazuje na to, że inni republikańscy kandydaci mają małe szanse, aby odebrać mu nominację. Dziś jego przewaga nad

drugim w sondażach gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem wynosi 40 punktów procentowych. Elektorat Trumpa jest zdyscyplinowany. W dużej części uzbrojony. Znajduje się też w stanie zbiorowej paranoi, która utrudnia mu racjonalne postrzeganie rzeczywistości. Prognoza dla tak zwanej ojczyzny wolności i demokracji jest zła. W przyszłorocznej kampanii wyborczej i po wyborach amerykańskiemu społeczeństwu raczej nie uda się uniknąć aktów przemocy. Pytanie brzmi: jaka będzie ich skala?

Fani Willis, prokurator z hrabstwa Fulton w stanie Georgia, oskarża Trumpa z mocy ustawy zwanej w skrócie RICO – Racketeer Influenced and Corrupt Organizations Act. Uchwalono ją na początku lat 70. jako prawo federalne do zwalczania mafii. Z czasem prokuratorzy zaczęli używać go jako narzędzia do ścigania przestępczości „białych kołnierzyków” – piramid finansowych, oszust giełdowych czy defraudowania publicznych środków. Jedną z najważniejszych funkcji RICO jest możliwość ścigania osoby uznanej za mózg przestępczej operacji bez potrzeby udowodnienia, że ona sama bezpośrednio łamała prawo. Wystarczy wykazać, że koordynowała lub inspirowała działania podwładnych dokonujących przestępstw. W kolejnych dekadach swoje wersje ustawy wprowadzały władze stanowe, dziś obowiązuje ona w 29 stanach, w tym w Georgii.

W latach 90. dzięki RICO sprawiedliwość dopadła Johna Gottiego, największego mafiosa tamtej ery. Boss rodziny Gambino zwany Teflonowym Donem był celebrytą. Słynął z umiejętnego romansowania z mediami oraz z tego, że wychodził bez wyro-

ków z kolejnych procesów. Dopiero przepisy RICO okazały się przeciw niemu skuteczną bronią. W 1992 roku dostał dożywocie bez możliwości przedterminowego zwolnienia. Dziesięć lat później zmarł w więzieniu na raka krtani.

W oskarżeniu prokurator Willis Trump jest ojcem chrzestnym operacji, która miała doprowadzić do sfalszowania wyniku wyborów prezydenckich w stanie Georgia. Grozi mu co najmniej pięć lat więzienia. Najważniejszym elementem materiału dowodowego jest nagranie rozmowy telefonicznej z 2 stycznia 2021 roku między Trumpem a sekretarzem stanu Georgii Bradem Raffenspergerem. Prezydent domaga się „znalezienia” odpowiedniej liczby głosów.

Pośród 18 oskarżonych oprócz Trumpa o uczestnictwo w spisku znalazł się jego prawnik Rudolph Giuliani. Kilka dekad temu jako burmistrz Nowego Jorku słynął ze stosowania RICO do zwalczania zorganizowanej przestępczości w mieście. On i pozostali oskarżeni dobrze wiedzą o innej właściwości tego prawa – prokuraturze najbardziej zależy na wysokim wyroku dla lidera. Jeśli jego podwładni dostarczą obciążające go zeznania, mogą liczyć na niższe. Mechanizm ten zadziałał w przypadku Gottiego.

Prawdopodobieństwo skazania Trumpa w Georgii jest wysokie.

Jak na zamknięcie go w więzieniu zareagują jego zwolennicy?

Kilka lat temu mówił: „Mógłbym zastrzelić kogoś w biały dzień na środku Piątej Alei, a ludzie i tak na mnie zagłosują”. Sondaże wskazują, że od 30 do 40 proc. wyborców Republikanów to jego żelazny elektorat,

którego dotyczy powyższa logika. Ale konserwatystów, którzy twierdzą, że Trump jest ścigany z powodów politycznych, a oskarżenia wobec niego są nieuczciwe, jest o wiele więcej – według jednego z badań aż 80 proc.

Kolejne akty oskarżenia napędzają jego kampanię. Na wiecach woła: „Chcę mnie uciszyć, bo wiedzą, że nigdy nie pozwolę uciszyć was! Chcą odebrać mi wolność, bo wiedzą, że strzegę waszej wolności!”. „New York Times” zauważył: w dwóch poprzednich kampaniach Trump przedstawiał siebie jako człowieka z zewnątrz, który „oczyści waszyngtońskie bagno”. Teraz poszedł dalej. Chce, żeby jego wyznawcy zobaczyli w nim siebie. Ich swobody są zagrożone. Ciemne siły czyhają również na nich. On jest męczennikiem gotowym ponieść ofiarę. „Jeśli ścigają Trumpa, dlaczego nie mieliby przyjść po mnie?” – mówi reporterowi pani w średnim wieku na wiecu w New Hampshire. Tak rozumują dziś miliony Amerykanów.

Prognozy dla rozwoju wypadków w USA nie poprawia sytuacja po stronie Demokratów. 15 dni po wyborach w listopadzie 2024 roku Joe Biden skończy 82 lata. Jest najstarszym prezydentem w historii kraju. Jego stan zdrowia jest nieprzerwanym tematem publicystyki, również w sprzyjających mu mediach. Badania pokazują, że najsłabsze poparcie Biden ma wśród najmłodszej części elektoratu.

W Partii Demokratycznej rośnie obawa, że w wyborach pojawi się trzeci, atrakcyjny kandydat, który osłabi szanse prezydenta w starciu z Trumpem. Swoją start zapowiedział Cornel West, lewicowy afroamerykański filozof. West jest intelektualistą celebrytą

FOT. AP/EAST NEWS



związanym z uniwersytetami Harvarda i Princeton, popularnym w internecie i mediach spoza głównego nurtu. W poprzednich kampaniach popierał Berniego Sandersa. Określa siebie jako „niemarksiowskiego” socjalistę. W pierwszej dekadzie XXI wieku był wielkim entuzjastą Baracka Obamy, aby później stać się jego zagorzałym krytykiem. Według Westa Obama zdradził – nie realizował progresywnego programu, z kandydata ludu stał się prezydentem establishmentu. Dziś West uważa, że napasć Rosji na Ukrainę została sprowokowana przez NATO będące narzędziem mocarstwowej polityki USA. Filozof może liczyć na głosy wielu Afroamerykanów i młodych kiedyś głosujących na Sandersa. Jego nazwisko na kartach wyborczych byłoby prezydentem dla Trumpa.

West o tym wie. Według wielu jest o wiele rozsądniejszy, niż się sądzi. Podjął jedynie misję Sandersa – wymuszenia kilku punktów lewicowej agendy w programie Bidena. Pytany, czy nie obawia się tego, że zabierze głosy Bidenowi potrzebne do zwycięstwa nad Trumpem, West odpowiada: „Biden nie jest właścicielem żadnych głosów. Musi na nie zasłużyć”. Niektórzy eksperci twierdzą, że jest nieobliczalny, a jego start możliwy.

Inne zagrożenie dla Bidena to nowa partia o nazwie No Labels (Bez Etykiet). Skupia środowiska centrowe – wymierający gatunek umiarkowanych republikanów, którzy nie godzą się na przejęcie partii przez Trumpa, oraz demokratów chcących kształtować program partii w opozycji do lewicowego skrzydła. No Labels zapowiada, że wystawi kandydata, „jeśli główne partie zachowają się nieodpowiedzialnie i będą

pogłębiać polaryzację”. Ruch ma w zamyśle wywierać presję na Bidena, aby nie ulegał lewicowcom. Związani są z nim tacy ludzie jak demokratyczny senator Joe Manchin czy byli republikańscy gubernatorzy Larry Hogan (Maryland) i Jon Huntsman (Utah). Śledztwo magazynu „Mother Jones” wykazało, że za pieniędzmi dla No Labels stoją bogacze związani zarówno z Demokratami, jak i Republikanami. Jednym z najhojniejszych darczyńców jest magnat branży nieruchomości z Florydy Allan Keen, jeden ze sponsorów Trumpa. Budzi to obawy, że nowa organizacja może zostać wykorzystana przez trumpistów do zatopienia Bidena.

Powstają upiory z przeszłości. W 2016 roku kandydatka Zielonych Jill Stein w trzech kluczowych stanach, w których zwyciężył Trump, zebrała więcej głosów, niż wynosiła różnica między nim a Hillary Clinton. W najgorszym scenariuszu w najbliższych miesiącach zdrowie Bidena słabnie, jego notowania spadają i pojawia się opozycja wobec jego kandydatury wewnątrz partii. W 1968 roku Lyndon Johnson zrezygnował z ubiegania się o drugą kadencję pod wpływem nacisków z lewego skrzydła partii reprezentowanego przez Eugene’a McCarthy’ego. W efekcie wybory łatwo wygrał Richard Nixon. W roku 1980 prezydent Jimmy Carter musiał stoczyć bratobójczy prawyborczy bój o nominację z Tedem Kenedym. Później przegrał sromotnie z Ronaldem Reaganem.

Nadchodzi czas zabijania. Najpierw Kamala, później Joe” – pisze mieszkaniec stanu Utah Craig Robertson w mediach społecznościowych. Zamieszcza zdjęcia swoich pistoletów opatrzone podpisem: „Pogromca Demokratów”. Wielokrotnie grozi śmiercią innym znanym politykom Partii Demokratycznej. Kilkanaście godzin przed przylotem Bidena do Utah pisze: „Czas wyczyścić karabin snajperski”.

Gdy Robertson stał się słynny – o czym powiem za chwilę – jego rodzina wydała oświadczenie: „Craig kochał ojczyznę z całego serca. Widział ją jako kraj wolności powołany do życia boskim przeznaczeniem. Można zrozumieć jego gniew z powodu postępującego rozkładu naszych gwarantowanych konstytucją swobód i praw. Nie tylko on dostrzegał, że są niszczone przez skorumpowany rząd. Jego szanse czerpania z wolności słowa były ograniczone”.

Paranoja, w jaką wprowadził sporą część narodu Trump, dotyczy między innymi pierwszej poprawki do konstytucji gwarantującej wolność wypowiedzi. Trump przyszedł do polityki jako niszczytel politycznej poprawności, która przez dekady zakazywała tak zwanej milczącej większości mówienia tego, co naprawdę myśli. Zadaniem sądów jest rozstrzygnięcie, gdzie leży granica tego, co powiedzieć wolno, ale – jak wiadać na przykładzie Craiga Robertsona – ich werdykty mogą się okazać niewystarczające. Jego wpisy przez miesiące pozostawały bezkarne.

Tymczasem już w latach 40. ubiegłego wieku Sąd Najwyższy wprowadził pojęcie „fighting words” – „języka walki”, dziś nazywanego mową nienawiści. Uznał, że konstytucja nie daje mu ochrony. Sprawa dotyczyła pewnego świadka Jehowy, który wykrzykiwał na ulicach, że zorganizowana religia jest oszustwem i faszystowską. Sąd uznał, że przesadził. Jednak od tamtej pory standardy zostały znacznie poluzowane. Sądy były niekonsekwentne w definiowaniu, co jest, a co nie jest językiem walki. Wulgarność dla jednego może być liryzmem dla innego – stwierdzono w jednym uzasadnieniu. Dopóki potencjalny zamachowiec nie dokonuje zamachu, a jedynie go zapowiada, realizuje swe „coraz bardziej ograniczone” prawo do wolności. Przez wentyl mowy nienawiści upuszcza swój gniew.

Wolność słowa jest podstawowym narzędziem rozsiewania trumpistowskiej paranoi. „Chcę mnie uciszyć, bo nie pozwalał uciszyć was”. Sojusznika Trumpa Tuckera Carlsona

wyrzucono z Fox News, aby go uciszyć – co na forum ONZ siłą swego autorytetu potwierdził szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow. Teraz Trump wybiera spotkanie z Carlsonem transmitowane na platformie X (do niedawna Twitter), należącej do wojownika o wolność słowa Elona Muska, zamiast prawyborczej debaty z innymi kandydatami Republikanów. Rosyjską napasć na sąsiada Carlson określa „wojną Ukrainy przeciw Rosji”. Ubolewa, że w Stanach – ze względu na zamach na wolność słowa – nikt nie nazywa rzeczy po imieniu.

■
W poprzednich kampaniach Trump przedstawiał siebie jako człowieka z zewnątrz, który „oczyści waszyngtońskie bagno”. Teraz chce, żeby jego wyznawcy zobaczyli w nim samych siebie. Ich swobody są zagrożone

Owszem, Trump szerzył kłamstwo o fałszerstwie wyborczym, ale miał do tego prawo, bo sam w nie wierzył. Według najnowszych pomiarów wierzy w nie również 69 proc. wyborców Republikanów

Wolność słowa może też posłużyć prawnikom do obrony Trumpa w sądach. Wprawdzie kłamał, że wybory zostały sfalszowane, ale kłamstwo jest legalne. Tak sprawę rysuje zresztą największy rywal Trumpa w prawyborach Ron DeSantis. Oczywiście, że Biden wygrał wybory, przynajmniej. Ale Trump ma prawo kłamać w tej kwestii, a działania prokuratorów w jego sprawie są polowaniem na czarownice.

W 2012 roku niejaki Xavier Alvarez wygrał z rządem Stanów Zjednoczonych w Sądzie Najwyższym. Alvarez publicznie twierdził, że został odznaczony Medalem Honoru – najwyższym odznaczeniem wojskowym. W rzeczywistości żadnego medalu nie dostał, więc prokuratura oskarżyła go o złamanie ustawy zakazującej przypisywania sobie zasług bojowych oraz noszenia przez cywilów wojskowych mundurów i odznaczeń. Stosunkiem głosów sześć do trzech sąd uznał, że kłamstwo jest formą wypowiedzi i chroni je pierwsza poprawka.

Dziś przemysł dezinformacji, wobec którego amerykańska demokracja jest coraz bardziej bezbronna, opiera się na tamtej decyzji. Prawnicy przygotowują strategię, w której Trump staje się poniekąd ofiarą samego siebie. Owszem – szerzył kłamstwo o fałszerstwie wyborczym, ale miał do tego prawo, bo sam w nie wierzył.

Według najnowszych pomiarów wierzy w nie również 69 proc. wyborców Republikanów. Wykreowana na polityczne potrzeby teoria spiskowa stała się prawdą dla niemal połowy narodu. Jest to możliwe, bo zaufanie do państwa spadało od lat. Kłamano w sprawie Wietnamu za Nixona, Iran-Contras za Reagana, powodów inwazji na Irak za Busha Juniora, wojny z udziałem dronów za Obamy, elita finansowa kłamała w sprawie kredytów hipotecznych, które doprowadziły do kryzysu w 2008 roku, służby kłamały w sprawie podsłuchów NSA. I tak dalej. To wszystko „prawdziwe kłamstwa”. Naprawdę je rozsiewano, naprawdę kazano wierzyć w nie społeczeństwu. Teraz społeczeństwo się odwinęło. Na glebie politycz-

no-gospodarczej demoralizacji wyrastają niemoralni liderzy. Ludzie chcą im wierzyć. Dla milionów Trump jest ostatnim sprawiedliwym toczącym nierówną walkę z zakłamanym systemem.

Na początku sierpnia do domu Craiga Robertsona, który napisał, że „nadchodzi czas zabijania”, weszło FBI. Ponoć skierował w stronę władzy karabin. Został zastrzelony. FBI nie ujawnia szczegółów, co tylko (pośród niektórych) wzmacnia podejrzenia, że system celowo go wykończył. Przecież FBI w swej historii też ma operacje, które mogłyby uchodzić za teorie spiskowe, gdyby nie to, że są w 100 proc. prawdziwe. Agencja likwidowała choćby działaczy ruchu praw obywatelskich wskazanych przez jej wieloletniego szefa Edgara Hoovera. Według licznych wyznawców Trumpa Craig Robertson, który groził śmiercią Bidenowi, zginął w obronie wolności.

Nic nie powstrzyma Trumpa przed startem w wyborach. Konstytucja nie zakazuje tego ludziom z wyrokami. Co więcej – nie zakazuje nawet sprawować władzy z więzienia. Jeśli Trump zostałby skazany i wygrałby wybory – usunąć go mógłby tylko Kongres. Do tego konieczne byłoby opamiętanie się przynajmniej niektórych Republikanów.

A jeśli Trump przegra? Bez trudu można dziś wyobrazić sobie wielotysięczne, uzbrojone masy pod więzieniem stanowym w Georgii, domagające się wolności dla jedynego prawowitego według nich prezydenta. Można zobaczyć, jak pick-upami jadą na Waszyngton, gdzie trwa mobilizacja wojska.

Raporty służb wskazują, że od 6 stycznia 2021 roku, kiedy tłum zaatakował Kapitol, ryzyko przemocy politycznej stale rośnie. Nie ma groźby wojny domowej, w której naprzeciw siebie stają wrogie armie. Ale prawdopodobne są rozproszone akcje zbrojne, które będą destabilizować państwo i podkopywać demokrację.

Co skłania do postawienia pytania: czy warto ścigać Trumpa?

Analogiczne prędkiej czy później trzeba będzie zadać w Polsce.

„Kogo należy postawić przed Trybunałem Stanu?” – pyta Donata Subbotko profesora Adama Strzembosza, który odpowiada: „Wszystkich, którzy naruszili konstytucję lub inne prawo, a podlegają odpowiedzialności przed Trybunałem. Prezydent, premier, ministrowie. Kaczyńskiego też, był przecież wicepremierem”.

Jak to zrobić, nie ryzykując dalszej dezkompozycji społeczeństwa? Fani Willis, prokurator, która wytoczyła największe jak dotąd działa przeciw Trumpowi, została wybrana w wolnych wyborach jako kandydatka związana z Demokratami. W warunkach skrajnej polaryzacji Trump z łatwością stawia siebie jako ofiarę politycznej napadzi. W Polsce przyszła władza będzie rozliczać obecną, która za pośrednictwem swoich mediów przedstawi siebie jako sprawiedliwych zwalczanych przez wrogów ojczyzny. W żelaznym elektoracie jeszcze bardziej utrwali się nienawiść do tak zwanego systemu – w naszym wypadku coraz mocniej kojarzonego z Unią.

Jednak zarówno w Stanach, jak i w Polsce nie ma innej drogi niż ściganie winnych. Ceną amnestii byłyby abdykacja demokracji, pozostawienie pola plugastwu. Postawa Willis może być wzorem dla ludzi, którzy w przyszłości ze swych konstytucyjnych umocowanych stanowisk będą rozliczać PiS.

U nas, tak jak w Stanach, dzisiejsze kłamstwo stało się możliwe dzięki „prawdziwym kłamstwom” z przeszłości. Kłamała komuna, afery i kłamstwa ma na koncie każda ekipa rządząca po 1989 roku. PiS wykwił na gnoju politycznej demoralizacji. Zadaniem nowych rządów będzie zaoranie pola i tworzenie nowego zaufania opartego na uczciwości. ●

N A S Z A E U R O P A

SzeF unijnej dyplomacji:

Putin poświęci swoją armię i naród, ABY PRZETRWAĆ

– Pomoc militarna dla Ukrainy postępuje zbyt stopniowo i wolno. Obawa przed eskalacją prowadzi właśnie do niej – mówi Josep Borrell.

Claudi Pérez i Luis Doncel

EL PAÍS

16 -letni Borrell, pochodzący z Pirenejów polityk hiszpańskich socjalistów, to obecnie szef europejskiej dyplomacji – ale jego język od czasu wybuchu wojny w Ukrainie nie jest bardzo dyplomatyczny, przeciwnie – mówi bez ogródek.

„Putin poświęca swój naród i swoją armię dla osobistego i politycznego przetrwania”; „Rosja poniosła porażkę w inwazji na Ukrainę, ale podjęła się systematycznego niszczenia tego kraju”; „Mariupol jest odpowiednikiem kilku Guernic”. Nadzieję widzi w jeszcze bardziej zintegrowanej Europie z jej maksymalną różnorodnością na minimalnej przestrzeni, jak mawiał Milan Kundera.

...

Półtora roku po rozpoczęciu wojny sytuacja na froncie wydaje się w impasie. Zmierzamy do zamrożenia tego konfliktu?

– Kontrofensywa Ukrainy nie przełamała linii rosyjskiej obrony, tak jak to miało miejsce jesienią ubiegłego roku. Rosja zdążyła zbudować potężne umocnienia, szerokie nawet na 30 kilometrów. Ukraina jest obecnie najbardziej zaminiowanym krajem na świecie. W takich warunkach wojna jest serią prób i błędów. Frontalny atak byłby dziś samobójstwem, zwłaszcza bez wsparcia lotniczego.

Ale militarnie Rosja poniosła porażkę. Putin chciał szybkiej i łatwej operacji, ale minęło 18 miesięcy i jest w defensywie. Jego projekt blitzkriegu, który nie dałby nikomu czasu na reakcję, okazał się kompletnym fiaskiem. Rosja zapłaciła już ogromną cenę w kategoriach materialnych i ludzkich: straciła 2000 czołgów, to więcej,



• Josep Borrell w Moskwie w lutym 2021 r. Podczas tej wizyty szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow bezceremonialnie tajał swojego unijnego odpowiednika. Rok później, już po inwazji na Ukrainę, miał powiedzieć pewnemu oligarsze: „Putin ma teraz trzech doradców: Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Katarzynę”

FOT. AP/EAST NEWS

żywność. Putin nie może nawet pojechać do RPA na szczyt BRICS: czy wyobrażał sobie, kiedy rozpoczynał wojnę, że nie będzie mógł opuścić Rosji, ponieważ może zostać aresztowany na mocy nakazu Międzynarodowego Trybunału Karnego?

Czy jest szansa na wynegocjowanie rozwiązania? Ukraina uznała udział Chin w niedawnym podejściu do rozmów pokojowych w Arabii Saudyjskiej za obiecujący.

– Chiny nigdy nie powiedzą wprost, że wycofują swoje poparcie dla Rosji. Ale Pekin wcale nie czuje się komfortowo w tej sytuacji. Wiem, że obawiają się eskalacji nuklearnej. Chiny już także chcą zakończenia wojny, ale problem polega nie tylko na tym, kiedy, ale też jak się zakończy.

Zbliża się kolejna zima z rosnącymi cenami energii, problemami ze zbożem, ryzykiem kolejnej fali migracji i kampanią wyborczą w USA. Presja rośnie, wielu zaczyna puszczać nerwy. Kiedy nadejdzie czas negocjacji, czy UE i USA skłonią Ukrainę do zredukowania swoich celów, jak zasugerował wysoki rangą urzędnik NATO, choć później musiał to dementować?

– Nie do nas należy dyktowanie Ukraincom warunków pokoju. I nie wierzę, że zaprzestanie militarnej pomocy Ukrainie doprowadziłoby do pokoju. Ofiara agresji musi odzyskać swoją integralność terytorialną, a agresor musi ponieść konsekwencje. Europa myślała, że wojna zniknęła z jej horyzontu, że stała się czymś, co dzieje się daleko i jest prowadzone przez innych. Ale teraz wojna toczy się tu i dotyczy nas: Rosja Putina jest zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa.

Niektórzy twierdzą, że UE została wchłonięta przez NATO.

– NATO jest w tej sytuacji najlepszym możliwym ubezpieczeniem, czego dowodzi decyzja Szwecji i Finlandii o przystąpieniu do Sojuszu. UE jest zjednoczona jak rzadko. Zobaczmy, czy utrzymamy tę jedność po wojnie.

niż mają ich wszystkie armie Europy razem wzięte.

Chociaż nie oznacza to, że reżim na Kremlu wyczerpał własne możliwości. Putin poświęca też swoją armię i swoich ludzi dla osobistego przetrwania.

Z drugiej strony strategicznym celem Ukrainy jest izolacja Krymu. Ale bez samolotów jest to niemożliwe.

– Kilka krajów już zgodziło się wysłać myśliwce czwartej generacji. Ale najpierw piloci muszą zostać przeszkoleni.

Czy Europa zrobiła wystarczająco dużo?

– Zrobiliśmy to, co należało, pomagając Ukrainie bronić się bez rozszerzania konfliktu. Ale uważam, że nasza pomoc była zbyt stopniowa. W kilku przypadkach – czołgów, rakiet Patriot, samolotów – zaczęliśmy od powiedzenia: „nie, nie zrobimy tego”, a skończyło się na tym, że i tak to zrobiliśmy – za późno.

To USA dążyły najsilniej do tej „stopniowej” strategii, aby uniknąć otwartej konfrontacji NATO z Rosją. Czy Europa nie powinna działać bardziej samodzielnie?

– Musimy zrozumieć, że jest to wojna konwencjonalna o wysokiej intensywności, która łączy najnowocześniejsze technologie – zaawansowane systemy rozpoznania i komunikacji czy drony – z najbardziej brutalnymi aspektami wojny

w okopach. Widzimy I wojnę światową, II wojnę światową i wojnę przyszłości jednocześnie. A także systematyczne, bestialskie ataki na ludność cywilną.

Tym, którzy twierdzą, że jest to proxy war o wpływy między Rosją a NATO, należy o tym stale przypomnieć. Bo jaki jest sens tych wszystkich bombardowań cywilów? Sam Mariupol jest kilkukrotnie większy od Guerniki. Tysiące ukraińskich cywilów zostało deportowanych, w tym olbrzymia liczba dzieci. Są to zbrodnie wojenne o historycznych proporcjach, porównywalne tylko z tymi z II wojny światowej.

Jaka w tym wszystkim jest osobista rola prezydenta Rosji?

– Putin pomylił się prawie we wszystkim. Myślał, że ogromna zależność Europy – zwłaszcza Niemiec – od węglowodorów powstrzyma nas przed przeciwstawieniem się mu. A w ciągu półtora roku zużycie rosyjskiego gazu, z wyjątkiem Węgier, spadło praktycznie do zera. Myślał, że ma wszystko pod kontrolą, a nagle część jego armii ogłosiła bunt i posunęła się do zbrojnego marszu na Moskwę. Pęknięcia w rosyjskim systemie politycznym są ewidentne. Putin nie ma już monopolu na użycie siły, co jest cechą podstawową reżimów. Jednego dnia mówi, że szef wagnerowców Jewgienij Prigożyn jest zdrajcą, a następnego przyjmuje go w Petersburgu, ponieważ potrzebuje Grupy Wagnera do swoich afrykańskich operacji.

Powtarzam: Putin nie waha się poświęcić swój naród oraz armię dla osobistego i politycznego przetrwania – i dlatego tak trudno jest negocjować pokój. A to, co należy wynegocjować, to nowy system zbiorowego bezpieczeństwa, który ta wojna zniszczyła.

Wagnerowcy to obecnie jeden z najbardziej niepokojących aspektów wojny: Polska i państwa bałtyckie obawiają się napływu i aktywności najemników na Białorusi. Co może z tym zrobić Bruksela?

– Niewiele. Ale to uzasadniony strach. Ich obecność może wygenerować drugi, północny front wojny ukraińskiej. Nie sądzę, aby w ich planach był atak na kraj NATO, ale przecież ostatnie rosyjskie pociski wystrzelone na porty, przez które Ukraina eksportuje zboże, wylądowały dosłownie kilka metrów od granicy z Rumunią.

Jakie są skutki zerwania przez Moskwę umowy zbożowej?

– Na wczesnych etapach wojny Putin odniósł pewien sukces w gromadzeniu Globalnego Południa przeciwko „agresywnemu Zachodowi”, ale traci tę przewagę, najbardziej poprzez blokadę eksportu żywności z Ukrainy. Niedawny szczyt Rosji z Unią Afrykańską okazał się wielką dyplomatyczną kląpą. Kiedy Putin ogłosił, że podaruje pszenicę, prezydent RPA oświadczył, że nie chce jałmużny, a Rosja po prostu nie powinna utrudniać normalnego obrotu, który pozwala Afryce kupować

NASZA EUROPA

Czy szybkie wejście Ukrainy w UE jest realne?

– Gdyby nie wojna, ten proces zajęłby lata. Wprowadzenie do UE kraju o wielkości i warunkach społeczno-gospodarczych Ukrainy jest wyzwaniem: gdyby dołączyła jutro, byłaby jedynym odbiorcą netto funduszy. Wszyscy inni staliby się płatnikami netto. Ale wojny przyspieszają historię. Ukraina nagle stała się kandydatem i, to poważnym. Zostanie to zrobione tak szybko, jak to tylko możliwe. To kolejny niezamierzony efekt wojny Putina.

Konfrontacja z Rosją przynosi się na inne teatry. Czy Sahel jest nowym frontem w tej samej wojnie?

– Nie sądzę, by to, co dzieje się obecnie w Nigrze, było wynikiem rosyjskiego spisku, choć jasne jest, że Rosjanie wykorzystują sytuację, która jest im na rękę. W Nigrze mamy do czynienia z wewnętrznym konfliktem w armii i strukturach politycznych. Wielka szkoda: Niger był jednym z niewielu przykładów demokratycznych przemian w regionie.

Regionie, w którym narastają nastroje antyfrancuskie i – szerzej – antyzachodnie. Czy Europa nie powinna bardziej krytycznie ocenić swoją politykę zagraniczną?

– Trwa szeroko zakrojona wojna propagandowa. Skąd np. nagle na ulicach miast Sahelu pojawiło się tak wiele rosyjskich flag? Ale to prawda, że UE musi bardziej zaangażować się w rozwój Afryki. Wojny w Sahelu nie zostaną wygrane, jeśli nie zostanie wygrana bitwa o rozwój. Kraje te nie wygenerowały dynamiki wzrostu, która poprawiłaby warunki życia. To się nie stanie bez partnerstwa na równych zasadach.

Wzrosło ryzyko kolejnej fali kryzysu migracyjnego?

– Sahel jest miejscem pochodzenia i tranzytu dużej części nielegalnej migracji. A więc ryzyko jest wyraźne. Podobnie jak zagrożenie ze strony dżihadystów i potencjalna destabilizacja sąsiednich krajów. A także wzrost wpływów Rosji, ponieważ najemnicy Wagnera stanowią obecnie gwardię przyboczną afrykańskich dyktatorów wojskowych.

Opcja interwencji wojskowej wskazuje na popularności.

– To afrykańska chwila prawdy. Kraje sąsiadujące z Afryką Zachodnią chcą nadal negocjacji dyplomatycznych, bo konflikt militarny wywołany interwencją państw ECOWAS miałby poważne konsekwencje.

Gdyby jednak do tego doszło, jaka byłaby reakcja Europy?

– Obawiam się, że tym razem jednomyślność będzie trudna.

Chiny są coraz silniej obecne w Afryce i Ameryce Łacińskiej. Są głównym zakulisowym graczem w wojnie w Ukrainie. I redefiniują

swoje relacje z Europą. Jakie relacje powinna mieć UE z Chinami?

– Po pierwsze, Chiny to nie Rosja. Chiny są prawdziwym aktorem geopolitycznym, podczas gdy Rosja jest ekonomicznym karłem, jak stacja benzynowa, której właściciel ma bombę atomową. Chiny są zbyt ważne, by je ignorować, ale także – by próbować je izolować. Mam istotne różnice, ale Chiny to nie jest główne wyzwanie dla naszego bezpieczeństwa. Mam z Chinami wspólne problemy, głównie zmiany klimatyczne i zadłużenie biednych krajów. Nie jesteśmy zainteresowani przyczynianiem się do polaryzacji systemu międzynarodowego, która doprowadziłaby do powstania świata dwubiegunowego i pojawienia się dwóch konkurujących ze sobą systemów technologicznych, które zmusiłoby wszystkich do wyboru między jednym a drugim. Oczywiście jest, że jesteśmy bliżej USA, ale Europa musi unikać nadmiernej zależności: od rosyjskich węglowodorów, od amerykańskiej ochrony, od popytu na chińskim rynku oraz od chińskich krytycznych minerałów i technologii transformacji cyfrowej. Wyciągnijmy wnioski i unikajmy zależności, które stwarzają poważne ryzyko.

Populista Milei szykuje się na triumf w Argentynie. Trump prowadzi w republikańskim wyścigu o Białą Dom...

– Populiści nadal oferują fałszywe, cudowne rozwiązania prawdziwych problemów. To jest wyzwanie dla demokracji na całym świecie: aby konkurencja między partiami, która jest istotą demokracji, nie osłabiła zdolności do oferowania skutecznych rozwiązań dla ludzi.

W Europie centroprawica próbuje wchłonąć pewne nurty skrajnej prawicy. Szef EPL Manfred Weber flirtuje z Giorgiā Meloni i innymi partiami radykalnymi, myśląc już o nowym rozdaniu po przyszłorocznych eurowyborach. Czy ta „normalizacja” skrajnej prawicy nie jest ryzykowna?

– Do tej pory w Europie mieliśmy kordony sanitarne: we Francji, w Niemczech nie pakowano ze skrajną prawicą. Te kordony zaczynają słabnąć, jak widzieliśmy już w Finlandii i Szwecji. Wszyscy przygotowują się do wyborów europejskich i nie wiadomo, jaki rodzaj większości zostanie utworzony. Ja uważam, że Europa wobec sytuacji na świecie nie ma wyjścia: musi kontynuować integrację. Niepokoją mnie tendencje dezintegracyjne, rosnąca radykalizacja nacjonalistów. Zamiast normalizacji dostrzegam raczej pewną trywializację skrajnie prawicowych ruchów. To się może skończyć fatalnie – dla każdego obywatela naszej Unii. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

DŁUGI, ALE PRAWDZIWIW KONIEC IMPERIUM

Puszkina do lamusa

W odróżnieniu od starych europejskich państw, które zdobyły i straciły zamorskie terytoria, Rosja nie ma historycznie, geograficznie ani konstytucyjnie ugruntowanych państwowych granic, do których mogłaby wrócić.

Timothy Garton Ash*

Pamiętam, jak w zeszłym miesiącu stałem na rogu dawnej kijowskiej ulicy Puszkina. Kiedy armia Putina wtargnęła do Ukrainy, przemianowano ją na Jewhena Czykalenki, przywódcy ukraińskiego ruchu niepodległościowego z początków XX w. Miłośnikom literatury i opery wygumkowanie autora „Eugeniusza Oniegina” wyda się przesadne. Putin? No dobrze, ale dlaczego Puszkina?

Ale dla Ukraińców, którzy walczą o narodowy byt z rosyjską rekolonizacją, Puszkina stał się symbolem imperializmu, który od stuleci odmawia im prawa do narodowej i państwowej egzystencji. Puszkina wielkim poetą był, ale był też piewcą rosyjskiego imperializmu, zupełnie tak samo jak Rudyard Kipling piewcą imperializmu brytyjskiego.

W słynnym wierszu Puszkina ukazuje kozackiego hetmana Mazepę jako kapryśnego zdrajcę, wroga bohaterskiego cara Piotra Wielkiego, który w 1709 r. zatriumfował nad Szwedami w bitwie nad Poltawą, by wkrótce ufundować rosyjskie imperium.

Gdy w zeszłym roku Rosjanie bombardowali Ukrainę, w oficjalnym wideo minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow recytował „Oszczercom Rosji” Puszkina, wiersz, w którym poeta pomstuje na Zachód wtrącający się w „odwieczny nasz rodzinny spór”, wewnętrzne sprawy Rosji i Ukrainy. Przebitki na prezydenta Bidena i szczyt G-7 dojaśniły sprawę. Kiedy siły rosyjskie zajmowały Chersoń, billboardy z Puszkinem służyły kampanii propagandowej, wedle której Rosja „będzie tu na zawsze”.

Nic dziwnego, że w ukraińskich mediach społecznościowych mowa stała o „puszkinistach” atakujących ich miasta, że np. „puszkinisci nie dają nam spokojnie spać – w Kijowie było bardzo głośno”. Po nocy spędzonej w schronie przeciwlotniczym sam nie czulem specjalnej sympatii do puszkiniistów.

Za odrzuceniem przez Ukraińców Puszkina kryje się jednak coś więcej. Gdy spojrzymy wstecz, zobaczymy, jak upadek rosyjskiego imperium staje się jednym z największych motorów historii minionych czterech dekad Europy. Ale kiedy spojrzymy w przód, winiśmy oczekiwać, że będzie też jednym z największych wyzwań dla niej przez kolejne 20, jeśli nie 40 lat.

Po rewolucji 1917 r. rosyjskie imperium weszło w osobliwą fazę swojej egzystencji jako utworzony w 1922 r. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Lenin postulował, że powinno to być pań-

stwo deklarujące równość wchodzących w jego skład republik. Stalin natomiast chciał – jak Putin 100 lat później – żeby Ukraina stała się częścią Rosji. Po drugiej wojnie światowej ta wersja imperium zdominowała Europę Środkową aż po żelazną kurtynę, która przekroiliła na pół Niemcy. Od Warszawy po Waszyngton postrzegano je jako imperium – tyleż radzieckie, co rosyjskie.

W latach 70. ZSRR zdawał się potężnym rywalem USA, także w Afryce i Ameryce Łacińskiej, ale w latach 80. stał się oczywistym bankrutem. W latach 1989-91 reformy Michaiła Gorbaczowa dokończyły najbardziej spektakularny w dziejach świata, pokojowy rozpad imperium, kres nie tylko radziecko-rosyjskiej kontroli nad Europą Środkową, ale też o wiele starszych imperialnych więzi Rosji z Ukrainą i Białorusią. Co niezwykle – a zarazem konieczne ze względu na złożone radziecko-rosyjskie relacje – ostateczny impuls ku temu dał przywódca imperium Borys Jelcyn.

Wielu na Zachodzie pochopnie zakładało, że to koniec historii, ale upadające imperia nie rezygnują bez walki. Pierwszą reakcją, już w 1992 r., były militarne wtargnięcia i okupacja separatystycznego terytorium Nadniestrza na wschodzie uzyskującej właśnie suwerenność Moldawii, a potem dwie brutalne wojny czeczeńskie wewnątrz Federacji Rosyjskiej.

Potem imperium uderzyło z większą mocą. Od 2008 r. okupuje dwa duże obszary Gruzji, od 2014 r. toczy wojnę we wschodniej Ukrainie, zaanektowało Krym, a od 24 lutego 2022 r. uderzyło na to państwo z pełnym militarnym impetem. W mowach i na piśmie rosyjski przywódca jasno daje do zrozumienia, że jego głównym punktem odniesienia jest rosyjskie imperium. W lutym zeszłego roku ponoć zaskoczony decyzją szefa minister Ławrow mruknął do zaprzyjaźnionego oligarchy, że Putin ma troje doradców: Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Katarzynę.

Historia się nie skończy, nawet jeśli Ukraina odzyska każdy centymetr kwadratowy swego suwerennego terytorium, w tym Krym. Jest wszak Białoruś, ponaddziesięcioletni kraj, w którym od parunastu lat działa jeden z najbardziej wytrwałych we współczesnym świecie ruchów obywatelskiego oporu, sprzeciwiający się coraz bardziej autorytarnym rządóm Aleksandra Łukaszenki. Są niepodległe poradzieckie państwa: Moldawia, Gruzja, Armenia i Azerbejdżan. Jest Azja Środkowa. W granicach Federacji Rosyjskiej są republiki, takie jak Czeczenia, Dagestan i Tatarstan. Jednym z najlojalniejszych ludzi Putina jest czeczeński lider Ramzan Kadyrow, ale i on może przemyśleć sprawę, kiedy Rosja popadnie w tarapaty.

My na Zachodzie nie powinniśmy się ludzi, że potrafimy „zarządzać” upadkiem nuklearne-

go imperium – tak jak nie umiały europejskie mocarstwa na przełomie XIX i XX w., kiedy upadało imperium osmańskie. Zachodnie demokracje często przeceniają swoje możliwości wpływania na wewnętrzną politykę autorytarnych reżimów. Znikome wydają się zwłaszcza nasze możliwości bezpośredniego oddziaływania na dzisiejszą Rosję – dyktatorskie rządy jednostki w zaawansowanym stadium paranoi i wyparcia. Po Putinie – i po jego bezpośrednich następach – pojawi się może szansa na bardziej konstruktywne działanie. I na to powinniśmy liczyć. Mnie jednak sporo czasu, nim Rosja uzna w końcu, że straciła imperium, i zacznie odnajdować swoją nową rolę.

Tymczasem możemy się postarać, by kraje szukające lepszej przyszłości poza upadającym rosyjskim imperium mogły żyć w pokoju, bezpieczeństwie i wolności. Geopolityka, jak natura, nie znosi próżni. W dalszej perspektywie wprowadzenie Ukrainy i jej mniejszych sąsiadów do UE i NATO, co zabezpieczy je przed wszelkimi przyszłymi próbami rekolonizacji, przysłuży się też Rosji. Kiedy w końcu zamkną się drzwi do imperium, może ona zacząć długi marsz ku narodowej państwowości. Podróż ta będzie jednak szczególnie trudna, bo w odróżnieniu od starych europejskich państw, m.in. Francji i Portugalii, które zdobyły i straciły zamorskie terytoria, Rosja nie ma historycznie, geograficznie ani konstytucyjnie ugruntowanych państwowych granic, do których mogłaby wrócić.

Ale możliwa jest inna postimperialna przyszłość. Literaturę rosyjskojęzyczną mogą wzbogacić swoją twórczością ukraińscy i inni postkolonialni autorzy – zupełnie tak samo jak angielską wzbogacali pisarze z południowej Azji, Afryki i Karaibów. Próbując odbudować przemocą ruskij mir, Putin go zniszczył. W maju 2013 r. 80 proc. Ukraińców miało w sondażach pozytywny stosunek do Rosji. W maju zeszłego roku odpowiedziało tak tylko 20 proc., do których zdolali dotrzeć ankietery. Ulicę Puszkina Ukraińcy przemianowali. To właśnie zrobił Putin Puszkiniowi.

Tylko wtedy, gdy Ukraina będzie wzięta bezpiecznie w oba silne ramiona geopolitycznego Zachodu, UE i NATO, jej obywatele pójdą spokojnie spać w swoich łóżkach, jak Estończycy i Litwini, nieniepokojeni nocnymi nalotami puszkiniistów. I wtedy poczytają sobie z przyjemnością „Eugeniusza Oniegina”. ●

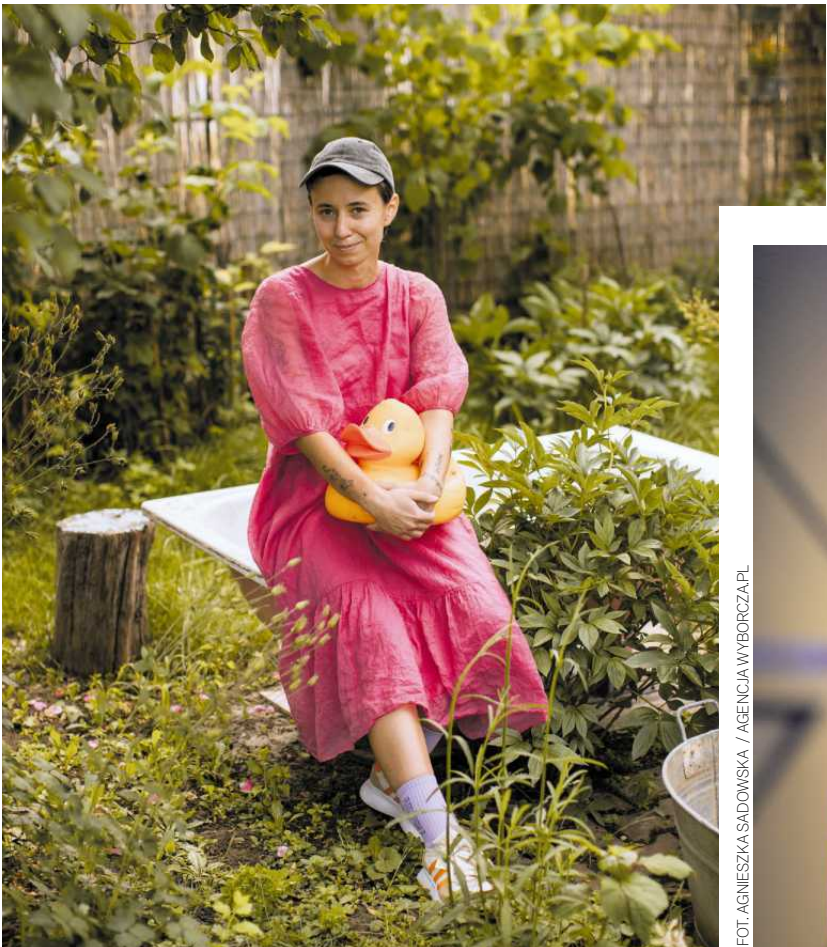
tłum. Sergiusz Kowalski

***Timothy Garton Ash** jest profesorem europeistyki na Uniwersytecie Oksfordzkim i senior fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Niniejszy tekst ukazał się w „The Financial Times” 19 sierpnia



LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER — ALLIANCE

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



DOROTA KOTAS

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



JUSTYNA KULIKOWSKA



ŁUKASZ BARYS

Najlepsi pisarze przed trzydziestką

NIE POTRZEBUJEMY
NOWEJ „LALKI”

FOT. JOANNA NOWICKA



ANOUK HERMAN

Może to jedno-
sezonowe
osobowości,
ale może się
też okazać,
że ktoś z tej
piątki
przemebluje
polską
literaturę.

Wojciech Szot

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



MATEUSZ GÓRNIAK

O 10 lat brytyjski magazyn literacki „Granta” poświęca jeden z numerów 20 najlepszym młodym autorom i autorkom piszącym po angielsku. „Młodym”, a więc takim, którzy nie ukończyli jeszcze 40 lat. Na tegorocznej liście znaleźli się m.in.: Natasha Brown, autorka debiutanckiej powieści „Przyjęcie”, czy Eleanor Catton, autorka „Wszystko, co lśni”, za którą w wieku 28 lat dostała Bookera.

Kto w Polsce powinien się znaleźć na takiej liście?

Pytanie to zadałem m.in.: Justynie Sobolewskiej („Polityka”), Maciejowi Libichowi („Literatura na Świecie”), Elizie Kąckiej czy mojemu redakcyjnemu koledze Michałowi Nogasiowi. Żeby było trudniej, obniżyłem poprzeczkę wieku do 30 lat.

Problemy, z jakimi spotykają się młode osoby, wyliczała Dorota Kotas w rozmowie z Natalią Szostak: „Nie możemy tego wydać w takiej formie”, „Promowanie nowych nazwisk jest czasochłonne”. I moje ulubione: „Warto pomyśleć o wątku miłosnym. Czy mogłaby pani tak poprzerabiać, żeby powstała powieść w stylu »Lalki«?”.

Justyna Sobolewska mówi, że problemem stało się to, „że dopracowane, nadające się do wydania debiuty to wciąż roczniki ’70. To trochę przerażające”.

Nie potrzebujemy nowej „Lalki”, nie szukamy „nowej Masłowskiej”, nie chcemy – to bardzo ważne – wytwarzać nacisku na osoby piszące ani ich nadmiernie stresować, ale chcemy docenić to, że mimo trudności, kapitalizmu, pojawiają się nowe głosy, które zmieniają polską literaturę.

Sobolewska: – W Polsce od czasu debiutu Masłowskiej są duże oczekiwania wobec debiutów, potem przy drugiej, trzeciej książce już autorzy nie mają takiego zainteresowania odbiorców. Trzeba też pamiętać, że debiutujący autorzy bywają potem często pod presją wydawców, którzy najchętniej wydawaliby co roku ich książki, a takie tempo zazwyczaj odbija się na jakości.

Kim są zatem najciekawsze, najbardziej obiecujące osoby piszące?

ŁUKASZ BARYS

Rocznik 1997

Sobolewska mówi, że „w Polsce nie ma pisarzy po uniwersyteckich kursach czy studiach pisarskich jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie dosyć wcześnie wchodzi się w obieg literacki”. To z pewnością sprawa, że – zwłaszcza w fikcji i reportażu – debiutuje się w Polsce późno. I często bez wsparcia redakcji, promocji, ale też bez umiejętności radzenia sobie na rynku książki, który wymaga ciągłej aktywności autora. A jak być ciągle aktywnym i jeszcze do tego pisać?

Barys w 2020 roku wydał „Wysokie słońce”, dobrze przyjęty tom poezji, a rok później zadebiutował doskonale przyjętą przez krytyków i czytelników powieścią „Kości, które nosisz w kieszeni”. Na antenie Radia Nowy Świat w rozmowie z Michałem Nogasiem mówił, że napisał ją w czasie mniej ciekawych zajęć na studiach i sam się zdziwił, że wyszła z tego spójna książka. Powieść okazała się bestsellerem, a w styczniu 2022 roku Barys został – najmłodszym do czasu Masłowskiej – laureatem Paszportów „Polityki”. Był też nominowany do nagrody Odkrycia Empiku. Jak pisało jury Poznańskiej Nagrody Literackiej, do której pochodzący z Pabianic pisarz był nominowany, Barys „w opisie polskiej prowincji i kształtującej się nastoletniej tożsamości łączy precyzyjny, poruszający realizm z rozbuchaną wyobraźnią”.

Druga powieść Barysa, „Jeśli przecięto cię na pół”, spotkała się już z bardziej mieszzanymi recenzjami. Dariusz Nowacki w „Książkach. Magazynie do Czytania” pisał, że pisarz powielił koncept z debiutu i choć „Barys dał radę”, to jego kolejnej powieści „zasadzającej się na tym samym pomysłe jak coś sobie nie wyobrażam. Nie bez powodu mówimy, że do trzech razy sztuka”.

Najważniejsze to nie poddawać się presji – dwie książki prozatorskie w ciągu dwóch lub trzech lat to sporo.

– Bardzo mnie ciekawi, jakie rejony Barys będzie eksplorował w swojej kolejnej powieści i jakich przedstawi bohaterów. Czy porzuci rodzinne strony i związane z nimi legendy (czasem zrodzone w jego głowie) i ruszy w nieznane? – pyta Nogaś. – Kibicuję.

MATEUSZ GÓRNIAK

Rocznik 1996

Najbardziej niepokojący i niepokorny twórca z naszej piątki. Jego „Trash Story”, w którym narratorami są i Krowa ze znanej kreskówki, i Mati, który „pierdoli policję”, i wiele innych postaci, to opowieść eksperymentująca z przedstawianiem świata. Górniak sięga po przeróżne estetyki – od trapu, emo rapu, avant-popu, po kino Nowej Fali. Innymi słowy – Górniak tworzy mash-up, który – o dziwo – w finale daje wrażenie spójnego dzieła.

Dariusz Sośnicki w „Dwutygodniku” widzi książkę Górniaka jako śląską balladę, a Zuzanna Sala w „Czasie Kultury” pisze, że autor „wyzyskuje możliwości literatury po to, by to nie gniew stał się naczelnym efektem zawodu, lecz by zawód ten zaowocował szukaniem drobnych szczelin w narracji poruszającej brak jakichkolwiek możliwości”.

„Trash Story” zostało nominowane do Nagrody Literackiej „Nike”, a w 2023 roku ukazała się druga książka Górniaka, „Dwie powieści ruchu”, o której Sobolewska w „Polityce” pisała, że to „przewrotna opowieść z pustki, nudy życia i pozorów komunikacji”.

Przy okazji „Dwóch powieści...” Katarzyna Sawicka-Mierzynska w „Książkach. Magazynie do Czytania” napisała, że Górniak jest „najbardziej gorącym nazwiskiem polskiego internetu” i znalazł się na „szczycie kanonu alternatywnego”. Autorka pyta: „Czy pisarz sprostaa trudnemu wyzwaniu drugiej książki po świetnie przyjętym debiucie?”. Choć publicystce przyświecają dobre intencje, powstaje pytanie, czy powinniśmy jako krytycy wywierać taką presję na młode osoby twórcze.

– Jeszcze w czasach przed debiutem Masłowskiej robiliśmy podobną listę do tej, którą proponujesz, i prawie nikt się nie ostał – mówi Justyna Sobolewska. – Twórczość to jest krucha spawa. Coś jest, a potem może już nie być nic. Stare numery czasopism literackich pełne są recenzji obiecujących debiutów i nowych odkryć, o których nikt już nie pamięta.

Górniak współpracuje z teatrami. W Nowym Teatrze w Warszawie Grzegorz Jaremkow wystawił „Przemianę” ze scenariuszem i dramaturgią autora „Dwóch powieści...”. Aneta Kyzioł pisała w „Polityce”, że Jaremkow i Górniak „przemienili wielowarstwową, chętnie interpretowaną z perspektywy metafizycznej opowieść Franza Kafki w realistyczną historię o wyczerpanych ludziach w wyczerpanym świecie”. Trzymajmy kciuki za Górniaka, bo to talent, który nie powinien się wyczerpać.

ANOUK HERMAN

Rocznik 1998

Absolwent Uniwersytetu Śląskiego, jak samo o sobie pisze: „klir i anarchol”. Choć Herman zadebiutowało zaledwie przed rokiem tomem poetyckim „right into pod tramwaj”, już jest jednym z najważniejszych młodych głosów w polskiej literaturze.

W jednym z wywiadów Herman mówiło, że „right...” jest „książką queerową, mniejszościową i napisaną językiem, którym posługują się na co dzień”. Miało nadzieję, że „gdy jakieś kliry ją przeczytają, pomyślą, że to też o nich”.

W 2023 roku tom został nominowany do Nagrody Literackiej „Gdynia” i zdobył białostocką Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego.

Również w 2023 roku ukazała się debiutancka powieść Herman, „Nigdy nie bę-

dziesz szło samo”. To opowieść o przygotowaniach młodych ludzi szukających wspólnoty, a w niej bezpiecznego miejsca do ekspresji własnej tożsamości. Jest to powieść młodzieżowa, więc pisarstwo Herman podporządkowane jest tu gatunkowym wymogom, ale gdy słucha się tego, co mówi, czyta wiersze i widzi naprawdę dobre opanowanie warsztatu prozatorskiego, można mieć nadzieję, że w przyszłości to dzięki książkom Herman będziemy – my, ludzie innych kohort – poznawać skomplikowany świat młodych ludzi.

DOROTA KOTAS

Rocznik 1994

„Pustostany” (2020), jej debiut prozatorski, choć początkowo nie podbiły czytelników, zyskały uznanie jurorów – zdobyły Nagrodę Literacką „Gdynia” i Nagrodę Conrada. Jak mówili członkowie gdyńskiej kapituły, Zbigniew Kruszyński i Aleksander Nawarecki, „Pustostany” to „historia warszawskiego Robinsona, dziewczyny zamieszkującej opuszczoną rudęre w pobliżu placu Szembeka, jakby współczesny remake powieści gotyckiej”. Nagrodę przyznano Kotas za „czulą archeologię resztek po PRL-u, za raport z pustostanów samotnego ciała, zdania bez pustych przebiegów, za bezbłędne poczucie humoru, które jest tylko rewersem poczucia tragizmu, za ironiczny hymn prekariatu”.

Od tego czasu trwa triumfalny pochód Kotas przez półki osób czytających. W 2021 roku ukazały się „Cukry”, w których opowiada o byciu osobą neuronietypową w spektrum zespołu Aspergera, o byciu osobą queer czy pochodzeniu z niewielkiej miejscowości. Olga Wróbel pisała na łamach „Wysokich Obcasów”: „Książka daje mi nadzieję, że będziemy coraz lepiej umiały krzyczeć, łącząc w złości i odrzucając przekonanie, że nasze problemy są jednostkowe, nieważne i należy przeżuwać je ponuro z poczuciem winy w czterech ścianach własnej głowy.”

Jednocześnie dwa lata później ta sama krytyczka, tym razem w „Dwutygodniku”, napisała o trzeciej książce Kotas, „Czerwonym młoteczku”, że jest „zbudowana na jednej nucie, ciągłym refrenie »ach, jak mi źle«, granym prosto do ucha”. Kończąc recenzję, Wróbel napisała, że „aż się chce zaleci narratorce, żeby zajęła się czymkolwiek poza myśleniem o sobie”. Wybuchła z tego internetowa inba, w której udział wzięła autorka, co przypomina o tym, że osoby piszące są dzisiaj cały czas uwikłane w relacje z odbiorcem ich dzieł, z potrzebą reakcji i interakcji, co z pewnością nie ułatwia skupienia się na kwestiach bardziej dla literatury owocnych.

Autobiograficzny czy też (może?) paraautobiograficzny projekt Kotas wydaje się wyczerpywać, ale wciąż trzymam kciuki za to, że autorka będzie potrafiła uniknąć szumu komentariatu i pokus medialnego uczestnictwa, by pracować nad literaturą. Bo w język umie Kotas jak mało kto.

Nogaś: – Osobność i osobowość Kotas niektórych drażni, lubię jednak myśleć, że pisze bardzo intymny pamiętnik naszych czasów. Że ona i jej osoby bohaterskie mają do tego pełne prawo i że zapewne w kolejnych książkach ten proces okaże się jeszcze bardziej radykalny, co części odbiorców niełatwo będzie znieść. A dla innych ta literatura będzie terapią.

JUSTYNA KULIKOWSKA

Rocznik 1993

Jeden z najciekawszych młodych głosów poetyckich w Polsce, poetka, która – jak sama pisała w jednym z wierszy – „jak ranne zwierzę wczółguje się do frazy”.

Kulikowska zadebiutowała w 2018 roku tomem „Hejt i inne bangery”, za który otrzymała Nagrodę im. Kazimiery Iłakowiczówny oraz... Browar za debiut. Dwa lata później za „Tab_s” dostała nominacje do Nike i Gdyni. W 2021 roku ukazał się „gift. z Podlasia”, za który otrzymała gdyńską nagro-

dę. Była też nominowana do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. W 2023 roku ukazał się już czwarty tom poetycki Kulikowskiej, „Obóz zabaw”.

Jej wiersze – jak mówił w 2022 roku Jerzy Jarniewicz, który przewodniczył kapitule gdyńskiej nagrody – „przestawiają współrzędne znanego nam świata, nie boją się spotwarzać świętych instytucji, wytrącając nas z niejednej sfery komfortu”. „Obóz zabaw” to wielogłosowy poemat o wykluczeniu, biedzie, doświadczeniu klasowej pogardy, podważający średnioklasowe mity o wadze awansu społecznego. Poetycko Kulikowska przypomina w obsesyjnych powtórzeniach poezję Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego i podobnie jak on buduje własną przestrzeń poetyckiego języka.

Zdaniem Elizy Kąckiej Kulikowska to poetka radykalna, która „dysponuje mocnym słowem poetyckim; krzyczy wierszem, nie podnosząc głosu”.

– Ona jest radykalna przede wszystkim względem siebie, gdyż własne „ja” przyjmuje się tu z oporami, jak nieudany przeszczep. Kulikowska wypracowała indywidualną dykcję i formę, łącząc chłodne metafory informatyczno-techniczne i medyczne z przebitkami z duchowo-mentalnego klimatu prowincji. Jej fraza (lubi używać tego słowa) sprawia wrażenie słono opłaconej doświadczeniem, podmywanej faktycznym lękiem – mówi Kącka.

MŁODZI SIĘ TRZYMAJĄ

Jak mówi jedna z osób, które poprosiłem o podzielenie się typami, „może się okazać, że to jednosezonowe osobowości”, ale może się też okazać, że ktoś z tej piątki przemebluje polską literaturę i naruszy czytelnicze przyzwyczajenia. Fragmenty z Górniaka lub Kulikowskiej warto zamieścić w szkolnych podręcznikach, mówią oni bowiem głosem, który może być dla młodych ciekawy, inspirujący, a jednocześnie nie jest głosem łatwym, podlizującym się kolejnej prześnionej rewolucji.

Spoza wyróżnionych warto śledzić też m.in.: Karolinę Krasny, której debiut prozatorski ukaże się w przyszłym roku, a także poetów – Michała Trusewicza, Jana Rojewskiego i Radosława Jurczaka, który za tom „Zakłady holenderskie” otrzymał w 2021 roku Nagrodę Literacką m.st. Warszawy.

Przyglądając się liście finalistów Nagrody Literackiej „Nike”, możemy wyluskać osoby, które do ostatniego etapu przeszły przed trzydziestką. Najmłodsza – Dorota Masłowska, finalistka w wieku 20 („Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną”) i 23 lat, gdy za „Pawia królowej” zdobyła główną nagrodę. 26 lat miał Szymon Słomczyński w 2014 roku, gdy dotarł do finału z tomem poetyckim „Nadjeżdża”, a rok starsza była Weronika Murek, której „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” dotarła do finału w 2016 roku.

Przed trzydziestką był też Daniel Odija („Tartak”), a równo 30 lat mieli Filip Springer („Miedzianka”) i Jacek Dehnel („Ekrany kontrolny”). Poza Słomczyńskim, który zamilkł po niezbyt udanym debiucie prozatorskim w 2019 roku („Mim”), wymienione twórczynie i twórcy należą dziś do najważniejszych w polskiej literaturze.

CZY BĘDZIE NOBEL?

„Granta” najlepszych młodych pisarzy wybiera od 1983 roku. Na liście znaleźli się wtedy m.in.: zmarły w tym roku Martin Amis, laureat Nobla z 2017 roku, Kazuo Ishiguro, przyszły autor „Szatańskich werwetów” Salman Rushdie, Julian Barnes i Ian McEwan.

Dziesięć lat później na liście ponownie zagościł Ishiguro, a towarzyszyli mu m.in. Hanif Kureishi, autor „Mojej pięknej pralni”, Alan Hollinghurst i Jeanette Winterson. W 2003 roku w zestawieniu „Granty” pojawiły się Zadie Smith i Sarah Waters, a dziesięć lat później David Szalay czy Helen Oyeyemi (i drugi raz Smith).

Jaki będzie los naszej piątki? Sprawdźmy – jak los pozwoli – za pięć lat. ●

CO MNIE URZEKŁO



Wybrzuszone wzgórze

Göbekli Tepe to najstarsza świątynia świata, obserwatorium astronomiczne, kronika wykuta w kamieniu i najdawniejsze miejsce warzenia piwa

BEATA MACIEJEWSKA

Wybudowana została 12 tysięcy lat temu przez łowców-zbieraczy, potem przez nich zasypana, ale atmosfera sacrum pozostała.

Na Netfliksie można oglądać serial fantasy „Atiye”, oparty na książce tureckiej pisarki Şengül Boybaş, którego akcja zaczyna się od odnalezienia w ruinach Göbekli Tepe tajemniczego symbolu. W jednej z pierwszych

scen dziennikarka pyta archeologa, czy to prawda, że świątynia powstała 7 tysięcy lat przed piramidami i 6 tysięcy lat przed słynną budowlą megalityczną Stonehenge.

Prawda, choć trudno uwierzyć, że te potężne kręgi zbudowane na planie koła i sześciometrowe, ważące nawet 15 ton filary ozdobione płaskorzeźbami zwierząt (wyłącznie samców, to uniwersum, którego centrum był mężczyzna) wzniesli ludzie, którzy nie znali koła ani ceramiki, nie uprawiali ziemi, nie prowadzili osiadłego trybu życia i żyli w niewielkich gromadach.

Przez 2 tysiące lat spotykali się tu, biesiadowali na ceremonialnych ucztach, warzyli piwo z dziko rosnących zbóż w wielkich, kamiennych korytach. A potem uznali, że życie sanktuarium dobiegło końca, i podjęli decyzję, żeby je rytualnie zasypać. Dopiero w 1994 roku archeolodzy pod wodzą prof. Klaus Schmidta zaczęli tu pracować. Do dziś odsłonili zaledwie kilka procent. Tyle, żeby zrozumieć duchową kolebkę świata i nie zniszczyć jej.

ŚWIĘTE KARPIE RZĄDZA

„Wybrzuszone wzgórze”, jak z języka tureckiego tłumaczy się nazwę Göbekli Tepe, znajduje się zaledwie kilkanaście kilometrów od Şanlıurfa, miasta tak uduchowionego, że można wpaść w manię religijną. Miało wiele imion – dla Aramejczyków Urhoy, dla Kurdów Riha, dla Greków Or-ra, dla Bizantyjczyków Justinopolis – ale najbardziej znane jest jako Edessa. Zostało ulepione z mitów i otoczone nimbem świętości. Może tak od tysięcy lat działa genius loci równiny Harran.

Według tradycji muzułmańskiej Urfa (przydomek „Şanlı”, czyli „zwycięska”, nosi dopiero od 1984 roku dla upamiętnienia oporu w tureckiej wojnie niepodległościowej) to chaldejskie Ur, miejsce narodzin Abrahama/Ibrahima. Pielgrzymki ciągną tu przez okrągły rok, a przed grota, w której prorok miał przyjść na świat, stoją długie kolejki wzruszonych do łez wiernych. Wprawdzie archeolodzy twierdzą, że biblijnego Ur trzeba jednak szukać w Iraku, ale są rzeczy, o których uczonym się nie śniło.

Na przykład święte karpie pluskające się w sadzawce Balıklıgöl w parku Golbasi, niedaleko grotty Abrahama. Z karpiami było tak: władca Ur, król Nimrod – prawnuk Noego, wnuk Chama, budowniczy wieży Babel – wystraszył się przepowiedni, która głosiła, że Abraham pozbawi go tronu, i postanowił spalić proroka. Jednak Bóg temu przeszkodził, zdmuchnął Abrahama z płonącego stosu na posłanie z róż, ogień zmienił w wodę, a bierwiona w karpie.

I teraz karpie mają życie jak w Madrycie, bo karmić je wolno, a nawet trzeba – specjalną karmę sprzedają w budkach ustawionych nad sadzawką. Za to łowić nikt się nie odważy w obawie przed utratą wzroku, więc bez problemu osiągają rozmiar XL. Woda jest czysta i napowietrzana, w powietrzu unosi się zapach boskich róż, a ludzie robią sobie selfie z karpami, zamiast smażyć je na patelni.

Najciekawsze jest jednak to, że na długo przed Abrahamem Balıklıgöl było miejscem świętym. Czczono tu Atargatis, syryjską boginię obfitości, płodności i miłości mającą ciało ryby, a twarz kobiety, więc karpie należy karmić z podwójną szczodrością.

NIE RĘKĄ LUDZKĄ UCZYNIONY

Dla chrześcijan Edessa też jest ważna – to tutaj przechowywano słynny mandylion, zaliczany do wizerunków acheiropoiotos, czyli „nie ręką ludzką uczynionych”. Miał się pojawić za panowania Abgara V, władcy królestwa Osreone, utworzonego przez plemiona nabatejskie lub arabskie z północnej Syrii.

Abgar zachorował na trąd i – jak podaje kronika biskupa Euzebiusza z Cezarei – zwrócił się listownie do Jezusa z prośbą o uzdrowienie. Dostał odpowiedź, że otrzyma pomoc za pośrednictwem jednego z uczniów. I po zmartwychwstaniu Chrystusa apostoł Tomasz wysłał do Edessy Judę Tadeusza, który króla uleczył.

Według późniejszej wersji tej legendy Abgar, wyprawiając do Jezusa swojego sługę Ananiasza, kazał mu zrobić portret Nazarejczyka. A ponieważ posłaniec nie był w stanie wypełnić królewskiego polecenia, Jezus otarł twarz ręcznikiem i na płótnie odbił się portret Zbawiciela.

Dalsze losy mandylionu były burzliwe i tak niepewne, że tuzin Danów Brownów miałoby materiał na powieściowy cykl, ale też dzięki temu wciąż się o Edessie mówi. Święte miasto świętych artefaktów.

Działy się tu oczywiście również rzeczy nieświęte, jak choćby zabicie cesarza Karakalli, który wybrał się z Edessy do pobliskiej świątyni pod Carrhae (dziś Harran) i gdy podczas postoju oddalił się za potrzebą, został zamordowany przez oficera pretorianów. Krwawy władca, który traci życie, bo postanowił się wysikać na poboczu drogi – katastrofa wizerunkowa.

Ale tu profanum nie ma szans się przebić, o Karakalli nikt nie mówi, za to plakaty zachęcające do obejrzenia Göbekli Tepe widziałam w całej Turcji. Mimo to długo opierałam się tym zachętom.



FOT. BEATA MACIEJEWSKA

Z PIEKŁA DO NIEBA

Do Urfy przyjechałam na końcu kilkutygodniowej podróży po tureckim Kurdystanie i poczułam się jak w piekle, bo słupek na termometrze pokazywał 40 stopni w cieniu. Większość dnia spędzałam ze świętymi karpiami i przerażała mnie wizja wdrapywania się na pozbawione roślinności wzgórze, najwyższy punkt pasma Germus, 760 m n.p.m.

Sumienie historyka postanowiłam uciśzyć wizytą w klimatyzowanym muzeum

archeologicznym, które pokazuje zabytki z Göbekli Tepe – zoomorficzne rzeźby samców (symbolizujące władzę nad naturą), niedbale wydrapany w kamieniu wizerunek rodzącej kobiety oraz makietę sanktuarium, do której można wejść. Na szczęście w świętym mieście sumienie jest wyjątkowo czułe, zapasione karpie bez entuzjazmu chwytaly pokarm, więc w końcu pojechałam do Göbekli Tepe. Trafiłam do nieba.

Stanowisko archeologiczne zostało pięć lat temu wpisane na listę UNESCO – zadane, obudowane podestami i poprzedzo-

ne multimedialną ekspozycją, która przynosi turystów do gwiazd. Bo jeśli wierzyć badaczom z Edynburga, Göbekli Tepe było nie tylko świątynią, ale także obserwatorium astronomicznym, a łowcy uważnie patrzyli w gwiazdy. Autorzy artykułu opublikowanego w 2017 roku w czasopiśmie „Mediterranean Archaeology and Archaeometry” uznali, że zwierzęta znajdujące się na kolumnowych płaskorzeźbach – skorpion, wilk, kaczka, orzeł, przykucnięty szczur – przypominają znane w starożytności konstelacje, a na filarze budowli zwanej Sępią Skalą utrwalono informację o tym, że rój komet uderzył w ziemię, co spowodowało śmierć na ludzi i ok. 13 tysięcy lat temu zapoczątkowało globalne oziębienie.

Nawet jeśli badaczy z Edynburga poniosła fantazja, Göbekli Tepe robi wstrząsające wrażenie. Zachwyt budzą zaawansowane techniki obróbki wapienia i wielka wartość artystyczna rzeźb. W monolitach i posągach odcisnęto wiedzę, tradycję i pamięć społeczności sprzed 12 tysięcy lat. Co ważne, zachował się także dowód na słabość do piwa, więc być może rację mają ci, którzy uważają, że to potrzeba alkoholu skłoniła ludzi do osiadłego trybu życia.

Najważniejsze, że Göbekli Tepe nie jest stanowiskiem unikatowym, w pobliżu Urfy odkrywane są następne. Opowieść o człowieku nie ma końca. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

młode festiwal
horyzonty

10. międzynarodowy
festiwal filmowy

kina: 30.09–8.10
online: 12–29.10

MŁODEHORYZONTY.PL
FESTIWAL DLA MŁODEJ WIDOWNI

MŁODEHORYZONTY.PL
FESTIWAL DLA MŁODEJ WIDOWNI

Bandersnatch

Polska PiS-owska, czyli małżeństwo z dzieckiem i dwoma balonikami biegnie ku zachodzącemu słońcu.

Michał Rusinek



Prawo i Sprawiedliwość postanowiło pójść w ślady niektórych serwisów streamingowych i zamiast zorganizować konferencję prasową, na której przedstawiono by pytania, jakie zostaną nam zadane w czasie referendum, nakręciło serial. Narrację każdego odcinka, co też się zdarza w serialach, powierzyło innemu politykowi czy polityczce. Zwykle na kolejny odcinek musimy czekać aż tydzień. Tu na szczęście nie było aż tak długich przerw i był to raczej miniserial zatytułowany „Oddajmy głos Polsce”. Od 11 do 14 sierpnia na kanałach streamingowych PiS umieszczane były filmy, w których prezentowano kolejne pytania referendalne. Przyjrzyjmy się temu serialowi.

W pierwszym odcinku Jarosław Kaczyński na migoczącym obrazami tle mówi: „Dla nas decydujący jest zawsze głos zwykłych Polaków” (tu pojawiają się twarz niebieskookiej dziewczynki o blond włosach oraz zdjęcia ludzi maszerujących z polskimi flagami). „Głos obcych polityków, w tym niemieckich, nie ma żadnego znaczenia” (tu widzimy odbarwione twarze Ursuli von der Leyen, Olafa Scholza i Manfreda Webera, ale zaraz zostają one zasypane dziesiątkami maleńkich polskich flag, przypominających znaczki noszone w klapach marynarek przez polityków PiS). „Dlatego w sprawach kluczowych chcemy się odwołać do państwa bezpośrednio, w referendum” (tu znów ludzie machający polskimi flagami, a następnie polska flaga wrzucana do urny). „Pierwsze pytanie będzie brzmiało: »Czy popierasz wyprzedzić państwowych przedsiębiorstw?«” (w tle unoszą się znaki zapytania, ale dostajemy od razu właściwą odpowiedź – w kratce pod pytaniem zaznaczone zostaje: „nie”). Dalej następuje wyjaśnienie: „Niemcy chcą osadzić Tuska w Polsce, aby wyprzedzić państwowy majątek, jego zaplecze mówi o tym wprost” (w tle widzimy najpierw Donalda Tuska witającego się z Angelą Merkel, a potem Manfreda Webera przemawiającego w europarlamencie, a następnie fragment rozmowy Bogdana Rymanowskiego z Bogusławem Grabowskim, byłym członkiem Rady Polityki Pieniężnej, który mówi, że firmy paliwowe, energetyczne, porty i lotniska powinny być prywatne). „Nie możemy się na to zgodzić” – mówi Kaczyński (na tle widokówki znad Bałtyku, z dumnie sterczącą latarnią morską). „Państwo zdecydujecie, czy majątek pokoleń pozostanie w polskich rękach” (małżeństwo z dzieckiem i dwoma balonikami biegnie ku zachodzącemu słońcu).

Należy docenić warstwę artystyczną tego odcinka, a także sposób przedstawienia czarnych charakterów. Oraz siebie, czyli bohaterów pozytywnych: stanowczych, bezkompromisowych i opiekuńczych. Za to narracja wydaje się nam nie do końca zrozumiała: przecież Tusk mieszka w Polsce i nie musi go tu ktokolwiek osadzać, a Niemcy chyba nie tyle chcą „wyprzedzić państwowy majątek” (jeśli chodzi o polski majątek), ile ewentualnie mogliby chcieć go wykupywać. Ale ktoś, kto kupu-

je, a więc płaci, stałby się postacią pozytywną. Wyprzedzanie jest czynnością wzbudzającą negatywne emocje, więc warto poświęcić sens wypowiedzi, bo przecież emocje są najważniejsze. Zwłaszcza w serialach.

Bohaterką drugiego odcinka jest Beata Szydło. Bez zbędnych wstępów oskarża: „Tusk i Platforma mówią wiele o kobietach, a kazali pracować im prawie do śmierci. Tak samo mężczyznom” (w tle znów najpierw odbarwiony Tusk, potem płacząca starsza kobieta i smutny starszy mężczyzna). Następnie pojawia się wypowiedź Bronisława Komorowskiego (że nie ma potrzeby podnoszenia wieku emerytalnego) i Donalda Tuska (że przyjmuje podniesienie tego wieku do 67. roku życia). Wniosek? „Kłamali więc w tej sprawie” (w tle śmiejący się Tusk). I tu pada kolejne pytanie referendalne: „Czy jesteś za podwyższeniem wieku emerytalnego wynoszącego dziś 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn?” (oczywiście – „nie”). Oraz deklaracja, że „dla nas głos zwykłych Polaków był i będzie zawsze najważniejszy”. I znów małżeństwo z dzieckiem i dwoma balonikami biegnie ku zachodzącemu słońcu.

To krótszy odcinek, ale już wiemy, o co chodzi w serialu, więc nam wystarczy. W założeniu miał to być odcinek kobiecy, ale okazał się – ku naszemu zdumieniu – i kobiecym, i męskim, bo nie tylko kobietom było źle pod rządami Tuska. Narratorce przypadła też niewdzięczna, bo stereotypowa rola kobiety egzagerującej, nawet nieco histerycznej, która się obawia, że za siedem lat umrze (w tym roku Beata Szydło skończyła sześćdziesiątkę), choć średnia długość życia kobiet w Polsce wynosi 80 lat. Ale widocznie producent serialu uznał, że nawet dość naciągany motyw lęku przed śmiercią zachęci nas do obejrzenia kolejnego odcinka.

Zachęcił. Narrator Mateusz Morawiecki w białej koszuli mówi w nim, że rząd PiS był od początku przeciwny przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów. Tymczasem Tusk i Trzaskowski – tu pojawiają się ich wypowiedzi – byli za otwarciem się na imigrantów i solidarnym podziałem obowiązków. „Ci politycy chcieli sprowadzić na was niebezpieczeństwo!” – wykrzyknął narrator. „My tego w Polsce nie chcemy. Dlatego pytanie w referendum będzie dotyczyć tego, czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską” (jak się już łatwo domyślić, refren brzmi „nie”). „Potrzebujemy waszego mocnego wsparcia. Mówimy »nie« dla nielegalnej migracji. Wszyscy widzimy, co się dzieje na ulicach zachodniej Europy” (tu zdjęcia płonących samochodów, lizanie noża przez czarnoskórego mężczyznę i wybijanie szyby). I dalej: „Gwałty, zabójstwa, podpalenie, demolowanie ulic, dzielnice grozy”. Tu niespodziewanie pojawia się narrator pierwszego odcinka, który mówi: „Czy chcecie państwo, żeby to pojawiło się także w Polsce? Żebyśmy przestali być gospodarzami we własnym kraju? Czy tego chcecie? Ja chcę jasno powiedzieć: Polacy tego nie chcą i nie chce tego PiS”. Wraca też czarny charakter: „Tusk jest największym zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa. Jest największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa Polski. Nie pozwólmy, by Tusk jako wysłannik elit brukselskich zdemolował bezpieczeństwo w Polsce”. Małżeństwa, dziecka i baloników nie ma. Jesteśmy rozczarowani.

Ale to odcinek niby-niskobudżetowy, kręcony jakby telefonem, w dodatku w pionie. Trochę jak „Blair Witch Project”. Gdyby odcinki nosiły jakieś tytuły, ten powinien być zatytułowany „Człowiek demolka”. Człowiek wybijający szybę w sklepie i człowiek demolujący bezpieczeństwo okazują się bowiem tym samym człowiekiem, uoso-

bieniem wszelkiego zła. Dosłowność i metafora mieszają się ze sobą. Najważniejsza znów jest emocja, tym razem fundamentalna dla rządów PiS: poczucie zagrożenia ze strony tych, którzy są inni pod względem rasowym, kulturowym czy religijnym. Nielegalność też jest przecież pojęciem względnym, bo człowiek uciekający przed prześladowaniami w świetle międzynarodowego prawa nie jest nielegalnym migrantem, tylko uchodźcą. Ale nieważne, kim jest. Ważne, że wzbudza lęk. A lęk jest skutecznym paliwem kampanii wyborczej.

Budżet przywrócono w odcinku ostatnim (znów jest poziom, green box i powiewają polskie flagi). Jego narratorem jest Mariusz Błaszczak. „O sprawach najważniejszych, tych, które dotyczą bezpieczeństwa, powinni decydować obywatele” – mówi, a w tle przechadzają się dwie uśmiechające, na oko zamożne kobiety. Zaraz jednak widzimy ludzi za drutem kolczastym, a ściślej: żyłkowym (tylko mężczyźni, a więc stanowiących potencjalne zagrożenie), i słyszymy głos narratora: „Polska może stać się kolejnym celem Putina, a nasze bezpieczeństwo jest realnie zagrożone” (tu widać żołnierzy i wozy opancerzone). „Dlatego konsekwentnie wzmacniamy Wojsko Polskie oraz budujemy zaporę na granicy z Białorusią i Rosją” (tu piękne ujęcia płotu zwanego do niedawna murem, przypominającego Linie Maginota). Po raz ostatni wracają znany nam czarny charakter i „jego ekipa”, czyli ci, którzy najpierw likwidowali jednostki wojskowe na wschodzie Polski, a potem krytykowali PiS za to, że zbudował „barierę” (zwaną do niedawna murem), „a następnie zapowiadali jej likwidację” (tu jedno zdanie Janiny Ochojskiej, że mur kiedyś będzie rozebrany). „Nie pozwolimy na to – mówi narrator – aby Polska była bezsilna na coraz większą agresję ze strony Putina”. I tu pada ostatnie pytanie referendalne: „Czy popierasz likwidację bariery na granicy RP z Republiką Białorusi?” (refren). „To państwo zdecyduj, czy nasza granica będzie dalej konsekwentnie bronią. Czy będzie bezpieczna”.

Ostatni odcinek wzbudził emocje, ale je zaraz ostudził, a wraz z nimi – także emocje z odcinka przedostatniego. Owszem, czarne charaktery kłębią się wokół nas i wśród nas, ale damy sobie radę. Tego przecież oczekujemy od kina: najpierw grozy, ale ostatecznie – pocieszenia. Zawarte w każdym odcinku pytania referendalne sugerują, że jest to serial interaktywny, czyli od widzów zależy, jaki będzie ciąg dalszy – trochę jak w „Bandersnatch”, interaktywnym odcinku „Black Mirror”. Tyle że każde pytanie referendum podpowiada jedyną właściwą odpowiedź: któż by chciał, żeby wyprzedzono jego własność, żeby musiał pracować aż do śmierci, żeby wpuszczano do jego domu niebezpiecznych obcych i żeby osłabiano obronę jego granic?

Drogi widzu, masz tylko pozór wyboru. Twórcy serialu już nakręcili kolejne sezony i sequele – i chcą ci je po prostu wmusić. Możesz jednak w ogóle nie brać udziału w narzuconej ci referendalnej zabawie, odmawiając przyjęcia karty z pytaniami. I puścić wreszcie producentów tego groteskowego serialu z torbami. Swoją drogą, „Bandersnatch” (tytuł zaczerpnięty z groteskowego wiersza „Jabberwocky” Lewisa Carrolla) też okazał się kłapą. ●



Już w księgarniach i na Publio. pl zbiór felietonów Michała Rusinka, **„Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy”**, wyd. Znak

COSA NOSTRA

Italiano vero

Ta piosenka zbiera wszystkie włoskie powody do radości i dumy.

Jarosław Mikołajewski

Już miałem pisać o działaniach społecznych rządu Giorgii Meloni, kiedy przyszła naprawdę poważna wiadomość: umarł Toto Cutugno. Śmierć kompozytora, piosenkarza, niekiedy cantautora (barda) uświadamia, jaką rangę we włoskim społeczeństwie ma piosenka popularna, wykonywana po to, by wzruszać, bawić, łączyć. Pamiętamy, jak w pełnej tragedii COVID-u Włosi wychodzili na balkony swoich mieszkań i zaraz po hymnie śpiewali („o sprawach, które wszyscy znamy”, jak w jaruzelskiej Polsce śpiewał Leszek Wójtowicz). U nas – o wolności politycznej. We Włoszech – o miłości, rozstaniu, lecz także o tym, jak fajnie jest żyć w swoim kraju, mieć prezydenta, z którego można być dumnym, i jeść spaghetti al dente. Autorem i wykonawcą piosenki, tej zaczynającej się od słów „Lasciatemi cantare...”, która zbierała wszystkie włoskie powody do radości i dumy, był właśnie on (dlaczego zaimki osobowe piszemy wielką literą dopiero po śmierci osoby, do której się one odnoszą?). Czyli już On.

Śmiali się z tej piosenki sami Włosi, choćby z narodowego przywiązania do mięsowego kremu do golenia, o czym wyśpiewywał Toto po całym świecie, lecz w ważnych chwilach to ona wyrażała za nich wszystko, co wspólnie drogie i bliskie. „Czy my mamy takie piosenki?”, pytałem samego siebie i innych. Nie. Mamy piosenki Osieckiej, Starszych Panów, Kaczmarzkiego, Krajewskiego, lecz takich, które są znane robotnikom, chłopom, ludowcom, chadecom, PiS-owcom – raczej nie.

Śmialiśmy się i my z Toto Cutugno, przeciwstawiając mu wielkich Anglosów, jak śmialiśmy się z Drupiego czy Ala Bano, słuchając ich jednak przy zabawie, zrywając głosy przy wspólnym śpiewie. Do chwili, kiedy ktoś przypomniał, że ten sam Toto jest również twórcą przepięknego „Babiego lata” – nastrojowej ballady powszechnie uwielbianego Joe Dassiniego czy „Good Love Gone Bad” („Gli amori”) zagraanej i wyśpiewanej przejmująco przez samego Raya Charlesa.

Był Toto Cutugno osobowością polemiczną, źle znoszącą krytykę. Często podejmował polemikę z tymi, którzy zarzucali mu „narodowo-ludowy” charakter jego piosenek, powołując się na sukcesy zagraniczne, między innymi w Rosji, gdzie słuchacze mieli być pozbawieni uprzedzeń.

Popularną genezę miała włoska opera, na której (Verdi, Puccini...) premiery przechodził plebs i rzucał butami w śpiewaków, którzy wydali mu się niewydarzeni. Popularny i jakże szlachetny rodowód miały neapolitańskie piosenki migrantów odpływających do Ameryki... Arcydziełem pozostaje wciąż rozrywająca piosenka Domenico Modugno „Amara terra mia” („Moja gorzka ziemia”), śpiewana dziś przez młodzieżowe talenty (np. Ermala Mete), które tworząc własną współczesność, pragną wpisać się po swojemu do tradycji włoskiej piosenki. Wiedząc, jak genialnie powiedział to Giacomo Leopardi (kolega i rówieśnik Mickiewicza), że największym cierpieniem jest przeżywać odwieczne prawdy i sytuacje we własnej osobie. Interpretować aktualnym językiem i muzyką między innymi tragedie Afgańczyków na polsko-białoruskiej granicy, tych współczesnych nam „górali-czy-ci-nie-żał”, których opiewamy pieśnią dziś raczej biesiadną, jednak o uchodźczej genezie.

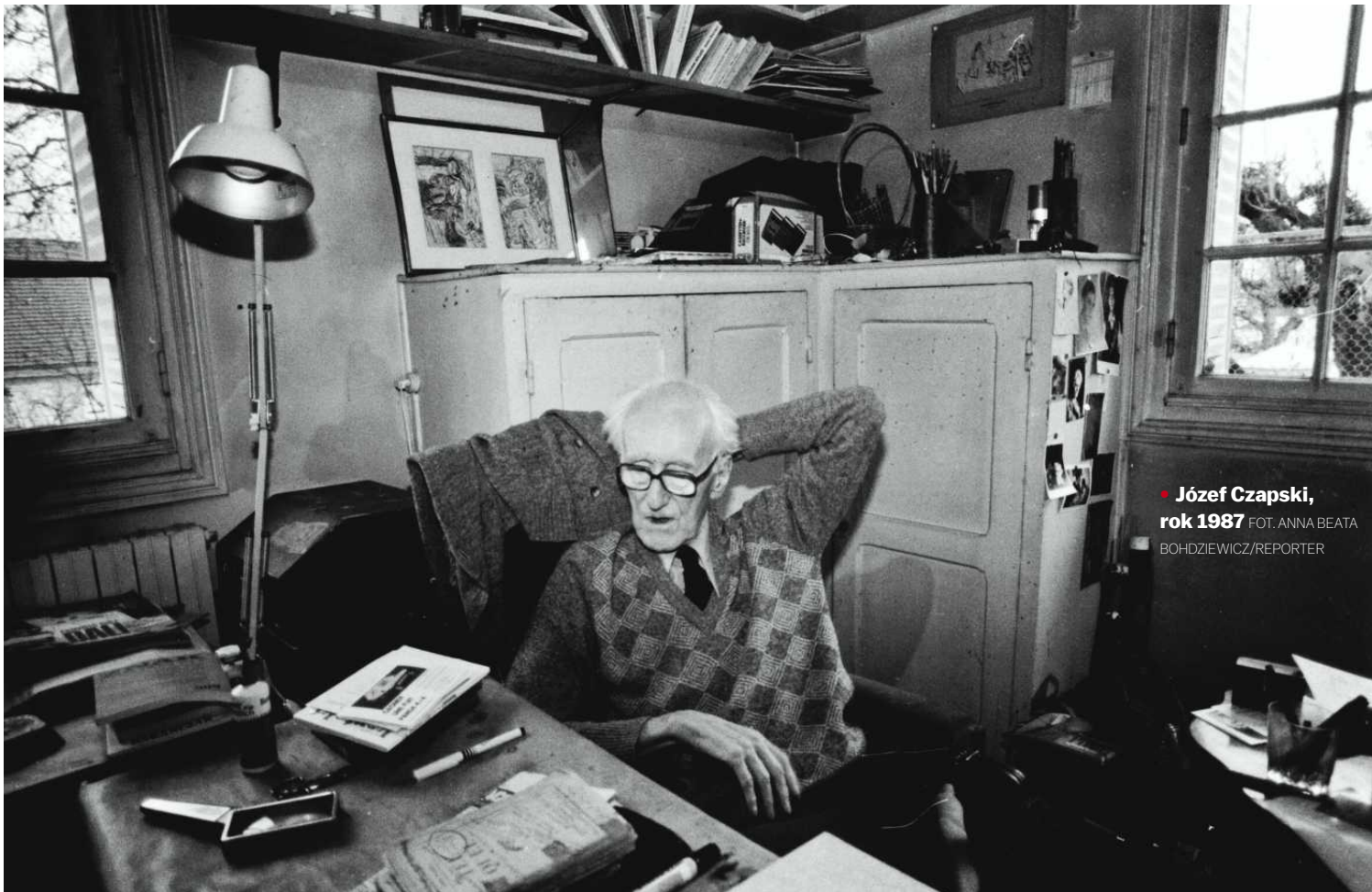
Viva l'Italia! Viva l'italiano! Viva la canzone italiana! Viva Toto Cutugno! ●

Adam Michnik poleca

ZAGAJEWSKI I CZAPSKI. PORTRET PODWÓJNY

Spotkało się
dwóch ludzi
dobrych. I wolnych.
Takie spotkanie
musi być świętem.

Tomasz Różycki*



• Józef Czapski,
rok 1987 FOT. ANNA BEATA
BOHDZIEWICZ/REPORTER

Tej książki Adam Zagajewski nie zdążył napisać. Miała być ułożona z sześciu szkiców o Józefie Czapskim; czterech już znanych, piąty był niemal gotowy, szósty („Z Czapskim w podróży”) nie zdążył powstać; niespodziewana choroba przerwała Zagajewskiemu pracę nad nią.

Po jego śmierci Wydawnictwo a5 postanowiło jednak książkę opublikować, a redaktor tomu Andrzej Franaszek opracował teksty i do esejów dodał korespondencję między Czapskim i Zagajewskim: listy, wzmianki z dziennika, wiersze i obrazy, o których rozmawiali, a wszystko to opatrzył przypisami i posłowiem. I tak, dzięki pomocy współpracujących z nim życzliwych osób, powstała piękna książka, portret podwójny.

To już nie jest tylko książka o Czapskim, redaktor zmienił ją w poruszające, momentami intymne świadectwo niezwyklej przyjaźni, omalże miłosnej łączności między dwoma wrażliwościami.

Zagajewski spotyka Czapskiego niemal dokładnie w połowie swego życia („nel mezzo del cammin...”), ma 38 lat. Czapski, dużo wyższy od niego, nazywany przez niektórych żartobliwie „najwyższym człowiekiem świata”, ma wówczas 87 lat. Kiedy stoją obok siebie, wyglądają trochę jak Don Kichot i Sancho Pansa, jak ojciec i syn.

Zagajewski spotyka Czapskiego tak, jakby spotkał swego duchowego ojca, ale kiedy spojrzy się na ich relację, wydaje się, że to Czapski jest młodszy. Sam Zagajewski dodaje: „I po dwóch może rozmowach natychmiast opadła między nami przeszkoda czasu, przeszkoda pokory”.

Spotykają się w Paryżu, w Maisons-Laffitte, gdzie Czapski ma swój pokój na piętrze willi zajmowanej przez „Kulturę” Jerze-

go Giedroycia. Dwaj ludzie dobrzy i dwaj ludzie wolni. Gdzieś tam, daleko w przestrzeni prawdopodobnie rodzi się gwiazda, bo jeśli wszechświat ma jakieś powody do ciągłego rozszerzania się, takie spotkanie musi być jednym z nich: powstaje nowy, alternatywny świat, może nawet ciut lepszy od naszego.

Dlaczego Czapski? Zagajewski z czasem nabierał coraz większego przekonania, że właśnie Czapski był w jego życiu postacią zasługującą na specjalny hołd. Niektóre spotkania są decydujące i kiedy zdarzają się, początkowo nie zawsze zdajemy sobie sprawę z ich wagi. Ale ona rośnie i długo potem, czasem nawet po rozstaniu, po śmierci napotkanych osób dociera do nas, jak ogromny miały wpływ i jak nas uformowały, jak za nami szły. I wiemy, że było z nimi tak, jakbyśmy po latach choroby odnaleźli lekarza; w Innym zobaczyli siebie, w oczach Innego nareszcie ujrzeli swoją postać, do tej pory nam obcą. Spotykamy siebie samych, widzimy, z kim mamy do czynienia i kim jesteśmy. Czapski, po przeczytaniu wierszy Zagajewskiego, pisze do niego: „Ja już wiem, kto Pan jest”.

„Czapski odrzucił starość” – uważa Zagajewski w którymś z esejów. Pozostał dziecięco czysty, niewinny, buntując się jak dziecko przeciw niesprawiedliwości i okrucieństwu tego świata. Ponieważ wszystko jest paradoksem, Zagajewski spotyka drugiego ojca, który jest równocześnie nim samym. Czapski spotyka syna, który daje mu pewność i pocieszenie, ojcowskie oparcie w okrutnym świecie.

Zagajewski, opisujący reakcję Czapskiego na pewną scenę w trakcie spektaklu o Simone Weil, pisze o szaleńcu, o kimś niemal niezrównoważonym w swoich porwach współczucia, a jednak pisze o tym z czułością. Zapewne trudno było nie kochać Czapskiego, według Zagajewskiego był

on przede wszystkim – i na tym chyba wy-czerpują się próby zdefiniowania jego osobowości – człowiekiem dobrym. Ci, którzy naprawdę poznali Zagajewskiego, mogą powiedzieć o nim to samo – spotkało się więc dwóch ludzi dobrych, a takie spotkanie musi być świętem.

Dopełniali się? Czapski – miotający się od rozpaczcy do euforii niczym bohater Dostojewskiego, oddający Bogu bilet z powodu suszy w Afryce i wiadomości o śmierci dzieci, człowiek, który malując swój autoportret, przedstawia odbicie postaci niemieszczącej się w łazienkowym lustrze. I Zagajewski (Czapski pisze do niego: „Pan jest trochę Niemiec”), spokojniejszy, piszący, że po Oświęcimiu poezja nie tylko jest możliwa, ale nawet potrzebna.

Dla Czapskiego poezja Zagajewskiego (ale i on sam, jego obecność) jest jak balsam. Zagajewski przegląda się w Czapskim jak w ogromnym zwierciadle, a jego ramy są na tyle szerokie, że właściwie nieskończone. „Okrutny”, tak nazywa się wiersz, jeden z pierwszych dedykowanych Czapskiemu, które Zagajewski pisze w Paryżu, żeby pogodzić dwie niemożliwości, dwa końce: ekstazę i cierpienie, grozę i zachwyt wobec świata. Nie wie o tym, że pisząc o Czapskim jeszcze żyjącym, pisze też trochę o sobie.

Spotykają się ludzie dobrzy. W odróżnieniu od tych esejistów, którzy przedmiot opisu traktują jako pretekst do opowiedzenia o sobie, Zagajewski uczciwie próbuje stworzyć portret psychologiczny (może raczej duchowy) przyjaciela. Dynamiczny, oddający przemianę, jakiej podlegał niustannie Czapski.

Czapski, choć krzyczy, że życie jest niemożliwe, sam żyje bujnie, żyje za wielu, dlatego autor esejów skupia się na pochwyconiu osobowości Czapskiego i tropi jej cechy z oddaniem; jest to portret malowany czu-

**Czapski miotał się
od rozpaczcy do euforii.
Zagajewski, spokojniejszy,
pisał, że po Oświęcimiu
poezja nie tylko jest możliwa,
ale nawet potrzebna.
Dopełniali się?**

łą ręką: „Czapski nie miał silnej osobowości, miał silne człowieczeństwo”.

A jednak mam dziwne wrażenie, że niektóre zdania, dobrze oddające charakter Czapskiego, można powiedzieć o samym Zagajewskim – szczególnie teraz, po latach: „Tak jest, byli wrogowie Czapskiego, którzy stawali się nimi, ponieważ sądzili, że Czapski nie ma wrogów, jest zbyt dobry, zbyt delikatny, zbyt mądry, zbyt spokojny, zbyt wyważony”.

Czapski oczywiście natychmiast rozpoznaje wagę tego spotkania. Odpowiada Adamowi w listach: „Dla mnie Ty dziś wcielasz najpiękniej Poezję (...) i dobroć”. A potem w rozmowach z przyjaciółmi wielokrotnie cytuje tekst Zagajewskiego („Po końcu świata”), polemizujący ze zdaniem Adorno, że pisanie poezji po Auschwitz jest niemoralne. Tak, należy pisać poezję i chwalić świat, jego zdolność do odradzania się i element dobra, widoczny także w ludzkiej twórczości, który jest w stanie przetrwać potworności wojny, Auschwitz i sowieckie lagry.

Zagajewski podkreśla wielokrotnie, że Czapski pozostał młody, bo do końca nie wiedział. Nie znał, w przeciwieństwie do innych, jedynych odpowiedzi, wciąż stawał pytania. Dla wielu taka postawa ozna-

czła naiwność (to rzymski poeta Marcialis miał napisać, że bycie człowiekiem dobrym oznacza bycie naiwnym).

Zagajewski broni tej naiwności: „Nic nie wiedzieć nie jest stanem biernej, sytej ignorancji: przede wszystkim nie jest stanem, tylko raczej atmosferą, klimatem myślenia” – pisze w jednym z esejów. Potem dodaje: „osiągnął mądrość, to znaczy taką niewinność, która zdołała się oprzeć presji doświadczenia. Niewinność pełną wiedzy”.

„Czapski odnawiał się wciąż i jego zdolność do odradzania się, wychodzenia z rozpacz, ze zwątpienia, do przekreślania okresów niepewności, do powrotu do intensywnej pracy, której od nowa towarzyszyła ufność, wiara we własne siły, i także często wiara w »wielomożliwościowość« świata, była jego centralnym, zasadniczym darem, podstawą wszystkich jego prac”, twierdzi Zagajewski.

I dodaje: „Ktoś, kto by widział te obrazy po raz pierwszy, powiedziałby pewnie: przecież one są niedokończone. Tak, rzeczywiście, bardzo dobre spostrzeżenie, ale należałoby to inaczej sformułować: może to świat jest nieskończony”. To wciąż tylko szkic, wstęp, mistyka dla początkujących.

Spotykają się ludzie wolni: Zagajewski wielokrotnie podkreśla, że obraz Czapskiego znany w Polsce jest niesprawiedliwy: postrzega się go tylko jako autora „Na nieludzkiej ziemi”, jednego z ocalonych z katyńskiej masakry, niezłomnego poszukiwacza zaginionych kolegów. Choć to, owszem, wspaniały wizerunek, nie jest pełny: dla Zagajewskiego Czapski jest olbrzymem, bo jego osobowość i przymioty są nie do ogarnięcia. Ważny jest Czapski artysta i być może najważniejszy jest Czapski malarz i twórca dzienników intymnych, bo tam wyraża się najswobodniej, kroczy własną ścieżką, nie wydeptuje szlaku narodowego.

To właśnie dobroć i empatia stawiają Czapskiego w pierwszym szeregu „sprawy polskiej”, ale przecież drugi biegun Czapskiego, bardziej osobisty i samotny, to twórczość niedyktowana patriotycznym postulatem. Zagajewski pisze:

„Wydaje się, że właśnie to, co łączy Miłosza i Czapskiego, jest najcenniejsze w nowszej polskiej tradycji: fakt, że wypadki historyczne, przeżyte, zarejestrowane są w niej silnie i centralnie obecne, ale nie wyznaczają jej horyzontu. Jej horyzont jest większy, jej sednem bowiem jest wielkie zdziwienie rzeczywistością, upodobanie w rzeczach zwykłych i niezwykłych, pytanie o sens całości – czyli znowu coś klasycznego, ahistorycznego”.

I jeszcze dodaje: „I on był świadkiem XX wieku i on również w swej twórczości umiał wyjść daleko poza czynności »świadka«. Jego płótna otwierają się na grozę i piękno świata, wielkiego świata, widzianego o brzasku, zanim wzniesiono baraki obozów koncentracyjnych, a jego piarstwo wyrasta z namysłu nad każdym życiem, nie tylko życiem okaleczonym”.

Nie tylko solidarność wobec innych, ale także samotność. Eseje Zagajewskiego wydane w tamtym czasie nie przez przypadek zawierają te słowa w tytule – mierzy on w nich odległość między tymi dwoma biegunami obecnymi w życiu artysty (zwłaszcza polskiego).

„Żył w sprzeczności, jak wszyscy ci, którzy robią coś istotnego”, pisze Zagajewski. „Pomimo to Józef Czapski to dla wielu ktoś z uładzonego modlitewnika polskiego. Są przecież fotografie, na których widzi my go z generałem Władysławem Anderssem, jednym z filarów patriotycznej legendy XX wieku”. I zaraz potem dodaje: „Jest to jakiś krzywdzący paradoks, bo jest to wielki, wspaniały malarz. To tak, jakby Manet znalazł się przypadkiem w obozie, napisał pamiętniki i dla Francuzów byłby świadkiem historii”.

I znów po latach widzimy w tym portrecie odbicie samego autora. Zagajewski akurat wtedy także wybiera wolność: przyjeżdża do Paryża z miłości, nie jest to wybór polityczny. Zmienia się z pisarza społecz-

nie zaangażowanego i polemicznego w kogoś innego, jest w połowie swojej drogi, odtąd balans między solidarnością a samotnością będzie metaforą jego twórczości. O ile przedtem solidarność i zaangażowanie w bezpośrednią działalność opozycyjną były wysuwane na pierwszy plan, o tyle po 1983 r. w wierszach Zagajewskiego coraz wyraźniej widać przełom, zmianę tonu. Stał się pisarzem uniwersalnym.

Rówieśnicy i koledzy z Polski będą krzywić się odtąd na „pięknoduchostwo”, sławienie Morza Śródziemnego, malarzy, filozofów i popadanie w mistycyzmy, zabraknie im bieżących komentarzy do polskiego życia zbiorowego. Tego mu nie wybaczą ani oni, ani młodszy poeci i krytycy. Słysząc odtąd opinię, że Zagajewski „skończył się” po pierwszych dwóch, trzech książkach.

I rzeczywiście, Zagajewski nie dostał w Polsce od tamtych czasów żadnej znaczącej nagrody literackiej. Tymczasem na świecie czytano go, nagradzano i zapraszano do dyskusji. Miał setki oddanych czytelników i przyjaciół oczarowanych nie tylko jego poezją, ale też osobowością (a może „człowieczeństwem”). W Polsce trochę z tego kpiono, wpływowi krytycy zjadliwie komentowali kolejne książki, powstawały strony internetowe „Zagajewski znów nie dostał Nobla”.

I dopiero kiedy umarł, odezwał się chór głosów przyznających, że jednak był wielkim polskim poetą. Cytowano wiersze i znów podawano jako największe jego osiągnięcia pierwsze tomiki poetyckie i książkę eseistyczną „Świat nie przedstawiony” [napisaną wspólnie z Julianem Kornhauserem], przykład zaangażowania społecznego jeszcze sprzed czasów przełomu.

Czapski, według Zagajewskiego, był przede wszystkim człowiekiem dobrym.

Ci, którzy naprawdę poznali Zagajewskiego, mogą powiedzieć o nim to samo

Przecież wiersze zachwycają Czapskiego właśnie dlatego, że wzrastają w pęknięciu i wychodzą stamtąd wyżej, na wolność. „Chciałem tylko powiedzieć i podziękować: dotknąłem do Pana tomiku i parę Pańskich wierszy było dla mnie nagłym szokiem (...). I Pan mi nagle dał takie samo wzruszenie, że płaczę”.

Zachwycają Czapskiego wiersze z tomu „List. Oda do wielości”, a później np. „Okrutny”. To wiersze, w których przegląda się Czapski – o dychotomii świata, o jego grozie i zniewalającej sile jego piękna. Rozdarcie i próba połączenia rozdartych brzegów ściąganiem wiersza, a czasem po prostu uwolnienie się od „przeklętych problemów”, nierozwiązywalnych dylematów, ucieczka w stronę wizji.

Zagajewski potem pisze do Czapskiego tak: „Kochany, drogi i mądry Józiu, od wielu dni myślę o tym, co kiedyś powiedziałeś – o okrucieństwie świata. Czuję te słowa we mnie jak przeciw-szczepionkę i jestem ci wdzięczny za nie”.

Zagajewski nie odrzuca solidarności na rzecz samotności, nie wybiera pomiędzy sprzecznościami (jak sam pisał w „Odzie do wielości”, jego „Wiersz rośnie na/ sprzeczności, lecz jej nie zarasta”). Czapski zaraz po przeczytaniu „Okrutnego” odpowiada mu tak: „Ale przecież ten hołd mój i miłość natury jest równoległy z krzykiem, że życie jest niemożliwe”.

Czy to ich zbliża? Opisanie niemożliwego? To, że obaj stanęli przed nim? I to spotkanie uwolniło ich, pozwoliło na przekroczenie ram. Tak Zagajewski potem powiedział o Czapskim: „w ciągłym rozpatrywaniu pytania, »czy cierpienie można namalo-

wać« (...), Czapski nie godził przeciwieństw. On wyrastał ponad nie”.

Spotkali się, bo obaj byli dobrymi ludźmi, obaj byli wolni. Obaj poszukiwali blasku – Czapski na wzór wielkich rosyjskich i francuskich mistyków, a dla Zagajewskiego wiersz był warsztatem metafizycznym. Kiedy w jednym z esejów pisze o Czapskim: „tymczasem mistycy są niemi, mówią aluzjami, posługują się metaforami, chodzą wokół płonącego ogniska, lecz sami nie są ogniem”, nie wie jeszcze, choć może przeczuwa już, że pisze też sobie:

„Notatnik miał rejestrować chwile upadków i momenty wzlotów, miał być i był jednak czymś znacznie więcej, instrumentem uwagi, jej szkłem powiększającym, jej narzędziem i kroniką, miał przywoływać i utrzymywać ważność. I oplakiwać ją, kiedy chowała się gdzieś, na kilka dni, tygodni czy miesięcy, nie wiadomo gdzie, i zostawiała tylko niejasne wspomnienie o sobie oraz żal – i silną potrzebę powrotu do niej”.

Niektóre spotkania są niezwykle. Spotykając Innego, spotykamy siebie w innym wydaniu, rozmiarze, w innych ubraniach, w innym momencie. Możemy się zmierzyć, sprawdzić, do którego miejsca wymiary się pokrywają, a gdzie wyrastamy poza swoje brzegi. Zagajewski ujrzał w Czapskim swoje uciekające granice, a Czapski w nim ujrzał duchowe, stabilniejsze centrum. Oczywiście nie byli tacy sami, ale dopelniali się doskonale.

Co za wydarzenie! Urodziła się nowa gwiazda, nowa książka i przyjaźni nadal trwa. Czytam słowa Adama o „Józiu” i myślę, że są dziwnie mi znajome: „Miał wielu przyjaciół, którzy kochali go i podziwiali bez reszty, aż do samego końca. W gruncie rzeczy jednak był człowiekiem samotnym. Był moim przyjacielem i mistrzem. Mistrzem mojej niewiedzy”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Adam Zagajewski

Spróbuj opiewać okaleczony świat

Spróbuj opiewać okaleczony świat.

Pamiętaj o długich dniach czerwca

i o poziomkach, kroplach wina rosé.

O pokrzywach, które metodycznie zarastały

opuszczone domostwa wygnanych.

Musisz opiewać okaleczony świat.

Patrzyłeś na eleganckie jachty i okręty;

jeden z nich miał przed sobą długą podróż,

na inny czekała tylko słona nicość.

Widziałeś uchodźców, którzy szli donikąd,

słyszaleś oprawców, którzy radośnie śpiewali.

Powinieneś opiewać okaleczony świat.

Pamiętaj o chwilach, kiedy byliście razem

w białym pokoju i firanka poruszyła się.

Wróć myślą do koncertu, kiedy wybuchła muzyka.

Jesienią zbierałeś żołędzie w parku

a liście wirowały nad bliznami ziemi.

Opiewaj okaleczony świat

i szare piórko, zgubione przez drozda,

i delikatne światło, które błądzi i znika

i powraca.

Utwór za: Adam Zagajewski, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo a5, Kraków 2014. We wrześniu 2001 r., kilka dni po zamachu na WTC, wiersz ten ukazał się po angielsku w amerykańskim tygodniku „The New Yorker” w przekładzie Clare Cavanagh. Tytuł: „Try to Praise the Mutilated World”.

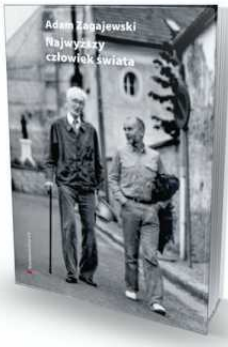


FOT. KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Różycki

• ur. w 1970 r., poeta, eseista, tłumacz. Autor m.in. poematu „Dwanaście stacji” (Nagroda Kościelskich) i tomu wierszy „Kolonie” (finał nagrody Nike). Ostatnio za tom „Ręka pszczykarza” otrzymał Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za rok 2022. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Adam Zagajewski, **„Najwyższy człowiek świata. O Józefie Czapskim”**, red. Andrzej Franaszek, Wydawnictwo a5, Kraków, lipiec 2023.



Kiedy owocują poziomki? TAK SIĘ PRACUJE Z POETĄ

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ja miałam tłumaczyć wielkiego Zagajewskiego?

Mąż mnie przekonał:

„To przekład, nie seks. Możesz to robić z więcej niż jedną osobą”. Adam uwielbiał ten bon mot.

Clare Cavanagh*

Adam Zagajewski, poeta, którego utwory tłumaczę od ponad 20 lat, był przedstawicielem – to jego własne określenie – „wschodnioeuropejskiej szkoły dyskrecji”. „Nie rozmawiamy o rozwodach, nie przyznajemy się do depresji”. Otrzymał laur za laurem: nagrodę literacką Neustadt (tzw. mały Nobel), nagrodę literacką Zhongkun (tzw. chiński Nobel poetycki), nagrodę im. Heinricha Manna, kanadyjską The Griffin Poetry Award, francuską Legię Honorową czy Nagrodę Księżnej Asturii. Ale nigdy nie uderzyło mu to do głowy. Wręcz przeciwnie. Skromność, dowcip i usuwanie się w cień kształtują każdą linijkę jego twórczości. I ukształtowały jego samego.

JAKĄŚ TAM SLAWISTKA Z AMERYKI

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie z propozycją współpracy pośrednio przez wspólnego znajomego, który zadzwonił z pytaniem, czy rozważyłabym przetłumaczenie utworów Adama Zagajewskiego. Było to w 1995 r. Powód nieśmiałości Adama odkryłam znacznie później. W tym samym roku opublikowałam książkę o Osipie Mandelsztamie, którą Adam przeczytał. Niemal 30 lat później nadal jestem tym nieco zszokowana.

Myślał, że jestem jakąś profesorską figurą z dalekiego kraju i bał się do mnie zadzwonić. To również nadal mnie szokuje. W końcu był wielkim polskim poetą, a ja tylko jakąś tam slawistką z Wisconsin. Ale wiedział, że kocham Mandelsztama. I wiedział, że tłumaczyłam Wisławę Szymborską razem z jego wieloletnim przyjacielem, wielkim poetą i tłumaczem Stanisławem Barańczakiem. Pomyślał więc, że warto spróbować.

Nie wiedział, że byłam już wtedy jego zagorzałą fanką. Jeden ze swoich pierwszych wykładów po angielsku wygłosił na Harvardzie, kiedy byłam na studiach, a jego wiersz „Jechać do Lwowa” – czytał go po polsku i po angielsku – rzucił mnie na kolana. Wiedziałam, że właśnie usłyszałam coś wielkiego. Poszłam potem do biblioteki i przeczytałam wszystkie jego wiersze, jakie mogłam znaleźć.

Kiedy więc zadzwonił ten wspólny znajomy, zamarłam, odpowiadałam: „nie” i odłożyłam słuchawkę. Bo jak mogłabym pracować bez Stanisława? Jak mogłabym sama tłumaczyć wielkiego Zagajewskiego? Powiedziałam o tym mężowi, który stwierdził, że jestem idiotką. „To tłumaczenie, a nie seks – powiedział. – Możesz to robić

z więcej niż jedną osobą”. Adam uwielbiał ten bon mot.

„MOJE BŁĘDY NIE MOGĄ CI SIĘ PODOBAĆ”

Z punktu widzenia tłumacza Adam był anty-Josifem Brodskim. Rosyjski noblista był znany zarówno ze swojej formalnej wirtuozerii, jak i ze standardów, których wymagał od swoich nieszczęsnych tłumaczy. Ale Adam nie lubił rymów i metrum – za bardzo przypominało mu to obowiązkowe klękanie w kościele. I w przeciwieństwie do swego rosyjskiego przyjaciela, którego nigdy nie przestał oplakiwać, nie terroryzował swoich współpracowników. Wręcz przeciwnie.

Rozmawialiśmy o wszystkim, a on uwielbiał, gdy zachwycalam się jakimś porównaniem lub składniowym majstersztykiem. Nigdy nie zapomniał, jak w przypływie entuzjazmu zadzwoniłam kiedyś z dalekiego Wisconsin do Paryża, by powiedzieć mu, że właśnie przetłumaczyłam jego arcydzieło, wiersz „Opus pośmiertne”.

Ale jeśli chodzi o sam przekład, nie wtrącał się. Delikatnie poprawiał – ale nie zawsze! – sporadyczne błędy. „Może poziomki pojawiają się w Stanach wcześniej?” – zapytał, gdy pomyliłam jeden z polskich miesięcy, którego nazwa zdecydowanie nie ma łacińskiego źródłosłowu. Nie znosił obowiązku dostarczania angielskich wersji różnych słów swoim dawniejszym tłumaczom, którzy nie znali polskiego. „To jak wysyłanie martwych kociąt i szczeniąt” – narzekał. Nawet moje tłumaczenia tyle się liczyły, co wczorajsza gazeta: on już przechodził do następnego wiersza.

Nie poprawił więc mojego najbardziej rażącego błędu. Wysłał mi faksem niewy-

rażny maszynopis tego, co miało się stać jego najsłynniejszym wierszem, chyba w 1999 r. Pomyliłam [odnoszące się do wina] słowo „rosé” z polskim wyrażeniem „o rosie”, które po angielsku brzmi „about the dew”. Dlatego nowojorska wersja jego wiersza „Spróbuj opiewać okaleczony świat” („Try to Praise the Mutilated World”; ukazała się w „New Yorkerze”) zawiera zarówno „krople wina”, jak i „rosé”.

Adam wyłapał błąd i najpierw pomyślał: „Co to, piknik o świcie?”. Potem zdecydował, że tak mu się podoba. „Moje błędy nie mogą ci się tak po prostu podobać!” – zaprotestowałam. Chciał zmienić główny czasownik – po polsku „opiewać”. Napisałam „praise” (chwalić), podczas gdy on wolał „extol” (wychwalać). Alice Quinn, redaktorka działu poezji w „New Yorkerze”, stanęła po mojej stronie. Później Adam twierdził, że bał się mnie poprawiać.

Dokonał jednak autokorekty. Jego wiersze nie były skończone, dopóki książka nie ukazała się po polsku. To był kłopot. Wersja, którą otrzymałam mailem, nie zawsze była tym, co znalazłam później w polskim wydaniu. A zmiany zawsze miały znaczenie. Oznaczały również, że od czasu do czasu spędzałam chwilę w środku warsztatu poety.

PODSŁUCHAŃCE JAK U SZYMBORSKIEJ

Oto przykład z tomu „Prawdziwe życie” (2019), który pod tytułem „True Life” ukazał się właśnie po angielsku [w przekładzie Clare Cavanagh]. Adam przekazał mi pierwszą wersję wiersza „Powołanie Mateusza (San Luigi dei Francesi)” w Krakowie w 2017 r. Wtedy wiersz był dedykowany pamięci poetki, którą już wcześniej tłumaczy-

łam, jego przyjaciółki Wisławy Szymborskiej. W ostatecznej wersji pojawia się ona w sposób mniej wyraźny, w zapożyczeniu z jej wiersza „Pogrzeb”, co jest hołdem złożonym zarówno jej samej, jak i gatunkowi, który nazwała „podśluhańce”.

„Pogrzeb” Szymborskiej składa się z pozornie przypadkowych fragmentów rozmów podsłuchanych na cmentarzu. Adam podobnie buduje swój wiersz z urywków pozornie niezwiązanych ze sobą rozmów. Ale ich układ i zestawienie ze sobą to już „czysty Zagajewski”. Przywołuje to na myśl wiele wierszy poświęconych używanej przez historyków sztuki metodzie uważnego oglądania dzieł sztuki w muzeum, galerii lub, jak tutaj, w kościele.

Zwiedzający, koneserzy i przewodnicy rozmawiają, rzucając okiem na wielki obraz Caravaggia, gdy moneta wrzucona do szczeliny zapewnia chwilowe oświetlenie: „Jeszcze czego, płacić w kościele” – narzeka jeden z turystów. Fragmenty dialogu nakładają się na siebie – są to zarówno banały, jak i ulotne epifanie: „Ciekaw jestem, na ile ubezpieczyli te obrazy” albo: „Jezus jest w cieniu, a jednak jego twarz jest jasna”. Dedykacja stała się więc epigrafem.

NIKT MU TEGO ROKU NIE DAŁ

Adam ciężko pracował nad nowym tomem, gdy nagle zachorował (zmarł wiosną 2021 r.). Jego przyjaciółka i wydawczyni Krystyna Krynicka zapytała go wcześniej, czy jest gotowy do druku, a on odpowiedział: „Jeszcze nie, daj mi jeszcze rok”. Ale nikt mu tego roku nie dał. ●



*Clare Cavanagh

● amerykańska krytyczka, slawistka i tłumaczka literatury polskiej. Pracuje na Northwestern University (Illinois), wcześniej na University of Wisconsin. Tłumaczyła na angielski, częściowo razem ze Stanisławem Barańczakiem, m.in. utwory Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego. W lutym 2023 r. ukazało się w jej przekładzie amerykańskie wydanie ostatniego tomu poetyckiego Zagajewskiego „Prawdziwe życie”.

Tekst za „The Washington Post”, 23 lutego 2023 r. Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza”.

Moja wypowiedź jest inspirowana artykułami prof. Marka Abramowicza „56 głosów za Bogiem” („Wolna Sobota”, 23 grudnia 2022), „Nasz Wszechświat ma jakiś początek” („Wolna Sobota”, 4 lutego 2023) i „Podziękujmy czarnym dziurom” („Wolna Sobota”, 19 sierpnia 2023) oraz prof. Leszka M. Sokołowskiego „Człowiek strącony” („Wolna Sobota”, 5 sierpnia 2023).

Tytuły tych tekstów wskazują na to, że obaj autorzy opowiadają się za stworzeniem Wszechświata (Kosmosu, Rzeczywistości) przez niematerialnego Stwórcę. O ile prof. Sokołowski dość zdecydowanie oddziela Stwórcę w swym rozumieniu od Boga jakiegokolwiek religii, to prof. Abramowicz jest mniej transparentny. Piszze „jako wierzący w jednego Boga, który stworzył jeden świat”, co może być rozumiane jako akces do monoteizmu religijnego. Niemniej jednak przyjmuję, że także prof. Abramowicz chce pozostawać w granicach fizyki i z tej perspektywy zajmuje się istnieniem Boga (Stwórcy). Stwierdził w pierwszym tekście, że „nie ma żadnych dowodów na nieistnienie Boga (...). Nie znam (...) dowodów [na istnienie Boga], bo [ich] nie ma”, a w drugim, że „fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga jako aktywnego elementu obiektywnej rzeczywistości (...)”.

Rozumiem, że aktywność Boga sprowadza się do, jakby powiedział prof. Sokołowski, mocy odpowiedzialnej za istnienie i własności Kosmosu. Obaj profesorowie zgadzają się, że Kosmos miał początek, co znaczy, że Rzeczywistość (materia) nie jest odwieczna. Obaj polemizują z materializmem i ateizmem, ponieważ pierwszy wyklucza bytu niematerialne, a drugi kwestionuje to, że Wszechświat został powołany do istnienia przez Stwórcę w ich rozumieniu.

Mój pogląd jest taki, że za istnienie i własności Wszechświata odpowiadają moce ze swej istoty naturalne. Taki pogląd uważam za filozoficznie właściwy. W ekspozycji swojego stanowiska opuściłem przymiotnik „materialne” w odniesieniu do mocy odpowiedzialnych za istnienie i właściwości Kosmosu, ponieważ materializm jest obecnie często zastępowany przez naturalizm, tj. pogląd, że każdy byt, który istnieje, jest naturalny, tj. zajmuje pewną porcję przestrzeni, trwa w czasie. Materializm implikuje naturalizm, ale nie odwrotnie – nie będę wchodził w tę kwestię, ale dla porządku zaznaczę, że naturalistyczna interpretacja świata przedmiotów matematycznych i psychiki napotyka rozmaite kłopoty. Można tak rzecz ująć, że wedle naturalisty istnienie Wszechświata zasadza się na jego własnych (wewnętrznych) źródłach, natomiast prof. Abramowicz i prof. Sokołowski uważają, że są one transcendentne. Przy-



FOT. SHUTTERSTOCK

Z CZEGO TWORZY STWÓRCA

Filozof spiera się z astrofizykiem i kosmologiem o istotę Boga

Jan Woleński*

tym sformułowaniu obaj należą do obozu antynaturalistycznego, a ja do naturalistycznego. To jest różnica filozoficzna, a nie należąca do fizyki jako takiej.

Jak wygląda stosunek naturalizmu do ateizmu? Sprawa nie jest bynajmniej prosta z uwagi na koncepcje utożsamiające Boga z przyrodą, np. w wersji Spinozy. Aby nie komplikować dalszych uwag, przyjmę, że naturalizm implikuje ateizm, ponieważ wyklucza istnienie Boga jako bytu transcendentnego wobec świata naturalnego. Ta eliminacja dotyczy zarówno Boga w sensie religii jak i Stwórcy w rozumieniu obu profesorów.

Jestem filozofem i nie czuję się kompetentny do rozpatrywania, który model fizyczno-kosmologiczny Wszechświata jest trafny. Spore różnice pomiędzy specjalistami w tym zakresie są dla naturalisty motywem dla twierdzenia, że jego obraz Wszechświata nie jest niemożliwy, aby rzecz ująć ostrożnie. To znaczy, że Wszechświat jest obiektem naturalnym

w powyższym rozumieniu, tj. takim, którego istnienie i własności dają się objaśnić bez potrzeby odwoływania się do czynników transcendentnych (nadenaturalnych). Jeśli ktoś zauważy, że jest to motywowane światopoglądowo, bo ateizmem w sensie potocznym, lub filozoficznie, bo naturalizmem, odpowiem, że tak, ale podobną opinię można wyrazić wobec poglądów Abramowicza i Sokołowskiego.

Naturalizm implikuje jedynie to, że nie ma początku w tym sensie, że powstał przez działanie jakiegoś czynnika nienaturalnego – jeśli ktoś woli użyć słowa „nadenaturalnego”, nie mam nic przeciwko temu. Naturalista może przyjąć każdą teorię kosmologiczną, która jest zgodna z tym punktem widzenia, np. jakąś teorię stanu stacjonarnego, jeśli fizyka wróci do takowej, wielkości wielkich wybuchów, koncepcję multiwersum (wieloświata) czy jakąkolwiek inną, np. tezę, że pierwotna była energia, informa-

cja kwantowa, a wszystko wzięło się z chaosu deterministycznego, z którego „wyloniły się” prawa uniwersalne.

Od razu zauważę trudność antynaturalizmu w kwestii początku świata. W szczególności sformułowanie prof. Abramowicza o Bogu jako aktywnym elemencie obiektywnej rzeczywistości domaga się dalszych wyjaśnień. Stwórca może być albo we Wszechświecie, albo poza nim.

Jeśli przyjmiemy pierwszą alternatywę, to jest osobliwym punktem Kosmosu i trzeba jakoś wytłumaczyć, skąd ta osobliwość się wzięła. Odpowiedź, że po to, aby Rzeczywistość mogła zaistnieć, uważam za kolistą i obciążoną dość prymitywnym finalizmem. Być może pomogą tutaj jakieś koncepcje typu *causa sui* (przyczyna samej siebie), ale na pewno coś trzeba dodać.

Jeśli przyjmiemy drugą możliwość, sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana, ponieważ mamy do czynienia z jednej strony z bytem nadenaturalnym (ide-

alnym), a z drugiej strony z sekwencją „rzeczy z tego świata”. Potoczny sens stwarzania polega na tym, że istnieją stwórca (przez male s), jego działanie i materiał, z którego coś jest stworzone. Na czym polega działanie Stwórcy i czym jest materiał, z którego On stwarza? Mamy na razie zaproponowane jakieś nowe pojęcie bez jego dokładnej eksplikacji, a odwołanie się do idei platońskich (Sokołowski), gdzie bytują idealne prawa, czy trzeciego świata w sensie Karla Poppera (Abramowicz) nie wystarcza. W związku z tą drugą ewentualnością wypada zauważyć, że sam Popper nie wyprowadzał z koncepcji trzech światów (fizycznego, psychicznego i abstrakcyjnych idei) żadnych konsekwencji dotyczących tego, że Kosmos został stworzony przez jakiegoś Stwórcę. Nadto trudno uważać Wielki Wybuch w sensie technicznym za początek Wszyskiego, skoro obecne teorie fizyczne dotyczą tego, co zaczęło się jakiś czas (nawet minimalny) po nim. Bardziej odpowiada mi pogląd podzielany przez niektórych fizyków, że – przynajmniej w fizyce – nie ma potrzeby pytać o początek Wszechświata, natomiast można dociekać mechanizmu powstania naszego Wszechświata, tj. tego po „naszym” Wielkim Wybuchu, nawet zakładając, że był jedyny w historii Kosmosu. Inaczej jest rzecz jasna w filozofii, nawet – jak to ujmuję prof. Abramowicz – splecionej z fizyką, ale jak dobrze wiadomo z historii, wyjaśnienie natury owego splecia i ocena zasadności jego rezultatów jest sprawą bardzo trudną.

Marek Abramowicz bezpośrednio, a Leszek M. Sokołowski pośrednio dotykają kwestii istnienia Stwórcy. Pierwszy traktuje zdania „istnieje Bóg” i „nie istnieje Bóg” jako logicznie uprawnione hipotezy. Tak, nie widać żadnego powodu, aby którekolwiek wykluczać a priori, ale oba mają odmienny status logiczny, ponieważ pierwsze jest twierdzącym zdaniem egzystencjalnym, natomiast drugie przeczącym. Dowodzić można jednych i drugich, ale ciężar dowodowy spoczywa na tym, kto twierdzi coś pozytywnie, w tym przypadku, że Stwórca istnieje.

To prawda, jak podkreśla prof. Abramowicz, że fizyka (szczególna teoria względności) dowiodła, że eter nie istnieje, ale odbyło się to w ramach konkretnej teorii fizikalnej przez pokazanie, że istnienie eteru pozostaje w sprzeczności z jej twierdzeniami. W ogólności fizyka mogłaby dowieść nieistnienia Boga, gdyby termin „Bóg” oznaczał jakiś element jej zasobu pojęciowego, a tak przecież nie jest, zarówno wedle prof. Abramowicza, jak i prof. Sokołowskiego. Fakt, naturalista nie powinien z góry twierdzić, że pojęcie Boga jest wykluczone przez naukę, ale raczej utrzymywać, że każde stwierdzenie egzystencjalne, że coś istnieje, powinno być dokonane na terenie nauk empirycznych (pomijam matematykę). W konsekwencji teista kosmologiczny (to termin *ad hoc*) powinien podać uzasadnienie (dowód) dla zdania „istnieje Bóg”, a to, jak dobrze wiadomo, napotyka znaczne trudności.

W odniesieniu do poglądów prof. Abramowicza i prof. Sokolowskiego chodzi o uzasadnienie zdania „istnieje takie x, że x jest Stwórcą Wszechświata”, ale wcześniej pojęcie stojące w orzeczniku tego zdania powinno być należycie zdefiniowane (może to być zrobione nawet aksjomatycznie), ale – jak wyżej argumentowałem – nie jest, nawet w grubym przybliżeniu. Wiadomo tylko tyle, że Stwórca jest duchowy (ma świadomość i samoświadomość) i – wyrażając się metaforycznie – wie, co robi.

Prof. Sokolowski rozpatruje tradycyjną religijną, dokładniej chrześcijańską, koncepcję Stwórcy jako bytu doskonałego, tj. wszechmocnego, wszechwiedzącego i niezmiennego (poza stworzeniem świata ex nihilo – to dość zagadkowy wyjątek) oraz interweniującego w świecie, wtedy gdy jest to stosowne wedle jego oceny (nawiasem mówiąc, to byłby kolejny wyjątek od zasady niezmienności Istoty Doskonałej), ale uważa, że taki konstrukt jest całkowicie poza zasięgiem fizyki. Zgoda, ale jeszcze raz podkreślam, trzeba podać jakieś określenie typu „Stwórca to taki byt, że ...”, gdzie na miejscu trzech kropek znajduje się jakiś zbiór własności – dokładniej mówiąc, predyktów wyrażających te atrybuty, przede wszystkim wskazujących, jak Stwórca działa i na jakim materiale, a jeśli to drugie nie ma znaczenia, to na czym „czyste” działanie polega. Profesorowie Abramowicz i Sokolowski odwołują się do zasady antropicznej, przy czym tylko drugi podaje jej dwie wersje, słabą (WAP; weak anthropic principle – stąd skrót): „Fizyczne parametry Wszechświata są takie, że człowiek zaistniał”, i mocną (SAP; strong anthropic principle): „Parametry Wszechświata są (zostały) tak dostrójone, aby człowiek zaistniał”. Prof. Abramowicz wspomina o tej dystynkcji, ale wywodzi istnienie Stroiciela z SAP, natomiast prof. Sokolowski uważa WAP za stwierdzenie trywialne, a SAP za nieuzasadnione.

Ta różnica wskazuje, że specjaliści od fizyki i kosmologii zasadniczo różnią się w kwestii podstaw dla stwierdzenia, że Stwórca (Bóg, Stroiciel) istnieje, i jego atrybutów. Dodam, że SAP jest sformułowana (ze względu na celowościowy zwrot „aby”), że implikuje egzystencję Stroiciela, a więc to, co dopiero ma uzasadnić. Nadto artykuł prof. Abramowicza „Wielka zmiana w światowej

który do tego stopnia przejął się losem ludzi, że własnego syna poświęcił dla ich ratowania, są bezpodstawne. Wszelkie rozważania fizyków o niematerialności i duchowości przejawiających się w niektórych procesach fizycznych i o globalnej naturze Wszechświata są dla prawdziwości religii chrześcijańskiej (i właściwie każdej innej) bez znaczenia. Ateiści mogą się nie

acja ateisty byłaby niewesoła. Nawet jeśli zgodzimy się, że wszelkie wykluczenia są ryzykowne, to jednak trudno sobie wyobrazić spójny system naukowo-filozoficzno-teologiczny, który by usprawiedliwiał np. kosmologiczną teorię Stwórcy z chrześcijańskim Bogiem. Moje przekonanie jest takie, że taka synteza jest niemożliwa z uwagi na całkowitą odmienną języka fizyki i teologii. Wiele wskazuje na to, że Marek Abramowicz i Leszek Sokolowski, zwłaszcza ten drugi, nie są nadmiernymi optymistami w sprawie totalnego pognębenia ateistów przez przyszłą fizykę. Wymagałoby to sformułowania jakiejś ostatecznej teorii wszystkiego, a na to się nie zanoszą, przynajmniej na razie.

Obaj naukowcy nie wdają się zbyt szeroko w kwestie filozofii człowieka (antropologii filozoficznej). Drugi pisze tak: „problem »chrześcijanin w wielkim Wszechświecie« jest nieporównywalnie ważniejszy i trudniejszy od infantylnych w istocie sporów o to, czy człowiek od małpy pochodzi?”. Wypada mi z pokorą przyjąć, że moje (jako ateisty) miejsce w wielkim Wszechświecie sprowadza się do infantylnej kontrowersji wokół pochodzenia człowieka od małpy.

Przypomina się dyskusja (wspomniana przez prof. Abramowicza) pomiędzy Samuelem Wilberforce’em, angikańskim biskupem Oksfordu, i Thomasem Huxleyem, paleontologiem, odbyta w 1860 r. Pierwszy zapytał drugiego, czy „pochodzi od małpy po mieczu czy po kądzieli?”. a Huxley odpowiedział: „Nie wstydziłbym się, gdyby moim przodkiem miała się okazać małpa”.

Otóż nie widzę powodu, aby kwestia „ateista w wielkim Wszechświecie” była mniej ważna i łatwiejsza od tej postawionej przez prof. Sokolowskiego. Wypowiada on Stwórcę w podobne atrybuty, jakie posiada Bóg chrześcijański. Nie jestem pewien, jak daleko sięga ta korespondencja z uwagi na wzmiankę o ofierze dla ratowania ludzi, ale chy-

ba się nie pomyłę, gdy powiem, że Stwórca jest wszechmocny i wszechwiedzący.

Od dawna teodycea docieka, jak istnienie zła da się pogodzić z tezą, że Wszechświat został stworzony przez takiego Stroiciela. Założenie, że Stwórca jest neutralny aksjologicznie, niewiele daje, skoro z góry wie, co się zdarzy. Niektórzy powiadają, że gdyby nie było zła, nie daloby się pojąć dobra. Jeśli przyjmiemy to objaśnienie, pojawia się problem dystrybucji dobra i zła w naszym świecie, wyraźnie niesprawiedliwy, bo jedni cierpią, a inni mają się całkiem dobrze. Jak to stało się, że Stwórca dostroił świat w taki sposób, że np. zorganizowano krucjatę dziecięcą (z wiadomym skutkiem) dla zdobycia Grobu Pańskiego i milion dzieci żydowskich stało się ofiarami Holocaustu? Warto zadać to pytanie tym wszystkim, którzy z taką łatwością, jak np. Marek Abramowicz i Leszek M. Sokolowski, perswadują, że świat z duchowością „odkrywaną” przez fizykę (w ich ujęciu) jest lepszy od rzeczywistości „ateistycznej”. Jeden i drugi byłby nowym wspaniałym światem w sensie Aldousa Huxleya, notabene, wnuka Thomasa Huxleya. I właśnie sposób życia w świecie, w którym obecne są różne światopoglądy i konsekwencje działań ich wyznawców, jest wyjątkowo ważnym i trudnym problemem. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Woleński

• emerytowany profesor UJ, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i PAU, zajmuje się historią filozofii, filozofią nauk, logiką i filozofią prawa.

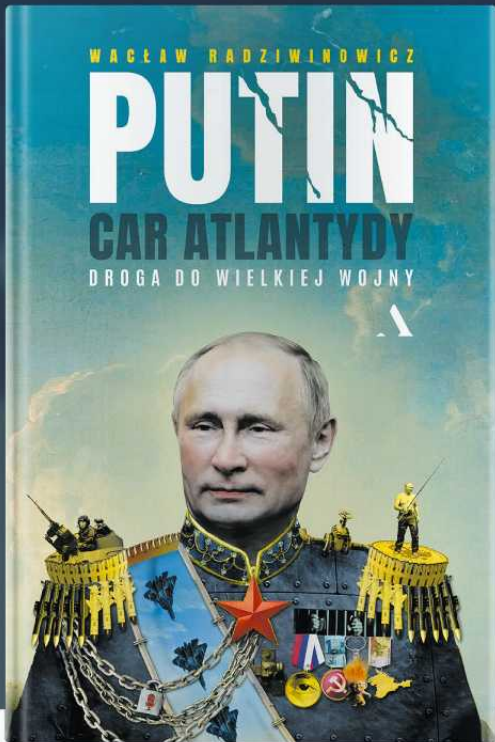
Jak to stało się, że Stwórca dostroił świat w taki sposób, że np. zorganizowano krucjatę dziecięcą (z wiadomym skutkiem) dla zdobycia Grobu Pańskiego i milion dzieci żydowskich stało się ofiarami Holocaustu?

fizyce” zaczyna się następującymi słowami: „Wszechświat musi być wyregulowany tak, aby powstało w nim inteligentne życie”. To znaczy, że jest tak z konieczności. To bardzo mocne sformułowanie, ale może być i tak, że Wszechświat taki jest, że powstało w nim inteligentne życie. Pojęcie konieczności jest bardzo zwodnicze, zwłaszcza gdy stosuje się je do materii empirycznych.

Leszek M. Sokolowski pisze tak: „Na obecnym poziomie wiedzy naukowej, filozofii i teologii utożsamienie wszechmogącego Stwórcy z Bogiem,

obawiać, że ich wiara zostanie na tym polu podważona”.

To dość zaskakujące stwierdzenia, zważywszy na inne fragmenty rozważań prof. Sokolowskiego. Z pierwszej części wynika, że utożsamienie, o którym mowa, jest bezpodstawne na obecnym poziomie wiedzy naukowej, filozofii i teologii, natomiast chyba nie można tego wykluczyć w przyszłości. Faktycznie, gdyby kiedyś fizyka zunifikowana z filozofią i teologią udowodniła, po pierwsze, istnienie Stwórcy, a po drugie, tożsamość Stwórcy z Bogiem chrześcijan (czy jakimkolwiek innym), kognitywna sytu-



HISTORIA „HITLERA NASZYCH CZASÓW” NARODZINY IMPERIALNEGO SZALEŃSTWA I DROGA DO WIELKIEJ WOJNY

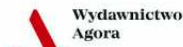
Wacław Radziwinowicz jest moim zdaniem najwybitniejszym dzisiaj obserwatorem i analitykiem polityki Putina. Jest to obserwacja wolna od rusofobii, choć nie wolna od sympatii i antypatii autora. To anatomia putinizmu lokowana w historii ostatnich stu-
leci. Opowieść o władcy niebezpiecznym dla świata, który rządzi w sposób cyniczny, okrutny i zaklamany. Dla polskiego czytelnika to lektura wyjątkowo pouczająca i wyjątkowo niezbędna.

ADAM MICHNIK

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**



Samce pszczoł miodnych mają świetne życie – nie pracują, nie karmią młodych, nie budują plastrów, ale jak skojarzą się z królową, umierają. Kopulują tylko ten raz w życiu. Pod koniec seksu ich penis się odrywa i wykrwawiają się na śmierć.

Z PROF. **LARSEM CHITTKĄ***,
BADACZEM PSZCZÓŁ,
ROZMAWIA **KASPER
KALINOWSKI**

Thomas Nagel w słynnym eseju zastanawiał się, jak to jest być nietoperzem. Czy możemy wyobrazić sobie, jak to jest być pszczolą?

– I tak, i nie. Trudno zrozumieć, jak to jest być kimś innym. Pozostałe gatunki zwierząt nie mogą komunikować za pomocą słów tego, co myślą lub czują. Człowiek nie może się dowiedzieć, jak to jest być siedniamiiesięcznym dzieckiem. Pamiętajmy, że do lat 80. noworodki były często operowane bez znieczulenia. Sądzono, że nie czują bólu, a ich krzyk i kopanie lekarze uznawali wyłącznie za odruchy. Mamy tylko pośredni dostęp do tego, jak może wyglądać wewnętrzny świat innych zwierząt, w tym pszczoł.

Jednak wiemy już całkiem sporo o ich percepcji. Sposób, w jaki postrzegają i odczuwają świat, bardzo różni się od naszego. Można być dość pewnym, że pszczoły robotnice nie myślą o seksie. Z drugiej strony kwiaty muszą mieć bardzo wysoki priorytet w pszczelim umyśle jako główne, a w większości gatunków jedyne źródło pożywienia.

Świat pszczoł jest fascynująco odmienny. Weźmy za przykład to, jak postrzegają kolory. To po człowieku najlepiej zbadane zwierzę pod tym względem. Widzą światło ultrafioletowe, którego my nie dostrzegamy. Potrafią dostrzec wzory i kolory kwiatów, które dla nas pozostają niewidoczne. Tam, gdzie my widzimy jednorodnie żółty jaskier, pszczoła widzi kwiat w dwóch kolorach – odbicie promieni UV na jego obrzeżach i środkową część, która je pochłania. Jak pszczoły faktycznie postrzegają kolor, jak subiektywnie go doświadczają, jest jednak niemożliwe do poznania. Podobnie jest ze wszystkimi subiektywnymi doświadczeniami.

Pszczoły mają trzy receptory kolorów, tyle samo co ludzie.

– One posiadają receptor ultrafioletu, my, podobnie jak pszczoły, mamy receptory niebieskiego i zielonego. Z drugiej strony one nie posiadają receptora czerwonego, więc ten kolor wygląda dla nich zupełnie inaczej. Czerwony owoc jest dla nich trudny do wykrycia, ale istnieją czerwone kwiaty, np. maki, które odbijają ultrafiolet, więc je widzą.

Pszczoły widzą również światło spolaryzowane, najprościej mówiąc – kierunek, w którym ono pada. Światło ma właściwości falowe, zanim uderzy w atmosferę, wszystkie fale wychylają się w przypadkowych kierunkach. Jednak wewnątrz atmosfery jest rozpraszane przez zawieszone w powietrzu cząstki. Gdy w niektórych sektorach nieba wszystkie fale ustawiają się w tym sa-

mym kierunku, światło jest spolaryzowane liniowo. My, widząc słońce, możemy wywnioskować położenie niewidzialnego kręgu maksymalnej polaryzacji światła na niebie, pszczoły mogą odtworzyć położenie słońca nawet wtedy, gdy jest zasłonięte. Potrafią wykryć polaryzację światła w innych częściach nieba.

W jaki sposób odczytują pozycję, gdy niebo jest zachmurzone?

– Używają słońca jako kompasu, co nie jest łatwe. W przeciwieństwie do kompasu magnetycznego, w którym igła zawsze wskazuje północ, Słońce znajduje się w innym miejscu, w zależności od pory dnia. Załóżmy, że chcesz się udać do źródła pożywienia, które znajduje się na południe od ula. Rano Słońce jest na wschodzie, a źródło pożywienia nadal na południu. Jeśli więc znajdujesz się na półkuli północnej, musisz się przemieścić pod kątem 90 stopni na prawo od Słońca. Z kolei po południu pożywienie będzie się znajdować 90 stopni na lewo od Słońca. Jedynym sposobem na wykorzystanie Słońca jako kompasu jest posiadanie czegoś na kształt zegara. Trzeba wiedzieć, która jest godzina.

Gdy Słońce jest za chmurami lub tuż za horyzontem, pszczoły wykorzystują światło spolaryzowane. Nawet małe skrawki odsłoniętego nieba pozwalają im zrekonstruować pozycję ukrytego Słońca. Wrażliwość na światło spolaryzowane wynika z budowy komórek w ich fotoreceptorach. Nawet jeśli Słońce nie jest widoczne, można użyć zmysłu polaryzacji, aby zrekonstruować jego położenie.

W percepcji zapachów czy widzeniu klatek na sekundę pszczoły przewyższają ludzi. Jakie regiony w ich mózgu za to odpowiadają?

– Płaty wzrokowe zawierają trzy zwoje nerwowe zorganizowane w warstwy: blaszkę (lamina), rdzeń (medulla) i zrazik (lobula). Każdy pełni nieco inną funkcję. Część wzrokowa stanowi około połowy całego mózgu. Zarówno płaty wzrokowe, jak i węchowe wysyłają informacje do ciał grzybkowatych – ośrodków uczenia się i integracji informacji pochodzących z wielu zmysłów. To centrum pamięci asocjacyjnej, dysk twardy pszczoł, w którym łączą np. wygląd kwiatów z nagrodami, które otrzymują.

Pszczoły, obserwując się nawzajem, uczą się od siebie?

– I to na wiele sposobów. Przykładem słynny taniec pszczoł zbadany przez laureata Nagrody Nobla Karla von Frischa, który odkrył, że mogą one informować się nawzajem o lokalizacji pożywienia. Wiele zwierząt umie zaprowadzić członków grupy do miejsca, gdzie znajduje się pożywienie, ale tyl-

ko pszczoły potrafią tego dokonać bez udawania się tam razem z nimi. Jeśli otworzysz ul i zajrzysz do środka, dostrzeżesz, że niektóre biegają po torze w przybliżeniu w kształcie ósemki. W tych ruchach kodują, jak daleko i w jakim kierunku muszą się udać inne pszczoły. To unikalny system komunikacji w królestwie zwierząt. Pszczoły, które w ulu podążają za tancerzami, oczywiście się nie widzą, ponieważ panują tam ciemności.

Taniec pszczoł jest mniej użyteczny w tropikach?

– Prawdopodobnie wyewoluował w ich tropikalnych siedliskach. Istnieje nie tylko pszczoła miodna, którą trzymamy w ulach, ale też kilkanaście innych gatunków pszczoł miodnych, które żyją na wolności. Wszystkie w Azji. Uważa się, że właśnie stamtąd wywodzą się pszczoły miodne.

Różnica między siedliskami tropikalnymi a umiarkowanymi, jak Europa, polega na rozmieszczeniu żywności. Niezwykle w lesie tropikalnym jest to, że często długo wędrujesz i natrafiasz wyłącznie na zieleni pozbawioną kwiatów. I nagle wyłania się pojedyncze drzewo z tysiącami kwiatów i żerujących pszczoł. W tropi-

kach pożywienie pszczoł jest ciasno upakowane w przestrzeni, więc o wiele bardziej przydatny jest tam system komunikacji.

Język tańca jest przydatny nie tylko do komunikowania się o pokarmie, ale także o nowych miejscach do zakładania gniazd.

Jak możliwe są takie zdolności pszczoł, skoro ich mózg zawiera jedynie 850 tys. komórek w porównaniu z 86 miliardami u ludzi?

– Tak naprawdę to bardzo złożony mózg; 850 tys. komórek to ni- by niewiele w porównaniu z mózgiem człowieka, ale jeśli przyjrzymy się obu, to pszczeli okaże się wyrafinowanym biokomputerem.

Komórki w mózgach pszczoł są znacznie mniejsze niż w naszych, a do tego szeroko rozgałęzione. Każda tworzy ogromną liczbę połączeń z innymi – aż do 10 tys. Każde z połączeń jest plastyczne i podlega zmianom w wyniku uczenia się i zapamiętywania. Jeśli pomnożymy 850 tys. przez 10 tys., otrzymamy przybliżoną liczbę połączeń w mózgu pszczoły.

Ta sieć obliczeniowa wykracza poza zrozumienie naukowców. Ekspersi pracują nad identyfika-

cją sieci połączeń w mózgu muszki owocowej, który pod względem liczby neuronów jest o rząd wielkości mniejszy niż pszczoły. Nie jesteśmy nawet blisko jego zrozumienia.

Odnotowano zmiany aktywności mózgu pszczoł w czasie snu. Śnią?

– Sen i marzenia sennie nieco się różnią. Sen jest łatwiejszy do zaobserwowania, ponieważ objawia się jako zmiana w mobilności, postawie ciała czy szybkości reakcji. Śpiące pszczoły przestają się ruszać. Podobnie jak u ludzi różne fazy snu pszczoł charakteryzują się odmiennymi wzorcami fal w mózgu. Nie wiemy jednak, czy śnią – to trudne do ustalenia w przypadku wszystkich zwierząt. Istnieją prace pokazujące, że jeśli wystawisz pszczoły na zapach kwiatu, którego doświadczyły dzień wcześniej i który jest związany z nagrodą, wówczas pamiętają go lepiej. Ludzie określają to mianem konsolidacji pamięci, która zachodzi podczas snu.

W książce „Pszczoły. Krótki lot w głąb niezwykłych umysłów” wspomina pan, że pszczoły pomalowały nasz świat. Co miał pan na myśli?



O CZYM MYŚLI PSZCZOŁA



Świat pozbawiony kwiatów byłby dość nudny – zielony lub brązowy, w zależności od tego, czy mamy do czynienia z glebą, skałą czy liśćmi. Kwiaty pojawiły się wraz z pszczołami

Przeprowadziliśmy bardziej sformalizowany eksperyment, w którym zastanawialiśmy się, czy pszczoła może być optymistą lub pesymistą. Najpierw trenowaliśmy je, aby kojarzyły wybrany kolor z nagrodą. Powiedzmy, że niebieski jest zawsze z nią związany, a zielony nie. Gdy się już tego nauczą, dajemy im niejednoznaczny bodziec, np. koloru turkusowego. Możemy powiedzieć, że szklanka jest wypełniona w połowie. Okazuje się, że reakcja pszczoł zależy od tego, co działo się z nimi przed eksperymentem. W badaniach mojego zespołu grupa trzmieli otrzymywała małą kropelkę nagrody niespodzianki przed wejściem na arenę testową – i takie pszczoły wykazywały pozytywne nastawienie. Oceniały niejednoznaczne bodźce jako potencjalnie bardziej satysfakcjonujące.

Natomiast jeśli nie otrzymały nagrody, to z większym praw-

– Świat pozbawiony kwiatów byłby dość nudny – zielony lub brązowy, w zależności od tego, czy mamy do czynienia z glebą, skałą czy liśćmi. Kwiaty pojawiły się wraz z pszczołami w okresie kredy. Są specjalnymi sygnałami wysyłanymi przez rośliny do zapylaczy. Rośliny nie mogą się poruszać, muszą więc zatrudniać zapylaczy, w tym pszczoły. Wszystkie piękne wzory i struktury kwiatów wyewoluowały w tym celu. Wcześniej rośliny korzystały wyłącznie z zapylania przez wiatr, a to marnotrawstwo pyłku. Później wykształciły owoce, które wykorzystują podobne kolory do komunikowania się z ptakami lub ssakami.

Być może najbardziej niezwykłym narzędem pszczoł są czułki. Możemy porównać je do ludzkich ramion?

– Chyba tylko pod względem długości. Czułki to narząd przymocowany do głowy pszczoły. Jednak są one przeznaczone nie do chwytania czy poruszania się, lecz wykrywania sygnałów. Wszelkoność i różnorodność czujników umieszczonych w tym narządzie jest zdumiewająca. Zawierają zmysł dotyku, dzięki któremu pszczoły znajdują drogę w ciem-

ności ula. Mogą również używać czułków do wąchania lub smakowania, a nawet mogą nimi wyczuwać pole elektromagnetyczne.

Zbieranie pyłku wymaga pamięci. Pszczoły ją mają?

– Odwiedzanie kwiatów wymaga wielu rodzajów pamięci. Jedną z nich jest pamięć przestrzenna. Pszczoły muszą zapamiętać, gdzie znajdują się kwiaty z najlepszym nektarem lub pyłkiem, a także te, które oferują najlepszą nagrodę. W zasięgu lotu pszczoł miodnych i trzmieli znajdują się dziesiątki gatunków kwiatów. Mogą wypróbować kilka, a następnie znaleźć taki, który wymaga minimalnego wysiłku przy wysokim zysku. Muszą jednak zapamiętać jego wygląd i zapach, a następnie powracać do tego gatunku. Tak długo, jak kwiat oferuje nagrodę, pszczoła będzie się go trzymać.

To, czego muszą się nauczyć, to często bardzo złożone wzorce ruchowe. Kwiaty trochę przypominają puzzle. Czasami trudno znaleźć w nich otwór. Pszczoły nie rodzą się z wiedzą o setkach gatunków kwiatów. Muszą się wszystkiego nauczyć. A kiedy się uczą, stają się ekspertami w docieraniu do tych kwiatów.

Pyłek nie jest łatwy do zebrania. To sproszkowana substancja, którą trzeba zebrać za pomocą odnoży, a następnie zapakować w małe grudki na tułowiu.

A co z emocjami, których odmawiamy owadom?

– Gdybyśmy 30 lat temu o tym dyskutowali, ludzie pomyśleliby, że jesteśmy szaleni. Naukowcy powoli zmieniają zdanie na ten temat. Mnie otworzył oczy eksperyment, który przeprowadziliśmy około 15 lat temu. Zastanawialiśmy się, czy pszczoły mogą nauczyć się unikać zagrożenia ze strony drapieżników. Jednym z polujących na nie są pająki z rodziny ukośnikowatych. Ukrywają się na kwiatach i chwytają owady, które je odwiedzają. Trudno je dostrzec, bo jak kameleon przybierają kolor kwiatu, na którym siedzą.

Chcieliśmy sprawdzić, czy pszczoły uczą się unikać tych pajaków, jeśli zostaną zaatakowane, a następnie wypuszczone. W laboratorium stworzyliśmy naturalnej wielkości model pajaka wyposażonego w wysięłane gąbką elektromagnetyczne szczytce, które mogły złapać owada na krótki czas. Nie dochodziło więc do obrażeń. Poradziły sobie

z tym tak dobrze, że po kilku atakach nauczyły się unikać kwiatów z pajakami. Zawsze się wałowały i skanowały kwiat uważnie przed podjęciem decyzji o lądowaniu na nim. Jakby chciały się upewnić, czy nadal jest to zagrożenie. Dokładnie analizowały również bezpieczne kwiaty i często je porzucały. Przypominały trochę ludzi z zespołem stresu pourazowego, którzy reagują na zagrożenie, które sobie wyobrazili. Stają się nerwowi z powodu czegoś, co przydarzyło się im w przeszłości. Nie jest to jeszcze oczywiście formalny dowód na istnienie lęku u pszczoł.

Niektóre kwiaty zawierają substancje psychoaktywne. Pszczołom to nie przeszkadza?

– Wiele roślin zawiera te substancje w liściach. Jeśli stężenie jest wysokie, odstrasza w ten sposób roślinożerców, którzy nie lubią gorzkiego smaku. Niektóre substancje jak nikotyna przedostają się również do nektaru. Okazuje się, że pszczoły całkiem ją lubią. Wskazuje to na istnienie przyjemnego stanu w umyśle pszczoł. Jednak w tym przypadku również większość ludzi prawdopodobnie nie zaakceptowałaby tego jako dowodu.

dopodobieństwem oceniał je jako negatywne. Jeśli były narażone na symulowany atak drapieżnika, to było jeszcze bardziej prawdopodobne, że ocenią je jako coś złego. Okazuje się, że w tym pozytywnym stanie emocjonalnym pośredniczy dopamina, podobnie jak u nas. Otrzymują więc niewielki zastrzyk dopaminy dzięki niespodziewanej nagrodzie i wszystko jawi im się jako lepsze. Jeśli przyjmujemy kryteria, które ludzie stosują w odniesieniu do zwierząt domowych, a paradygmat szklanki do połowy pełnej lub pustej jest często stosowany w ich badaniu, to u pszczoł występuje zarówno stan optymizmu, jak i pesymizmu.

Jedno jest pewne. W świecie pszczoł nie jest dobrze urodzić się mężczyzną.

– Ma to swoje wady i zalety. Wszystko zależy też od gatunku. Na przykład u pszczoł miodnych zazwyczaj prowadzisz pozbawione trosk życie. Samce nie wykonują żadnej pracy. Nie angażują się w karmienie młodych, budowanie plastrów miodu czy odwiedzanie kwiatów. Do tego są tłuste – karmią je pszczoły robotnice. Wadą jest dobieranie się w pary, ponieważ jeśli zaznasz luksusu

skojarzenia się z królową, umierasz. Mogą kopulować tylko raz w życiu. Pod koniec kopulacji ich mały penis się odrywa i w zasadzie wykrwawiają się na śmierć.

Jak w klasyku U2 „One” – „Jedna miłość. Jedno życie”.
– Nagrałem kiedyś album, na którym wszystkie teksty piosenek są inspirowane światem pszczół. Jedna nosi tytuł „Drone Wars” i opowiada o życiu samca pszczoły pod koniec sezonu. Oczywiście nie wszystkim udaje się kopulować z królową, a kiedy sezon godowy dobiega końca, robotnice po prostu pozbywają się samca. Wypędzają go z ula i przestają karmić. Czasem nawet go uśmiercają. Ich życie kończy się smutno, ale do tego momentu żyją w luksusie.

Czy możemy mówić o demokracji w roju czy to monarchia?
– Samo istnienia królowej może wprowadzać w błąd, sugeruje, że ma ona władzę. To największy osobnik w ulu i można pomyśleć, że jest uprzywilejowana, bo tak jak trutnie nie musi pracować. Jednak w ciągu życia składa wiele tysięcy jaj, co jest bardzo ciężką pracą. Nie ma żadnej władzy, wiele decyzji jest podejmowanych w zdecentralizowany sposób. W przeciwieństwie do grupy naczelnych, nie ma samicy czy samca alfa, który rządzi. Większość decyzji podejmują jednolite, co prowadzi do zbiorowych decyzji.

A o przenosinach w nowe miejsce decydują wspólnie?
– Pszczoły rozmnażają się inaczej niż pozostałe zwierzęta. U większości gatunków młode osobniki opuszczają obszar pochodzenia. U pszczół to stara królowa wraz z kilkoma tysiącami starszych robotnic opuszcza ul i zakłada nowe gniazdo. Nazywa się to rojeniem.

To uciążliwe dla pszczelarzy, ponieważ pszczoły uciekają. Dzieje się tak dlatego, że królowa i robotnice gromadzą się gdzieś w pobliżu pierwotnego ula – na gałęzi drzewa lub na dachu. Stamtąd badają otoczenie, a zwiadowcy mogą przelecieć wiele kilometrów w poszukiwaniu odpowiednich miejsc do gniazdowania. Zwykle jest to dziupla w drzewie. Jednak w dzisiejszym, zmienionym przez człowieka świecie może to być komin, szopa lub coś podobnego. Gdy pszczoły znajdą miejsce, zlatuje do niego cały rój. Oczywiście zwiadowcy nie mają pojęcia, co znajdują. Wracają do roju i komunikują lokalizację za pomocą wspomnianego tańca. Początkowo oczywiście jest wiele nieporozumień, ponieważ różni zwiadowcy odnajdują różne lokalizacje. Proces podejmowania decyzji może trwać kilka dni. Z czasem coraz więcej pszczół zgadza się na tę samą lokalizację, aż w końcu wszystkie ją wybierają. Wtedy rój leci do nowego miejsca.

Dochodzimy do najtrudniejszego pytania. Czy pszczoły mają świadomość? Zdałyby test lustra?

– Nie wiemy, czy rozpoznałyby swój własny wygląd w lustrze. To chyba mało prawdopodobne. Bar-

dzo trudno odróżnić poszczególne pszczoły. W ich wyglądzie nie ma wielu cech indywidualnych.

Świadomość dzieli się jednak na zdolność do myślenia i odczuwania. W umysłach pszczół dzieje się coś więcej niż tylko reagowanie na napływające z otoczenia bodźce. Obserwujemy stany zbliżone do optymizmu i pesymizmu oraz lęku. Odkryliśmy, że pszczoły angażują się w zachowania przypominające zabawę.

W jednym z badań stawialiśmy przed nimi złożone zadania polegające na rozwiązywaniu problemów. Wydaje nam się, co najmniej prawdopodobne, że muszą rozwiązywać je w swoich umysłach, a nie metodą prób i błędów czy uczenia się i zapamię-



miętywania. W jednym z nich miały przetoczyć małą piłkę do bramki. Następnie otrzymywały nagrodę za rozwiązanie zadania. Wykonywały je doskonale.

Umieściliśmy trzy piłki w różnych odległościach od miejsca docelowego. Mieliśmy doświadczanego osobnika, który już wiedział, jak wykonać zadanie, oraz takiego, który nigdy nie toczył piłki w celu otrzymania nagrody. Splataliśmy figla doświadczonej pszczoły – najbliższe kulki były przyklejone. Nie można ich było poruszyć, więc zawsze przesuwiała najdalszą kulkę. Nowicjusze widzieli, jak doświadczona pszczoła przesuwiała najdalszą kulkę. Następnie daliśmy im wybór między trzema kulkami, które nie były już przyklejone. Zastanawialiśmy się, czy niedoświadczona pszczoła skopiuje zachowanie, które widziała. Czy spontanicznie wybierze najbliższą kulkę, czyli rozwiąże problem w nowy sposób, skuteczniejszy od tego, który jej zaprezentowano. Zaobserwowaliśmy drugie zachowanie – wystąpiło spontanicznie, bez prób i błędów. Wydaje nam się, że obserwatorka w pewnym sensie zrozumiała, na czym polega zadanie, i rozwiązała je w nowatorski sposób. Wskazuje to na pewnego rodzaju zdolność myślenia. A myślenie i odczuwanie są kluczowymi składnikami świadomości.

W rozwiązaniu jednej z filozoficznych zagadek pszczoły już pomogły. Mam na myśli problem Molyneuxa.

[Irlandzki filozof William Molyneux, którego żona była niewidoma, zapytał w 1688 roku Johna Locke'a: „Niewidomy od urodzenia człowiek, dostawszy w dłoń kulkę i sześcian porównywalnej wielkości, pouczony zostaje o ich tożsamości i o tym, jak je od siebie odróżnić – dotykiem czy czuciem in-

nego rodzaju. Po tym odbieramy mu te przedmioty i kładziemy na stole przed nim. Gdyby teraz, jakimś zrządzeniem losu, odzyskał wzrok – czy będzie w stanie, wyłącznie patrząc na te przedmioty, zanim pozwoli mu się ich dotknąć, powiedzieć, który z nich jest kulą, a który sześcianem?”]

– W przypadku ludzi nie da się oczywiście przeprowadzić takiego eksperymentu. Jednak pszczoły spędzają część życia w ciemności. Przeprowadziliśmy dokładnie taki eksperyment z pszczolami, dając im możliwość rozróżniania kul i sześciątów w ciemności za pomocą zmysłu dotyku.

Wiele zwierząt umie zaprowadzić członków swojej grupy do miejsca, gdzie znajduje się pożywienie, ale tylko pszczoły potrafią tego dokonać bez udawania się tam razem z nimi

Nauczyły się, że gdy dotkną kuli, pojawi się kropla wody z cukrem. Inna grupa nauczyła się, że nagradzane będzie dotknięcie sześcianu. Po tym, jak nauczyły się znajdować odpowiedni kształt w całkowitej ciemności, pokazaliśmy im te same obiekty znajdujące pod pokrywą z pleksiglasu. Mogły je zobaczyć, ale nie mogły ich dotknąć. Jednak te, które wcześniej zostały przeszkolone w ciemności, aby kojarzyć okrągły kształt z nagrodą, w świetle również odnalazły odpowiedni kształt.

Posiadają więc zdolność wszechstronnego rozpoznawania

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na Wyborcza.pl/Jutronauci

obiekty za pomocą więcej niż jednego zmysłu, co w pewnym sensie jest również cechą świadomości. To zdolność do wyobrażania sobie rzeczy w umyśle.

Pszczoły mają szanse dostosować się do zmian środowiska, jakich dokonuje człowiek?

– Często o pszczolach myślimy jak o zwierzęciu udomowionym, którym opiekują się ludzie. Jeśli hodowcy pszczół miodnych stracą kolonię, będzie to problem ekonomiczny, ale nie ekologiczny. Pszczoła miodna nie jest więc zagrożona, jednak nie jest jedynym gatunkiem.

ne od zapylania. Trzeba zatrudniać wielu ludzi do ręcznego zapylania drzew, aby wydały owoce. Może to zrobić też robot, tylko po co to robić, skoro mamy pszczoły, które rozwiązywały ten problem przez wiele milionów lat? Pszczolom nie trzeba płacić, inwestować w infrastrukturę i inżynierów. Wszystko, co musimy zrobić, to pozwolić im żyć.

Jak możemy im pomóc?

– W przypadku innych gatunków możemy przekazywać darowizny organizacjom charytatywnym, które pomagają chronić zwierzęta w odległych krajach, ale w przypadku pszczół każdy może zrobić coś we własnym domu. Wielu z nas ma ogrody, a nawet gdy ich nie mamy, wystarczy balkon. Jakie kwiaty zasadzić? Wiele z dostępnych na rynku zostało wyhodowanych specjalnie po to, aby cieszyć ludzkie oko. Czasami są całkowicie bezużyteczne dla owadów zapylających. W wielu sklepach można znaleźć mieszanki nasion lub dzikie kwiaty, które są odpowiednie dla danego obszaru. Często są ładne i atrakcyjne, a jednocześnie przydatne dla pszczół.

Przyjemnie jest obserwować, jakie gatunki pszczół odwiedzają konkretne kwiaty i jak często. Gdy już wiemy, które rośliny są popularne, można posadzić ich więcej. Ważne, aby obszary, na których sadzimy kwiaty, udostępnić pszczolom. Wielu z nas nauczone, aby utrzymywać trawniki w idealnej czystości oraz kosić je raz na tydzień. Odradzałbym. Istnieje wiele pożytecznych kwiatów rosnących na trawnikach i niemal wszystkie są pożyteczne dla zapylaczy. Pozbywając się presji utrzymywania trawnika w idealnym stanie, zapewniamy pszczolom źródła pożywienia, którego bardzo potrzebują. ●



*Prof. Lars Chittka

• Zoolog, ekolog i etolog, założyciel Research Centre in Psychology na Uniwersytecie Queen Mary w Londynie. Badacz zachowań i umysłów pszczół miodnych i trzmieli oraz ich interakcji z kwiatami.

„Pszczoły. Krótki lot w głąb niezwykłych umysłów”, Lars Chittka, tłum. Szymon Drobnik, wyd. Copernicus Center Press





House of Seitan, Gdańsk, ul. Krasickiego 9b, czynne od niedzieli do czwartku 13-16 i 16.30-20, w piątki i soboty 12-16 i 16.30-22, toaleta dostępna dla osób na wózkach, materiały higieniczne dla kobiet, LGBTQ+ friendly, ogródek.



PEŁNĄ GĘBĄ

HOKUS-POKUS

Jaki mam stosunek do seitanu, czyli serka sojowego o właściwościach organoleptycznych zbliżonych do mięsa?

Maciej Nowak

Kwestia jest prosta. Do ust nie wezmę, gdy przyrządza go ktoś bez wyczucia i fantazji, gdy efekt końcowy to wysuszone, bezsmakowe linoleum. Nie pomogą żadne certyfikaty niewinności i dziewictwa ani nawet akty zaślubin z morzem. Wykładzin podłogowych do pyska nie biorę nawet w najszlachetniejszych intencjach. Ale jeśli szefowa lub szef kuchni rozumie ten produkt, wtedy niestraszne mi przestrogi, że wyrosną mi włosy między zębami, a ciało pokryje się rybią łuską. Niech i tak się stanie, bo dobrze doprawiony i poddany obróbce termicznej seitan może być źródłem rozkoszy niebywałych. Wymyślono go w Chinach ponad 2 tys. lat temu, w czasach dynastii Han, której rządy dały też ludzkości inny zmieniający losy świata wynalazek, którym był papier. Oba rozwiązania na masowe uznanie w kręgu cywilizacji zachodniej musiały czekać bardzo długo. Papier celulozowy do XIX wieku, seitan ponad 100 lat dłużej, ale co do tego, że białasy do najszybszych nie należą, spierać się chyba nie będziemy. Na podbój zachodniego świata seitan ruszył w roku 1969 z Bostonu. Podobną drogą i w zbliżo-

nym czasie ku wielkiej światowej karierze wyruszyło sushi.

Kilka lat temu w Hanoi odwiedziłem restaurację z seitanowym bufetem. Było na nim kilkadziesiąt potraw z tego surowca. Smażony, pieczony, suszony, duszony, grillowany, marynowany, z pomidorami, ogórkami, pak choy, cebulą i dziesiątkami innych warzyw i owoców, w sosach i panierowanych na chrupko, słono, kwaśno, pikantnie i słodko oraz w każdej innej formie, którą można sobie wyobrazić. Zrozumiałem, że bezsmakowe potrawy, jakie zazwyczaj jadam w towarzystwie wyznawczyń i wyznawców rodzimego wegekościoła, to niecała prawda o sojowym serku. Byłem zdumiony sam sobą, że nie mogę się oderwać od tego seitanowego ołtarza, że jem w zachwycie. Ku uznaniu i satysfakcji lokalnej publiczności, która wielkim, łysym grubasom o gargantuicznym apetycie oddaje religijną cześć. Można się o tym przekonać w każdej buddyjskiej świątyni i przed ukwieconymi ołtarzykami tego wyznania.

House of Seitan działa w dwóch lokalizacjach w Gdańsku – we Wrzeszczu i Brzeźnie. Pierwsza miejscówka, gdy byłem na wybrzeżu na początku sierpnia, przechodziła akurat jakieś zmiany, więc udałem się do Brzeźna, do którego mam wielką słabość. To stare gdańskie kąpielisko i nadmorskie osiedle, które w ostatnich latach przeszły wstrząsający progres. Brzeźnieński dom zdrojowy został pięknie zrewitalizowany, a na skraju pasa nadmorskiego powstały efektowne osiedla mieszkaniowe. I właśnie na parterze takiego apartamentowca działa filia House of Seitan. W ogródku pachnie wakacjami, morską bryzą i sosnowym lasem. I domowym je-

dzeniem. Właścicielki lokalu kilka lat temu w wywiadzie prasowym mówiły o jednej z największych gwiazd współczesnej kuchni, na której dorobek powołują się dzisiaj najmodniejsze restauracje. Również te, o których ostatnio pisałem. – Czy Ottolenghi może startować do dań naszych mam czy prabab? – zapytały kapłanki seitanu. Nie twórzmy takiej opozycji! Kuchnią rządzą sentymenty i prostolinijne magdalenki. Z tego rodzi się sukces zarówno Yotama Ottolenghiego, jak i dziewczyn z House of Seitan. Wspieranych przez aktywną społeczność liczącą prawie 50 tys. obserwujących. To jest liczba, która może już wpływać na wyniki wyborów.

Brzeźnieńskie potrawy przypominają dzieciństwo, kuchnię naszych domów, obfitą, szczerą i niczego nieudającą, a jednocześnie bez mięsa, którego miejsce zajął seitan.

Jeść czy nie jeść tofu? Moja odpowiedź jest prosta. Nie jeść, gdy przyrządzono je bez smaku, jeść na potęgę, gdy sporządzone zeń potrawy kuszą bogactwem doznań. Restauracja to nie apteka ani gabinet lekarski. Współczuję tym, którzy nie jedzą ze smakiem, lecz w ideologicznym zacięciu. Mnie dania w House of Seitan zasmakowały, rozrzewniły i uwiodły. Po raz kolejny zrozumiałem, jak wiele oblicz może przybierać ten surowiec, jak zmienny mieć smak i strukturę.

Może stać się bazą kruchych zrazów zawijanych w grzybowym aromacie przypominających te mojego Taty (42 zł). Tyle że tradycyjnie spina je się wykałaczką, a tu obwiązuje sznurkiem. Hokus-pokus i oto z tego samego surowca powstaje soczysty szaszłyk z sosem wiśniowym oraz schabowy w mocno chrupiącym panku i z soczystym wnętrzem (40 zł). Jesteśmy nad morzem,

więc trzeba też się zmierzyć z fish & chips w towarzystwie surówki z kapusty (45 zł). W roli fileta rybnego występuje kwiat bananowca, którego struktura po usmażeniu przypomina listkujący filet zmiennocięplnych. Morski posmak zapewniły w równym stopniu przyprawy, co i bryza znad Bałtyku. Wydarzeniem tego obiadu okazały się trzy duże pyzy z klasycznego kartoflanego ciasta nadziewane mielonym seitanem i omaszczone smażoną cebulą (40 zł). Wszystkie porcje są ogromne, zero dietetycznego szczypania się w tylek.

Dodatkowo dostajemy ogród nieplewiony zieloności wszelakich. Są kwiatki, listki, marchewka, bób, ogórki kiszone, buraki, kapusta, sałata lodowa, botwinki i białe buraki tonda di Chioggia i różowe majo. I jeszcze kropeczki palonego maku, którym obficie posypano talerze.

W House of Seitan gotują dwie dziewczyny, matka i córka z Krzywego Rogu, miasta w południowo-wschodniej Ukrainie. Weronika Korinowska w ojczyźnie pracowała w stołówce pracowniczej, jej córka Marina w matczyźnie studiowała farmację, w Polsce – opiekę medyczną. Gotować w stylu W nauczyły się tutaj, dbając, by dania bezmięsne nie były gorsze od tradycyjnych.

Z wyprawy do House of Seitan wyciągnąłem jeden wniosek: seitanu nie można się bać. Trzeba brać go ostro za pysk i wy czyniać najdziksze harce. I tego tutaj nie brakuje. ●



SMACZNE, BO POLSKIE

Autorem wielu haseł jest **Aleksander Baron**

25 sierpnia 1958 roku Momofuku Andō, japoński wynalazca i biznesmen, zaprezentował światu swój wynalazek. Japonia po wojnie wciąż borykała się z problemami żywnościowymi, tamtejsze ministerstwo zdrowia próbowało przekonać ludzi do jedzenia pszennego pieczywa, dostarczanego na Wyspy Japońskie przez Stany Zjednoczone.

Andō zastanawiał się, dlaczego wśród jego rodaków lansuje się chleb zamiast bliższego Japończykom makaronu. A kiedy okazało się, że miejscowe fabryki nie nastarczają z produkcją odpowiedniej ilości tego specjału, wymyślił... makaron błyskawiczny, tak dobrze nam znany z „zupki chińskich”, zalewanych wrzawkami, które są gotowe do spożycia w trzy minuty.

By uhonorować Momofuku Andō i jego opus magnum, w 2020 roku ustanowiono 25 sierpnia Dniem Zupy Błyskawicznej – zresztą dla Japończyków taka zupka jest najważniejszym wynalazkiem XX wieku. Serio, uznali tak w specjalnej ankiecie.

Święto samo w sobie stanowiłoby znakomity pretekst, by poświęcić mu „Weekendówkę”, ale uznaliśmy, że jednak za mało jest smakowicie. Tym bardziej że do wspólnej zabawy i pomocy w układaniu „Weekendówki” zaprosiliśmy Aleksandra Barona, warszawskiego szefa kuchni, popularyzatora wskrzeszenia mody na kishonki i kishonki, autora książki „Kishonki i fermentacje”, obecnie prowadzącego winebar Frank.

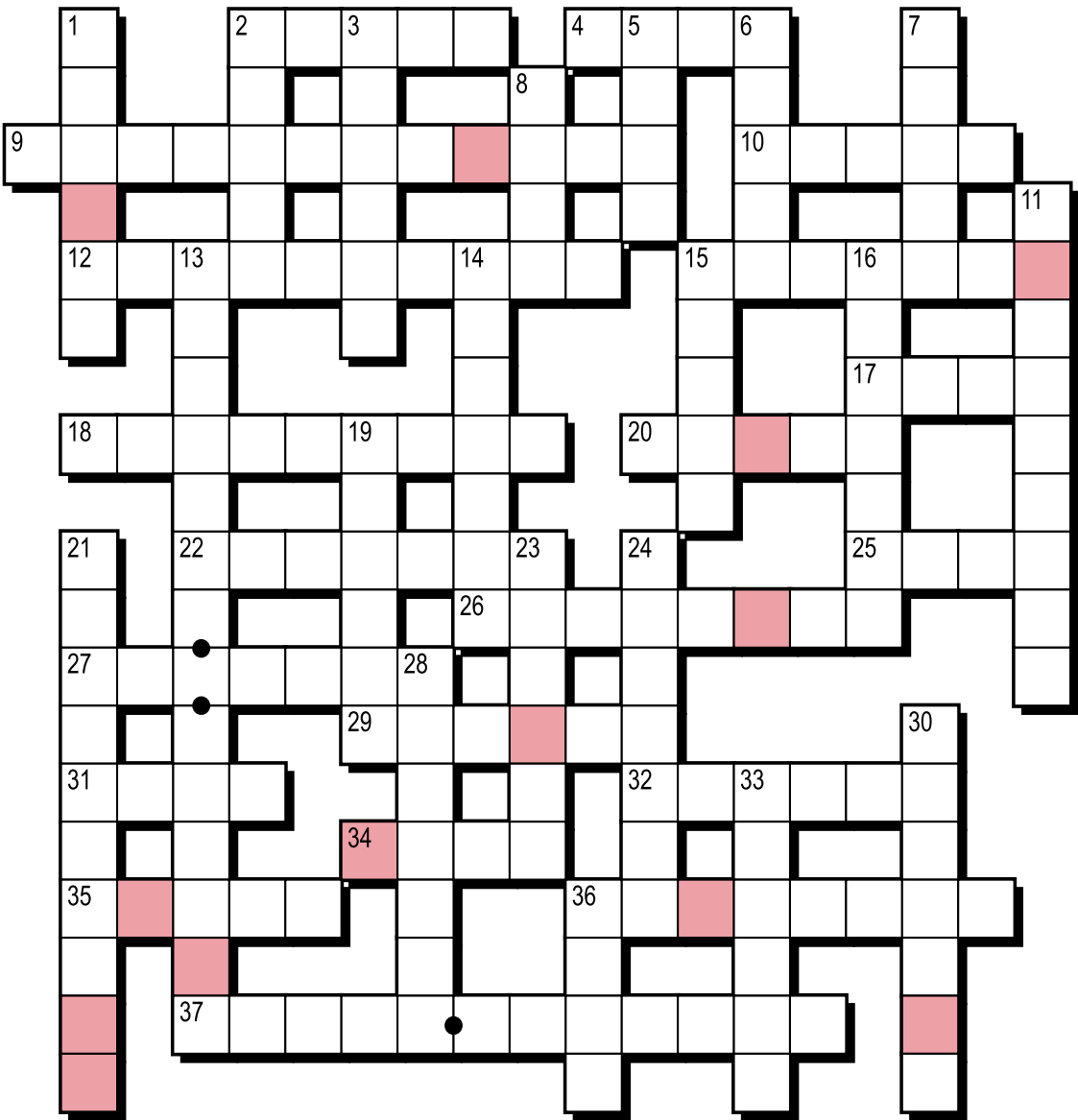
Świetnie się też składa, że Aleks jest promotorem kuchni polskiej na świecie, bo dzisiaj krzyżówkę poświęcamy nie japońskiemu specjałowi instant, ale rodzimym smakowitościom. 25 sierpnia wypada bowiem Dzień Polskiej Żywności, ustanowiony w 2013 roku.

Idea jest propagowanie polskich produktów i dań, podkreślenie, jak wiele polska kuchnia ma do zaoferowania, i rzecz jasna zachęcenie do przygotowania jakiegoś klasyka polskiej gastronomii. Może być też w wydaniu mniej tradycyjnym.

Aleks swoich pytań przygotował dużo, dużo więcej, niż bywa grzybów w barszczu czy przygotowuje się potraw wigilijnych. A brzmią tak smakowicie, że istnieje spore ryzyko, że po rozwiązaniu „Weekendówki” zgłodnieją Państwo nie-możebnie i postanowią Dzień Polskiej Żywności uczcić nie tylko rozwiązaniem naszej krzyżówki.

Smacznego! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 66 z 19.08:

- Poziomo:**
2) smartfon 9) uroda
10) Depeche Mode
11) reporter
12) lustrzanki
13) ksera 15) zoom
17) matryca 18) Fuji
20) Filip 23) aparat
24) polaroid
27) obraz 28) Kodak
29) bracia 31) maszyna
32) piosenka
34) Canon 35) Nikon
38) Zenit 39) lampa
40) kuweta
41) Maxwell

- Pionowo:**
1) sweet focia
3) moment
4) rodzina
5) obiektyw
6) portret 7) kadr
8) retusz 9) ulotka
14) amator 16) autofocus
17) migawka
19) paparazzo
21) Instagram
22) sonda 25) dokument
26) Marcin
30) tableau 32) poza
33) Annie 36) klub
37) łam

HASŁO:
SELFIA CZEK

KUCHNIA POLSKA

Hasła Aleksandra Barona oznaczono inicjałami (A.B.). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) na święta, najlepszy lekko przypalony (A.B.)
4) kurczaki, indyki, gęsi...
9) brat sznycła, kuzyn katsu (A.B.)
10) wypiekany z dumą w Poznaniu (A.B.)
12) śląskie cukierki - uważaj na zęby! (A.B.)
15) aqua vitae po polsku (A.B.)

- 17) najsmaczniejszy grzyb, na którego wszyscy dybią (potwierdzenie w „Panu Tadeuszu”)
18) z buraków lub szczawiu (zdrobniale) (A.B.)
20) może być z pturce, twarogu, ziemniaków... (A.B.)
22) przyszedł z kuchni żydowskiej, w liściu kapusty (A.B.)
25) Np. węgry (A.B.)
26) z krwią i gryką (A.B.)
27) zdobiony na Wielkanoc (A.B.)
29) na Śląsku zawsze z kluchami i modrą kapuchą (A.B.)

- 31) jego mięso dawniej królowało na polskich stołach
32) niezbędne do zrobienia cydru (A.B.)
34) poznaniaki: – Ziemniaki!
35) zupa, którą najlepiej jeść bez ubrania (A.B.)
36) wędlna z głowizny
37) znana restauratorka, tłucze talerze (A.B.)
- Pionowo:**
1) ... po poznańsku, po pekińsku (A.B.)
2) ziemniaczana lub piaskowa (A.B.)
3) podawana na św. Marcina (A.B.)

- 5) skorupiaki, niegdyś w chłodniku litewskim (A.B.)
6) my robimy z niego barszcz, Czesi rum (A.B.)
7) po warszawsku z pulpetami cielęcymi i parmezanem (A.B.)
8) w Wielkopolsce z pyram (A.B.)
11) sałatka, bez niej nie ma świąt! (A.B.)
13) lepione, gotowane, podawane z podsmażaną cebulką
14) prawdziwy z mleka owczego (A.B.)
15) domowy, rodzinny (A.B.)
16) inaczej jarzyny (A.B.)

- 19) przyprawa do marynat, zapiekane, mięs
21) w poniedziałek na pierwszy, gdy zostało rosół z niedzieli
23) polskie ..., czyli marynowane paki nasturcji
24) śląski deser przygotowywany z jaj kurzych
28) spokojnie, proszę żrebacków – są z ziemniaków...
30) też w tłusty czwartek (A.B.)
33) gotowany, pieczony, wędzony, szary (A.B.)
36) biały, smażony, ale też majonez (wpisujemy w liczbie mnogiej) (A.B.)
- Leszek Rydz**

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

Pobierz z Google Play